

Dolnośląska Biblioteka Pedagogiczna  
we Wrocławiu

T.74



WRO0135832

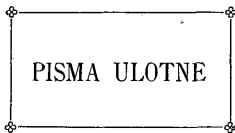
**PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA**

TOM LXXXI.



PISMA  
**HENRYKA SIENKIEWICZA**

TOM LXXXI



WARSZAWA  
NAKLAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO  
(DODATEK BEZPŁATNY).

1906



8588

**Dolnośląska Biblioteka Pedagogiczna  
we Wrocławiu**

7.81



WRO0180451

## Szkice literackie.

### I.

Zarys literatury polskiej z ostatnich lat szesnastu przez Doktora Piotra Chmielowskiego. Wydawnictwo E. Orzeszkowej i S-ki. Wilno. Drukiem Blumowicza, 1881.

Od czasu pojawienia się „Dziejów Polski” Bobrzyńskiego, żadna praca z zakresu naukowego nie obudziła tyle zajęcia, ile ów literacki rachunek z lat szesnastu, który mamy obecnie przed sobą. Czytaliśmy bezwzględne pochwały i nagany, jak również nasłuchaliśmy się ożywionych rozpraw za i przeciw. Zajęciu temu nie dziwimy się zupełnie. Niemal każdy wykształcony człowiek bierze udział w ruchu literatury wprost albo ubocznie, każdy wiąże się z nim swemi sympatjami dla jednych kierunków, antypatjami dla drugich; każdego więc książka, usiłująca dać syntetyczny obraz najnowszego ruchu, bezpośrednio obchodzi. Dziś, gdy pierwsze wrażenie minęło, gdy zatem łatwiej sądzić zarówno chłodno jak bezstronnie, postaramy się pomódz czytelnikom naszym w

wydaniu takiego chłodnego i bezstronnego sądu.

Dzieli się książka Chmielowskiego na dwie części. Pierwszą zatytułował autor: „Przekonania i Dążności”, drugą „Osoby i dzieła”. Przeciwn takiemu systemowi byłoby wiele do nadmienienia; ponieważ bowiem w pierwszej części autor zaznaczył istnienie dwóch kierunków a zatem i dwóch odnośnych obozów literackich, należałoby „osoby i dzieła” grupować w drugiej części stosownie do tychże obozów. Tymczasem tego podziału niema, a o piszących i ich książkach mówi Chmielowski w drugiej części w takiej kolei, w jakiej w ciągu ostatnich lat szesnastu występowali na widownię literacką. Z drugiej strony, mówić naprzód o przekonaniach, a potem o osobach, jest to wpadać w konieczność powtarzania w drugiej części tego, co się powiedziało w pierwszej, nakoniec oddzielać pisarzy od kierunków jest to postępować wbrew rzeczywistości naturalnej i tworzyć sztuczny podział czysto książkowy.

Prowadzi to za sobą i inne szkopyły, o których później przyjdzie nam mówić szerzej. Chmielowski rozumiał zapewne doskonale wady i niedogodności podobnego systemu, a jednak go zastosował. Pytanie: dlaczego? Odpowiedź dokładną możnaby dać dopiero po również dokładnem streszczeniu i ocenie całej książki; w początkach więc oceny należy poprzestać na o-



gólnej. Oto w ostatniem szesnastoleciu Chmielowski widzi przełom w literaturze i wielką walkę, podobną cokolwiek do niedawnej ogromnej walki romantyków z klasykami, a jeszcze podobniejszą do prądu reformatorskiego w dziewiętnastym wieku. Dopatrzywszy się owej walki, Chmielowski sądził, że aby uczynić ją dla swych czytelników zrozumiałą, należy przede wszystkim wyjaśnić o co poszło, jakie były przyczyny, jaki stan umysłowości, jakie nowe poglądy wdzierały się z zagranicy do kraju, i z jakiego mianowicie powodu wybuch nastąpił. Uczyniwszy to wszystko, opisawszy i sam plac boju, dopiero mógł wedle własnego rozumienia przystąpić do opowiadania, kto walczył i ile męstwa okazał. Ostatecznie zyskałaby może i sama epopeja i ścisłość, gdyby przebieg walki odmalowany był w akcji, powtarzamy bowiem jeszcze raz, że opisywać naprzód bitwę a potem wojska, które się biły, jest rzeczą przeciwną naturalnemu porządkowi rzeczy. Ale stało się. Wskazawszy przyczyny i motywy autora, przystąpimy do pierwszej części jego książki. Po 63-m roku zapanowała w kraju martwota, zniechęcenie się do życia i opuszczenie rąk we wszelkich kierunkach, zatem i w naukowo-literackim. Ciężka nauka r. 63-go rozczarowała przede wszystkim do dawnych dróg, któremi urzeczywistnić chciano ideały. Ale gdy nowe drogi nie były jeszcze wskazane, więc i

Sam ideał zdawał się odsuwać w nieskończoną przyszłość i przedstawiać się nakształt błędnego ognika, który i ucieka przed goniącymi i z odległości błędnie. Stąd apatya w goniących. Ale żywotność społeczna przetrwała i tę próbę. Apatya nie zmieniła się w śmierć. Podniesiono znane już, ale przedtem tylko w teorii powtarzane hasło pracy organicznej, wejrzano głębiej i poważniej, bo boleśniej, w myśl, czy te nowe drogi nie prowadzą lepiej do celu niż dawne; wreszcie uwierzono w nie, odetchnięto i praca się rozpoczęła.

Mówiąc to wszystko, idziemy za Chmielowskim. Owe dążności, wywołane praktyką życiową, musiały się odbić i w wytworach umysłowych. Literatura musi odbijać życie społeczne i, im więcej krzątaniny i energii na polach praktycznych, tem więcej ich na polu umysłowym. Burza 63-go roku oderwała uczonych od książek, poetów od ich natchnień i skierowała umysły ku innym sprawom. Gdy burza przeszła, po chwilowej przerwie opuszczone prace na nowo zostały podjęte. Jest to kolej rzeczy naturalna, są to zjawiska powtarzające się prawidłowo po wszelkich wstrząśnieniach, jeśli tylko owe wstrząśnienia nie przynoszą ze sobą ostatecznej zaguby. Istnienie i działalność szkoły głównej spotęgowały jeszcze bardziej ów ruch umysłowy, który począł się wraz z życiem budzić po wojnie. Wzrastało zajęcie się nauką

i jej bieżącemi kwestyami. Pozakładano nowe pisma, mające za zadanie popularyzować najnowsze zdobycze wiedzy; słowem, po odrętwieniu, po obojętności na to wszystko, co leży poza polityką, nastąpiło przebudzenie się umysłów.

W tem przebudzeniu brali znaczny udział młodszy wychowawcy szkoły głównej. Inaczej być nie mogło. Wszędzie starsze siły bywają posilkowane i z biegiem czasu zastępowane przez młodsze. Są to rzeczy tak zwykłe, że niema ich co powtarzać. Te pierwsze generacje, które wyszły ze szkoły głównej i wzięły udział w ruchu umysłowym, albo nawet objęły ster nad nim, nie stworzyły wprawdzie ani w zakresie nauki, ani literatury pięknej wielkich dzieł, na nowych zasadach opartych, przyczyniły się jednakowoż do rozszerzenia ruchu i wytworzenia pewnej umysłowej atmosfery, jakiej nie było dotąd. Zgodnie z hasłem pracy organicznej poczęto poruszać mnóstwo kwestyi wewnętrznych, które do 64 leżały odłogiem. Wejrzano w siebie, poczęto oceniać się trzeźwiej, poczęto patrzeć krytycznie na wady przeszłości i na dotychczasowe środki, z pomocą których chciało urzeczywistniać ideały społeczne. To wszystko stanowi niezaprzeczoną zasługę ostatniego szesnastolecia i nowych jego pracowników.

Dotąd też dobrze. Fakt ten rozbudzonej na nowo żywotności umysłowej mógł zaobserwo-

wać każdy ze współczesnych, i Chmielowski nie mógł o nim nie wspomnieć. Chodzi tylko o to, w jaki sposób przedstawia się autorowi ze strony literackiej ów fakt rozbudzonego życia umysłowego, w czem Chmielowski jako historyk literatury widzi najwybitniejszy jego objaw i wyraz. Owóż autor literatury widzi go w walce dwóch partyi: młodych i starych.

Posłuchajmy jej kolei tak, jak opowiada je Chmielowski. Naturalnie musimy się streszczać; ale tam, gdzie nie będziemy mogli przytaczać własnych słów autora, będziemy starali się oddać wiernie jego myśl. Młodzież tedy dowiedziała się z wykładów Struwego o burzy materyalizmu, huczącej zagranicą, o Meleschocie, Vogtzie i Büchnerze; z innych prelekcji doszła jej wiadomość o Buckle'u i Darwinie, poczęto czytać Baine'a, Spencera, Sturta Milla, H. Taine'a i Renana. Były to czynniki, które rozbudziły jej „myśl krytyczną”. Dzięki owemu duchowi krytyki rzucono się naprzód na współczesnych poetów i zdarto wieńce uznania z ich głów. Potem zwrócono się przeciw szanowanym dotychczas powagom naukowym i literackim, i również starano się podkopać i osłabić ich wpływ. Nowe siły znalazły przytułek w „Przeglądzie Tygodniowym”, w dawnej, wielce odmiennej od dzisiejszej, „Niwie”, w „Opiekunie Domowym”, który dziś jest „Tygodnikiem Powszechnym”; i w ten sposób

(kończy Chmielowski) rozpoczęła się walka młodych ze starymi.

Cała pierwsza część książki, zatytułowana: Przekonania i dążności, poświęcona jest tej walce, której autor przypisuje niezmiernie doniosłe dla naszej literatury znaczenie. Bierzemy tedy tę rzecz naprzód ze stanowiska czysto literackiego i pytamy: w imię jakich nowych literackich i poetycznych ideałów wystąpili młodzi przeciw starym?... Odpowiedzi w książce Chmielowskiego niema. I nie może być, bo ideałów nowych nie przeciwstawiono starym. Krytyka jest krytyką nie twórczością, nie otwarciem nowych widnokręgów, nie tworzeniem nowych światów. Rozumiemy walkę romantyków z klasykami. Chodziło o nową treść i formę nową, o to, dla czego serca mają bić, do czego wyciągać się ręce, czem żywić umysły. Była walka, była burza, pioruny i huk kruszących się ruin i wielkie zwycięstwo i zatknięcie nowego sztandaru na pokruszonych dawnych basztach i wieżach. A dziś co? O co chodziło? Gdzie są sztandary przeciwne i zwycięstwo? Czyż ową lichą partyzantkę dziennikarską, którą pamiętamy wszyscy i w której prawie wszyscy braliśmy udział, można porównywać z tymi czasami, w których grzmiał Mochnacki i Mickiewicz? Czy istotnie zasługuje ona na to, by człowiek poważny i badacz sumienny, jakim jest Chmielowski, zapisywał ją w książce jako

fakt pierwszorzędного znaczenia w literaturze? A jeśli już taka ochota widzieć w niej przełom, to gdzie jest nowa literatura? Pokażcie ją czytelnikom i powiedzcie: oto są dzieła, oto są owoce, oto są czyny zaklęte w książki, które wypłynęły wprost z polemiki Przeglądu Tygodniowego z Kurjerem Warszawskim, Niwy z Kroniką Rodziną i Opiekuna Domowego — dajmy na to — z Kłosami. Znowu cisza. Znowu niema odpowiedzi. Bo też my wszyscy, którzy dziś trzymamy pióro w ręku i piszemy, co kto umie i może, jesteśmy, pod względem ideałów literackich w znaczeniu estetycznym, kontynuacją czasów dawniejszych. Wmawiać w nas, że stworzymy jakiś przełom, jakąś nową epokę literacką, jest to, po pierwsze: pochlebiać nam, powtóre: mylić się. Nie tworzyliśmy ani form nowych, ani treści nowej. Ideał główny pozostał ten sam i pozostanie. Być może, iż powie kto, że stanęliśmy, idąc za najnowszym ruchem zagranicznym, po stronie realizmu przeciw idealizmowi, po stronie tendencyjności, przeciw teorii: sztuka dla sztuki. I to nie. Kraszewski, Kaczkowski, Korzeniowski, Jeż, Zacharyasiewicz pisali powieści metodą realną, nie tylko zanim nazwa „młodzi” była wynaleziona, ale zanim wielu młodych żyło na świecie, tak jak Stendhal i Balzac i Flaubert pisywali przed Zolą, Alexisem, Maupassant'em i innymi. W najlepszym więc razie przyłączyliśmy się tylko do

istniejącego kierunku. Przeciw teorii: sztuka dla sztuki, występował już Tyszyński. Belcikowski przed założeniem Przeglądu pisał do Tyg. Il. dość ekscentryczną rozprawę o przyszłej poezji rozumu. Co do poezji, walka młodych ze starymi nie miała swego Tyrteusza. Przystosowywano różne wiersze w sposób sztuczny, ale Jowisz, patrzący na tę walkę z wysokości Olimpu, widocznie „ręka na rękę założył — odpoczywał po pracy — nikogo nie stworzył”. Inaczej mówiąc: walka młodych ze starymi była, ale nie chodziło w niej o żadne estetyczne ideały, o żadne nowe drogi. Gdyby owa polemika wcale nie miała miejsca, każdy z piszących robiłby toż samo i pisałby toż samo co dziś, o tyle tylko lepiej, o ile nie zmarnowałyby więcej sił i talentu na spory, klótnie, przycinki i napaści, które sam Chmielowski, wbrew przypisywanemu im ogólnie znaczeniu, wbrew sobie samemu i ścisłej konsekwencji, nazywa w innem miejscu „bezowocną polemiką”.

Historyk literatury ma za zadanie i obowiązek notować objawy prawdziwe i przyczyn szukać tam, gdzie one istnieją, nie zaś tworzyć ze szkodą przedmiotowej prawdy jakieś nowe epoki i przełomy tam, gdzie ich niema i nie było. Przedewszystkiem jednakże nie powinien rozdymać sztucznie nikłych, przemijających objawów i przypisywać im pierwszorzędne znaczenia; inaczej może się narazić

na słuszny zarzut, że ten szczupły horyzont, który widzi przez okno swego pokoju, bierze za cały widnokrąg narodowego życia i ruchu.

Poza Warszawą jest cały kraj, jak poza sprawami dziennikarskimi jest obszerny ruch umysłów, który częstokroć niewiele z niemi ma wspólności. Mówić tedy, że polemika dziennikarska jest literaturą, jest to nie umieć się wzbić wysoko i spojrzeć na szersze horyzonty.

To raz. Nie było zatem przełomu w twórczości estetycznej, nie stworzono nowych ideałów, nie otwarto nowych dróg; a przedewszystkiem z walki młodych ze starymi nie urodziło się nic; to zaś, co się urodziło, leżało poza nią.

Na polu politycznem do takiej walki, pominawszy możność, nie było powodów i racyi. Niech autor pokaże choć jednego człowieka z pomiędzy piszących, których głosu ogół słucha, choć jedno pismo, któreby się nie zgodziło na pogląd, że trzeba porzucić drogi, któremiśmy szli do chwili ostatnich klęsk, że trzeba oddać się wytrwałej pracy organicznej, pracować, uczyć się i korzystać z doświadczenia wieków. Niech autor, powtarzam, przytoczy jedno takie pismo, któreby stawiało program wprost powyższemu przeciwny, a przyznamy, że jego walka starych z młodymi miała owe kapitalne znaczenie, które usiłuje jej w swej książce nadać. Ale na taki główny program była zgoda, różniono się tylko co do środków. O-



wóz różnice w poglądzie na środki, wobec zgody na główny cel, mogą wywołać spory, ale przedewszystkiem spory takie streszczają się wszędzie do drugorzędnej walki moderantów z radykalnymi, i jako takie, wogóle niewiele mają związku z literaturą; bezwarunkowo zaś nie mogą stanowić ani przełomu, ani epoki, nie tylko już w literaturze, ale nawet w rozwoju umysłowości.

Toż samo mniej więcej można powiedzieć o wszystkich innych kwestyach, podnoszonych przez młodą prasę. Polemika; czy też walka, jak ją nazywa Chmielowski, była po większej części wypływem nieporozumienia się, z którego z kolei rzeczy zrodził się brak wzajemnej ufności, podejrzliwość, posądzania się wzajemne i zaciekłość... bez prawdziwego gruntu pod nogami. Młoda prasa np. stanęła po stronie bez pracy i głównych celów—słowem, po stronie pracy u podstaw, podnoszenia dobrobytu materialnego, po stronie udziału kobiet w pracy społecznej, po stronie równości wszystkich wobec pracy i głównych celów—słowem, po stronie wszystkich najpiękniejszych i najszlachetniejszych idei. Walczyć za takie przekonania byłoby i chluba i zasługa, gdyby ktoś stawiał im zawadę i przeciwko nim powstawał. Ale, na seryo, kto powstawał? Czy choć jeden człowiek, lub jedno pismo przeczyło, że należy rozszerzać oświatę między niższymi warstwami społeczeń-

stwa, że trzeba podnosić dobrobyt materialny? Czy istotnie był ktoś, coby się absolutnie nie godził na żaden udział kobiet w pracy społecznej? I to nie. W nieporozumieniach w tym względzie chodziło, co najwięcej, o zakres owej pracy, a to już jest kwestya drugiego rzędu. Czy na koniec przyszło choćby na chwilę komukolwiek do głowy wzdychać publicznie w pismach, należących do starej prasy, za czasami pańszczyzny lub twierdzić, że ten, kto się urodził szlachcicem, powinien mieć przywileje, wyróżniające go od gorzej urodzonych? Przeciwnie. Cała prasa u nas była i jest demokratyczną i gdyby ktoś wypowiedział jakiegokolwiek z pism warszawskich, uchodzących za najbardziej konserwatywne, dowiedziałby się co najwięcej, iż ono pragnie, by ludzie, noszący historyczne nazwiska, przez swój gorliwy udział w pracy społecznej, starali się zapewnić i nadal szacunek tym nazwiskom, otoczonym urokiem wieków. Jest to zapewne pogląd poniekąd konserwatywny, wymaga on bowiem uznawania historycznych nazwisk, ale nie tyle konserwatywny, by żądał jakiegoś przywileju, by odpychał kogokolwiek od pracy społecznej. Od biedy mogłyby się zgodzić na niego i Przegląd i Nowiny. Właściwie mówiąc, słusznie już zauważono, że kwestya arystokr. i demokr. jest kwestyą przebrzmiałą, mającą swoje znaczenie raczej towarzyskie niż społeczne. Kruszyć kopie o ta-

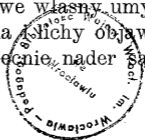
kie sprawy, jest to walczyć z wiatrakami. Tu niema powodu do walki, bo ona dawno i wszędzie została rozstrzygnięta. Dziś istnieje, zamiast demokratycznej, kwestya socyalna, kwestya pracy i kapitału; a ktoby się arystokracjami lub demokracjami jeszcze zajmował, tenby złożył tylko dowód, że jego zegar umysłowy spóźnia się nie o godziny, ale o całe dziesiątki lat. Nie było więc i niema powodu u nas do walki z tej przyczyny między starą a młodą prasą.

Cóż więc pozostaje? Oto kwestya klerykalizmu i anti-klerykalizmu. Rzecz ta zasługuje na bliższą uwagę. Takie dwie partye zarysowały się u nas, lubo w sposób nader umiarkowany i pośredni. Jedna z nich, uznając zresztą ogólny program, tyczący spraw wewnętrznych, pragnęła, by ów program przeprowadzać zgodnie z duchem katolicyzmu, — druga, nie uderzając wprost na dogmaty, szanując wiarę, stanęła jednak po stronie absolutnej wolności myśli i dyskusyi. Niektóre organa opowiedziały się mniej więcej po jednej lub po drugiej stronie, ale tylko mniej więcej, gdyż położyć wyraźnie karty na stół było niebezpiecznie ze względu na opinię, a bardziej jeszcze nie było potemu możności wobec warunków, w jakich wychodziły pisma. Chmury częstokroć musiały zostawiać pioruny... wiadomo gdzie. Mniej-

sza jednak o to. Partya klerykalna, jak wszędzie tak i u nas, pociągnęła ku sobie pokrewne elementy, zatem konserwatystów wszelkich odcieni—i w ten sposób uformował się obóz idący w imię wiadomych i ściśle określonych hasel. Drugi obóz szukał, jak twierdzi Chmielowski, dość długo swego hasła i znalazł je w pozytywizmie. Wszystkie siły młode, z małym przynajmniej wyjątkiem, wszystkie żywsze i gorętsze umysły ze starszych zgrupowały się pod chorągwią pozytywizmu—i walka rozpoczęła się. Była to jednak walka prowadzona z powodu licznych zewnętrznych, a zupełnie niezależnych okoliczności, nie wprost, ale ubocznie. Nie uderzano bezpośrednio na zasady, natomiast dyskutowano à propos. Każda najmniejsza kwestya, czy to naukowa, czy społeczna, nieraz i taka, na którą, gdyby była rozważana sama w sobie, obie strony mogłyby się zgodzić; dostarczała teraz powodu do wzajemnych przeciw sobie wycieczek. Ta pośredniość i uboczność walki odebrała jej wszelki donioślejszy charakter, a zwłaszcza wszelką wagę literacką, i zmieniła ją na czysto dziennikarskie bezowocne spory. Znaczna też część dzienników nie brała w niej nawet udziału—i wkrótce na placu boju zostali tylko najzwawszi. Rezultatem tej walki było tylko znużenie i zmarnowanie sił. Wogóle, wobec położenia, w jakim znajdowało się społeczeństwo,

była to kwestya pełna szkopułów, bardzo drażliwa, nawet niebezpieczna. Sytuacya była taka, że sami postępowcy czuli nieraz niesmak i obawę, by czasem mimowoli nie zagrać na jakąś fałszywą i obcą nutę. Bo należy wiedzieć, że nie biorąc w rachubę osobistych niechęci, które zapędzały niejednokrotnie dyskutujących za daleko, obie strony odznaczały się najlepszą wiarą—i twierdzenie przeciwne jest wprost fałszem. Pomimo tego walka, na ogół biorąc, była nadzwyczaj marną i nie przyniosła żadnych prawie rezultatów, któreby mógł i powinien zanotować historyk literatury. Używanie wszelkich kwestyi, jako powodów do dyskusyi, było także wielce szkodliwem, bo naprzód utrudniało traktowanie przedmiotowe tychże kwestyi, powtóre wyrosła z tego wzajemna nieufność, a po trzecie: zamęt. Opinia publiczna została wprowadzona poprostu w błąd i nauczyła się wydawać ryczałtowe sądy. Niech ktoś wspomniał z uznaniem o Auguście Comte, Millu, Bainie, Spencerze, natychmiast ogół, a po części i drobniejsze dziennikarstwo zaliczało go od razu z głową i z nogami do nieprzyjaciół kościoła. Działo się to odwrotnie. Niech ktoś nie zgodził się na jakikolwiek artykuł, ogłoszony w któremkolwiek z pism, należących do młodej prasy, niech krytykował śmiało utwór którego z jej koryfeuszów, niech zaprzeczył mu talentu lub rzucił doktrynerstwem, ogłaszano go hur-

townie wsteczniakiem, obskurantem, zaciekłym konserwatystą, klerykałem i tym podobnie. W sprawach ogólnych, choćby podejmowanych z najlepszą wiarą, krzyżuje się zawsze mnóstwo nici spraw osobistych; tam zaś, gdzie walka nie ma realnego gruntu pod sobą, prędzej-później rozdrażnienie i zaciekłość walczących zwraca się przeciw osobom. W ten sposób wytwarzają się przyjaciele i nieprzyjaciele, w ten sposób pełnią się kółka wzajemnych adoracyi, które przyznają wszystko sobie,—nic tym, którzy stoją na zewnątrz. Stąd krzewi się nietolerancya w takich właśnie organach, które z zasady i natury rzeczy powinny stać po jej stronie, stąd nakoniec ciasnota pojęć, gdy nikt nie wznosi się do obiektywnego poglądu ani na utwory literackie, ani na sprawy społeczne, ale każdy patrzy od środka ku brzegom, ze stanowiska własnej, nie partyi nawet, ale kliki. Owoce owej walki pożywamy poniekąd po dziś dzień. Kto nie chce jechać omnibusem, lecz jedzie własną, choćby jednokonną bidadą, na tego wyrok z góry gotowy. W ludziach sceptycznych do wysokiego stopnia względem dogmatów i zasad przez wieki uznanych i uznawanych wyrodziła się wiara dogmatyczną względem... swego własnego umysłu. Wątpić we wszystko, tylko nie we własny umysł—jest to lichy objaw wątpienia i lichego objaw wiary. A jednak objawy te obecnie nader częste.



Być pionkiem w danej ultrakonserwatywnej lub ultraradykalnej klicie jest może bardzo wygodne, bo się ma gotowe przekonania i społeczne i filozoficzne, i estetyczne—i wszelkie inne. Ma się swoje dogmaty i wedle nich się sądzi. Co się z nimi zgadza, jest dobre i piękne, co nie—nie. Zapewne. Ale, z drugiej strony, jest to nowego rodzaju obskurantyzm, jest to nowa niewola umysłowa, jest to uwolnić się z pod jarzma wielkich dogmatów dlatego tylko, by poddać się pod jarzmo małych, jest to porzucić idee a pójść w służbę do doktryn, jest to na koniec, sit venia verbo—mieć ciasną głowę. Swobodna i miłująca swoją wolność myśl potrafi wzbić się ponad to wszystko i patrzeć z zewnątrz na podobne walki bez rezultatów i bez zwycięstwa. Dziwna rzecz, że Chmielowski mógł ową walkę czysto dziennikarską przyjąć za podstawę do kreślenia swego „Zarysu literatury”. Choćby u nas owe partye wystąpiły przeciw sobie z dziesięć razy większą siłą, pytamy, jakie ten fakt ma znaczenie dla literatury? jeśli momenty walki nie zaznaczyły się dziełami, choćby tylko polemicznymi, ale wielkiej powagi i znaczenia? We wszystkich krajach europejskich istnieje dziennikarstwo ultrakonserwatywne i ultrapostępowe, ale zapewne nikomu nie przyszło na myśl, na podstawie ich polemiki, pisać zarysu literatury. Że takie partye istnieją u nas, objaw ten nie jest

żadnem poszczególnem znamieniem wyłącznie naszej umysłowości i literatury. Gdyby jaki profesor z Collège de France lub Sorbony napisał „Zarys literatury francuskiej” i patrzył na jej objawy ze stanowiska polemiki „Figara” z „Rappelem”, lub „l’Univers’a z „Intransigentem”, sam Chmielowski odmówiłby takiej książce powagi, autorowi zaś wyższego poglądu na sprawy literackie. Powtarzamy, że dziwimy się Chmielowskiemu, a dziwimy się dlatego, iż, opisując koleje walki, sam z sobą staje nieraz w sprzeczności. Oto np. kreśli powstanie walki, pierwsze strzały i kończy rozdział z pewną uroczystością w słowach: „Tym sposobem rozpoczęła się walka między starymi a młodymi. Okres przygotowawczy skończył się, rozpoczęła się walka o zasady”.

O jakie? Tu spodziewamy się wielkich rzeczy. Z tego, co wyżej powiedzieliśmy, pokazuje się, że na wielu polach nie było różnicy zasadniczej—nie mogło być więc i walki; tam zaś, gdzie się toczyła, jakie wydała owoce? Wydawnictwo „Przeglądu Tygodniowego” sam Chmielowski nazywa „makulaturą”, choć były tam i przekłady niezupełnie złe. „Niwa” wydała dwa tomy. To są całe owoce, o których mówi historyk literatury. Jakie drzewo, taki klin, jakie owoce, taka i walka. Ale w takim razie czemuż ją było brać za podstawę do kreślenia literatury? Jakim sposobem mógł czło-



wiek poważnie myślący, jak Chmielowski, zapowiadać tak szumnie połóg góry, skoro sam wyznaje, że urodziła się mysz? Czytelnik najbardziej nieuprzedzony. musi sobie powiedzieć: do licha z taką walką i taką literaturą. Oto po szumnej zapowiedzi rozpoczętej wreszcie walki o zasady, Chmielowski wyznaje, że częstokroć przebierano miarę, częstokroć drażniono się umyślnie, że walczący pod sztandarem Comte'a nie czytali go, że „brakło znajomości języków, geografii” i wogóle znajomości tego, o czem się rozprawiało. Doprawdy, jest w tych słowach obrona dla nie ulubionej przez autora starej prasy; boć ci tam, którzy wówczas kruszyli pióra z męstwem, godnem lepszej sprawy, mogliby odpowiedzieć: „nie walczyliśmy ani przeciw Comte'owi, ani przeciw Baine'owi, ani Mill'owi, ani Spencer'owi, ani Taine'owi, ani Darwinowi, ani przeciw żadnej osobistości, która z takich jest, jeno przeciw nieznanym języków, geografii i przeciw nieznanym tych autorów sławnych, znakomitych i przez nas szanowanych”. Następnie, przychodząc do konkluzji tej walki, Chmielowski mówi: „Zaznaczył się tu wszakże fakt nader smutny i bolesny: polemika, która od czasu do czasu przerywa drzemkę dzienników, ma już nie tyle charakter walk o zasady i przekonania, ile obronę lub potępienie pojedynczych autorów, lub pojedynczych organów prasy. Zdaje się, że na star-

cie ściśle naukowe, ze spokojem prowadzone, nie przysłała u nas jeszcze pora, nie zdobyliśmy bowiem tego stopnia ukształcenia, na którym, zamiast argumentów ad hominem, posługiwano by się dowodami przedmiotowymi zdobytymi długowiekową pracą nauki". Dodawszy do tego, co autor mówi w innym miejscu, że polemika była bezowocną i że wielu zmarnowało w niej siły i talenta, pozostaje chyba... szaty rozedrzeć nad książką. A jednak rozpatrywaliśmy rzecz bez uprzedzenia, raczej z uznaniem dla poprzednich prac i całkowitej działalności autora. Gdyby ta epopeja nie stanowiła podstawowej części książki, tego co stanowi poniekąd jej filozofię, zrozumielibyśmy jeszcze, że Chmielowski nie pominął i tego objawu, kreśląc ruch umysłowy ostatniego szesnastolecia, tak jak on objawił się w dziennikarstwie. Radzibyśmy w sobie i w czytelników wmówić, że tak jest,—ale niepodobna! Oto książka leży przed nami, a w niej cała pogładowa część, zatytułowana: „Przekonania i dążności”, nie mówi o niczem więcej, jak tylko o owej walce. Jest to oś, na której obraca się całe koło, jest to latarnia, która oświeca dalszą wędrówkę autora po ruchliwych falach twórczości lat ostatnich, jest to k a n o n, którego autor trzyma się w całej pracy i wedle którego wydaje wyroki. Zaiste, na ulotny artykuł, drukowany w jakim z ulotnych pism, taki punkt

wyjścia byłby wystarczający, ale dla dziejów literatury—to trochę za mało. Tu już potrzeba nie miary krawca, lecz Fidyasza. Czemu nie znalazł jej Chmielowski, czemu nie umiał spojrzeć z góry i obiektywnie na całą ową ruchawkę dziennikarską—odpowiedź łatwa. Oto on sam brał w niej czynny udział, włożył w nią swoją sympatyę, solidaryzował się z jednymi przeciw drugim. Poważany ogólnie za swoją pracowitość i erudycyę, stanowił jednakże działko ciężkiego kalibru w jednym obozie przeciw drugiemu, kręcił się w owym wirze, który się z nim kręcił i ciągnął go ku środkowi. Do wypłynięcia sił nie znalazł. Gdy pisywał studia takie jak o Rzewuskim, t. j. z przeszłości, to jest ze sfery, do której nie można było stosować uprzedzeń stronnictwa, tworzył rzeczy poważne, godne historyka literatury, krytyka i przyszłego profesora. Ale pisząc o czasach najnowszych, nadto był związany; może obawiał się stanąć sam z sobą w sprzeczności i stworzył tylko dzieło pisane z obozu do obozu; nie umiał i może nie mógł wznieść się ponad stanowisko warszawskiego dziennikarza, któremu rogatki zamykają widnokrag i który zapomina, że tam dalej jest kraj cały, który w „walce udziału nie brał, a i tworzył i pracował na inny zgola ład”. Stąd powstały idee literatury i wyroki o piszących, kreślone ze stanowiska walki ech w Przeglądzie, kilku artykułów dawnej

„Niwy” i dawnego „Opiekuna“ z jednej—a odpowiedzi od redakcyi „Kuryera Warszawskiego” z drugiej strony. Szkoda! Ucierpiał na tem zarówno obie części książki. Niemasz w niej obiektywności, bezstronności i prawdziwie głębszej krytyki. Gdyby Chmielowski nie wyszedł ze stanowiska walki starych z młodymi, gdyby, skonstatowawszy ją, wydzielił jej w rzędzie objawów należne miejsce, wówczas nawet zasługi jego stronnictwa przedstawiłyby mu się jaśniej. Niewątpliwie bowiem, przedewszystkiem „Przegląd Tyg.” a potem „Niwa“ i „Opiekun” mają swoje zasługi. Ale mają nie w polemice, bo ów sztuczny rozbrat i napaści w felietonach, echach lub ulotnych artykułkach były poprostu niepotrzebne, zbyteczne, szkodliwe i wypłynęły po największej części nie z zasadniczych różnych przekonań, ale z walki o byt między młodymi, którzy chcieli pisać, a starymi, którzy niechętnie patrzyli na konkurentów. Wina leży tu po obu stronach—zasługa zaś pism wyżej wspomnianych polega nie na ujemnem ich działaniu, ale na dodatniej żywotności, na poruszaniu kwestyi istotnie ważnych: pracy u podstaw, oświaty, zachęcania do przemysłu, do handlu, na przestrzeganiu przed naciskiem germanizmu, na budzeniu odrętwiałego po katastrofie ogółu słowy: obudź się i pracuj. Ale cała ta, najważniejsza, działalność nie była polemiką; o ile zaś polemika przyłączyła się do

niej, o tyle osłabiła jej wpływ, znaczenie i społeczny pożytek. Bądź co bądź, jednak działalność ta jeśli nie wydała większych, albo prawie żadnych owoców w znaczeniu ściśle literackim, to wydała społeczne—i gdyby Chmielowski z tego stanowiska, nie ze stanowiska walki, na nią patrzył, podniósłby: 1-o istotnie zasługi swoich, 2-o nie potrzebowałby zamykać epepei słowami, że w końcu nastąpiło zniechęcenie, drzemka i t. p. Nastąpiło poprostu znużenie bezowocną polemiką; przyszła chwila szczęśliwa, w której wzajem wymyślających sobie zaboląły języki i szczęki—ale zapal do dodatnich prac społecznych trwa.

Biorąc to wszystko na uwagę, cośmy powiedzieli dotąd, dochodzimy do przekonania, że zarys literatury z ostatnich lat szesnastu nie tylko nie odpowiada wymaganiom, jakie krytyka ma prawo bezwzględnie stawiać, ale nie stoi również na wysokości dotychczasowej działalności Chmielowskiego. Prócz ostrych i zjadliwych krytyk doczekała się ona także i bezwzględnego uznania, ale uznanie to wyrazili albo niepowołani, albo, co prawdopodobniej, było ono echem stronnictwa, albo nakoniec owócem zbytniego pośpiechu w pisaniu recenzji, który nie pozwolił piszącemu zdać sobie dobrze sprawy z rzeczy, o której pisał. Stanowisko, jakie zajął Chmielowski, wpłynęło ujemnie i na drugą część książki, zatytułowaną: Osoby

i dzieła. Krytyk w wydawaniu wyroków na osoby i dzieła, w ocenie poetów i powieściopisarzy kieruje się względem, o ile w pisarzu wybitnie wyrażnie tendencja społeczna i o ile tendencja ta zgodna jest z jego przekonaniem. Wedle tego wypadają pochwały i nagany, które częstokroć zdziwienie tylko w czytelniku wzbudzić mogą. Trudno bowiem uwierzyć, aby estetyk z powołania, który tyle już nieraz złożył dowodów trzeźwości, brał taką miarę do oceny talentu i twórczości estetycznej, — trudno przypuścić, aby zapomniał, że w dziele pięknem nie tendencja sama, ale „sposób artystyczny”, w jaki ona się swemu twórcy przedstawia i wciela, stanowi o wartości dzieła artystycznego. Można przecie, nie mając ani za grosz talentu, stawiać sobie tezy niezmiernie żywotne, ultra postępowe, lub jakie autor chce; chodzi więc głównie o to, w jaki sposób umie ktoś tezę swoją zakłać w artystyczne ciało, tak aby dusza z owym ciałem stanowiła nierozdzielalną jedność. W tem jest właściwość i istotna siła talentu. O tej prostej prawdzie zapomina Chmielowski, nie mogąc wzbić się i uwolnić od ustawicznie go trapiącej idei walki starych z młodymi i od rozdawania wieńców, w miarę jak ktoś stawał po stronie drugich. A jednak sam zaraz w początku pisze: „Nie użytkowano dotychczas (w powieści) tego nowego prądu, jaki się w umysłach objawił i po-

stawił przeciw sobie dwa pokolenia: starsze i młodsze". Nowy to dowód, że z owej „walki na niwie estetycznej nie wyrosło nic, i zaiste tu by można przytoczyć prarafrazę Osińskiego z Mickiewicza: „Cicho wszędzie, głucho wszędzie, nic nie było, nic nie będzie!" Jednak wedle tego „niczego" idzie dalej autor, mierząc jednych surowiej, drugich sympatyczniejszych łagodniej. Kraszewski został oceniony nader ostro. Zarzuca mu autor zazwyczaj brak całości, brak skoncentrowania efektów, obmyślenia sytuacji i artystycznego ich (efektów) ugrupowania.

Z przykrością widzimy, że podobne ogólnikowe zdania powtarzają się w ocenach wielu pisarzy, i nie rozumiemy prawdziwie, jak człowiek tak ścisły, jak Chmielowski, może posługiwać się podobnymi szablonami, przez które malując krytycznym pędzlem, można umalować na czarno każdego pisarza. Kraszewskiemu zarzuca także autor zbytnią wrażliwość, zapominając, że w większej części tą wrażliwością tłumaczy się tak płodna działalność tego pisarza. Nie możemy się zwłaszcza zgodzić na zdanie, że zakres kreacyi Kraszewskiego jest szczupły. Wprost przeciwnie. Nikt nie stworzył tylu ludzi z różnych epok i sfer, umysłowych i towarzyskich. Powieści te to wielka galerya, w której dokładniej lub bardziej szkicowo wy-

stępują ludzie dawni, barbarzyńscy, nowsi, poeci, filozofowie, prostacy, chłopci i arystokracja, szlachta ze wszystkich wieków; słowem, krócejby było wymienić kogo tam niema. Łatwość, z jaką autor je tworzy, bierze krytyk za brak badania faktów życiowych. Zresztą Chmielowski jest szczerym w tem, co pisze. Nie chce on uwłaczać zasłudze wielkiego pisarza; jeśli zaś jest za surowym, to mimowolnie. Na niektóre jego zarzuty możnaby się zgodzić, gdyby miara była dla wszystkich jednaka. Tak jednak nie jest i stanowi to nie małą ujemną stronę książki; gdyby bowiem czytał ją człowiek, któryby z niej dopiero chciał wyrabiać sobie sąd o rzeczy, mógłby sądzić, że są o wiele więksi pisarze od Kraszewskiego, i że jeśli autor postawił go na czele, to tylko ze względu na czas i wiek. Tę odmienną miarę widzi się zaraz w ocenie Jeża; przede wszystkim występuje ona jednak w tem, co autor pisze o Elizie Orzeszkowej. Tu Chmielowski dał się już zupełnie porwać sympatyom stronnictwa; z czego wynikło, że jest to nie ocena, ale od początku do końca przecenianie. Pisze on o Kraszewskim, że postacie jego „nie-upamiętniają się na zawsze i nie towarzyszą nam w życiu”. Pytamy: któraż to postać pani Orzeszkowej upamiętniła się Chmielowskiemu na zawsze i towarzyszy mu w życiu? Pamiętamy natomiast, że sam Chmielowski pisywał ongi dość ostre oceny utworów tejże sa-



mej autorki. Nie ulega kwestyi, że pani Orzeszkowa ma wielką łatwość tworzenia i odczuwa, jeśli nie do głębi, to przynajmniej nader żywo, prądy współczesne. Począwszy od pana Graby, napisała ona kilka niepoślednich powieści, ale talentowi temu brak właśnie wszelkiej plastyki. Wypowiedzieliśmy gdzieindziej, a tu uważamy za właściwe powtórzyć, że jeśli panią Orzeszkową będą czytać za lat sto, to ci przyszli czytelnicy dowiedzą się dokładniej, jakie prądy umysłowe przebiegały nasze czasy, niż jacy ludzie w nich żyli. Ludzie E. Orzeszkowej są istotnie dobrani do tendencji, idei, przekonań. Postacie te chodzą, rozprawiają, kłócą się, żenią, umierają w miarę jak im autorka każe, ale cech życia indywidualnego brak im najczęściej,—autorce proces właściwego wcielenia przychodzi z wielką trudnością; jeśli zaś udało jej się to lepiej w „Panu Grabie”, „Elim Makowerze” i „Meirze Ezołowiczu”, to bynajmniej nie udało jej to w szkicach, zatytułowanych: „Z różnych sfer”. Tu już zaiste trudno pojąć, jak człowiek obdarzony smakiem, jak Chmielowski, i z powołania estetyk mógł podnieść te właśnie utwory nad inne, i te właśnie nazwać znakomitymi pod względem treści i wykonania. Bezwarunkowo rzecz się ma przeciwnie. „Pan Graba”, „Eli Makower” i „Meir Ezełowicz” są to powieści dobre i znać w nich postęp, a „Z różnych sfer” całkowiec mierne. O dwóch osta-

tnich utworach autor mówi: „Najświeższe jej opowiadania: „Sylwek Cmentarnik” i „Widma”, w których zawarła „doskonale zaobserwowane, a świetnie pod względem artystycznym przedstawione” dzieje powstawania dążeń socjalistycznych, świadczy wymownie, że autorka z rokiem każdym rozszerza zakres twórczości swojej i t. d.” Zwłaszcza co się tyczy „Sylwka Cmentarnika” zmienilibyśmy chętnie wyrażenie autora na następne: „doskonale zaobserwowane a wcale nie świetnie pod względem artystycznym przedstawione dzieje i t. d.” „Sylwek Cmentarnik” jest poprostu nudny. Tarnowski w odczytach swych o najnowszym powieściopisarstwie polskim wyznaczył Elizie Orzeszkowej wcale podrzędne miejsce; że zaś nie same przekonania autorki wpłynęły na ten jego wyrok, dowodem tego, że skrajniejszego jeszcze Świętochowskiego postawił jednak wyżej. Chmielowski miał wszelkie prawo nie ukrywać swych sympatyj dla kierunku Orzeszkowej, ale powinien był ocenić ją przedmiotowo jako artystkę, inaczej może się narazić na zarzut, że to, co o niej pisze, jest panegirikiem dla osoby swego stronnictwa. Wygląda to tak zwłaszcza przy ocenie Bolesława Prusa, który wprost został pokrzywdzony. Autor krytykuje młodociane próby tego pisarza, jak np. „Listy ze starego obozu”, lub „Kłopoty babuni”, które są tylko pierwszymi krokami na niwie bele-

trystycznej, a opuszcza najlepsze jego utwory, jak „Lokatora z poddasza”, „Sen Jakóba“ i mnóstwo innych. Gdyby Chmielowski nie był zapomniał o pierwszej tej pracy, nie byłby z pewnością napisał, że Prus nie ma talentu do przedstawiania ludzi rzeczywistych; że figury jego są to „karykatury, podobniejsze pod względem zachowania się do pawianów niż do rodu człowieczego”. Podawać taki wywód, jako ogólnie charakteryzujący pisarza, dlatego, że ten jako jeszcze student napisał kilka fars, a zapominać o dalszej jego działalności, nadzwyczaj dodatniej zawsze pod względem społecznym a nieraz wybornej pod względem artystycznym, jest to zaiste iść zbyt daleko na drodze antypatii. Tak nie wolno! Należy pamiętać, że prócz krytyka, krytykowanego i ich wzajemnych sympatii lub antypatii jest jeszcze ktoś, komu z obowiązku trzeba mówić prawdę, to jest ogół czytelników. Oto leży przed nami pierwszy tom utworów Prusa. Obejmuje on „Przygodę Stasia”, „Antka“, „Powracająca fale”, „Michałka“ i „Sieroce dole“. O tych wszystkich powieściach niema ani słowa w Zarysie literatury polskiej z ostatnich lat szesnastu. Co to znaczy? Jak sobie tłumaczyć podobne przemilczenia? Biorąc na uwagę sumienność Chmielowskiego i usuwając na bok wszelkie podejrzenia, że owo milczenie jest umyślnem, niepodobna jednak nie dojść do wniosku,

że książka jest do wysokiego stopnia stronna i do wysokiego stopnia niedokładną. Takie dwie wady wystarczają, by odmówić jej wyższej wartości. Dowiadujemy się o Prusie, że jego „rysunek charakterów daleki jest nie tylko od mistrzostwa, lecz nawet od poprawności; kompozycja zaś całości bardzo luźna”. Ośmielimy się wbrew tej opinii twierdzić, że Prus w „Lokatorze z poddasza” i w „Powracającej fali” dochodzi do wysokiego stopnia biegłości w kreśleniu charakterów. Twierdzimy wprost, wbrew Chmielowskiemu, że ludzie Prusa tacy, jak stary Jakób, jak młynarz Stawiński, kowal Szarak, jak Niemiec Gotlieb Adler, są to przewyborne typy, obserwowane świetnie i oddane z dickensowską plastyką. Gdy stary Adler rozpacza po stracie syna, zdaje się czytelnikowi, że tę elementarną duszę ludzką trzyma wprost za puls i odczuwa wszystkie jej bolesne drgania. Chmielowski jednak widocznie nie czytał „Powracającej fali”. Ale w takim razie któż ma czytać, jeśli nie ten, kto pisze literaturę? Co do nas, żadna z postaci E. Orzeszkowej, ani nawet w noweli lepszego od niej Okońskiego, nie upamiętniła nam się w życiu i nie towarzyszy na zawsze; natomiast pamiętać będziemy długo biednego Jakóba i tragicznego w swym rozdartym egoizmie Adlera. Zestawiamy te najlepsze utwory Prusa z nowelami Okońskiego i zdajemy się na sąd każdego bezstronnego czytelnika.

ka, czy owe drugie nie ustępują pierwszym pod względem plastyki, charakterów i tej czysto literackiej zdolności tworzenia ludzi żywych? A jednak Karol Krug, Damian Capencko i Klemens Boruta znalazły łaskę u Chmielowskiego—o Prusie przemilczał. Z tego, co napisał, czytelnik może sądzić, że, o ile Okoński jest znakomitym nowelistą, o tyle Prus mierzalnym—i tak sądząc, czytelnik będzie się mylił; opinia, prowadzona w ten sposób, jednym nad zasługę się pokłoni, drugim nie odda tego, co im się należy. Zawsze i wszędzie te błędy, ten brak wyższego polotu w sądach o utworach beletrystycznych, przypisać należy fałszywemu zasadniczemu stanowisku Chmielowskiego. Stanowisko to nie jest dość wysokie, nie dość obiektywne, pogląd niewyrobiany, młodzieńczy i zaciasny do pisania literatury, bo formowany z punktu widzenia dziennikarza należącego do partyi. Odbija się to ciągle i fatalnie w ustawicznych kontradycjach. Mówiąc o Świętochowskim, autor pisze: „Przenośnie jego i porównania oryginalne, świeże, a zwykle nader trafne, nie mają nic wspólnego z figurami retorycznymi; polegają one przeważnie na przywracaniu znaczenia konkretnego”. Pisząc to, Chmielowski sprzeciwia się sam sobie; bo jakże nazwać taki sposób pisania, jeśli nie właśnie retorycznym? Świętochowskiemu mniej chodzi o to, by osoby jego dramatów zarysowały się

w dyalogach ze strony swych charakterów, jak o to, by parowały jedne cięcia i pchnięcia językowe drugimi. Taki sposób pisania wywołał dalszą uwagę Chmielowskiego, że „bogactwo i różnorodność natury ludzkiej sprowadzone zostały w dramatach Okońskiego do minimum”. Ale znowu jest to sprzeczne z tem, co mówi autor o świetnościach stylu rzeczzonego pisarza, bo jeśli styl ten polega w znacznej części na nadawaniu wyrazom abstrakcyjnym znaczenia konkretnego, tedy częstokroć musi być zawiłym, wysilonym i wysoce sztucznym. Jest to metoda zapożyczona od Szekspira, ale w Szekspirze odbija ona sposoby mówienia współczesnego, współczesną modę. Postacie żyjące za czasów szekspirowskich, lordowie i baronowie z dworu Elżbiety, istotnie tak a nie inaczej mówili. Szekspir, kładąc im w usta retorykę, sztuczne igranie ze słowami, lub każąc szermować językiem, czyni to umyślnie, a nieraz i w sposób satyryczny. Dramaturg, który tworzy przeważnie tylko dyalektyków, nie zaś żywych ludzi, mija się z dramatycznym założeniem. Między pracami Okońskiego są bardzo dobre, jak: Antea, Helvia, Na targu, ale i słabe, wymęczone i sztuczne, jak: Ojciec Makary lub Błazen. Autor przestaje być w nich oryginalnym. Naśladuje język Szekspira w tem, co za czasów szekspirowskich było przymiotem a dziś i w dzisiejszem pisaniu jest wadą—

nie umie zaś pójść za Szekspirem w odtwarzaniu całego bogactwa i różnorodności natury ludzkiej. Świętochowski posiada umysł bystry i styl wyrobiony; jest niepowszednim publicystą, ale pisarzem średniej miary, którego główną wadą jest, że częstokroć w tworzeniu wysila się i przesadza. To, co o nim pisze Chmielowski, pisze ze stanowiska partyi. Jest to wieniec za waleczność w walce młodych ze starymi. Z tegoż stanowiska stara się Chmielowski wytłumaczyć Narzymskiego, że w swej komedyi „Pozytywni” nie myślał zapewne o pozytywizmie Comte’a. Naszem zdaniem, gdyby nawet miał na myśli wykazanie zgubnych owoców tejże filozofii, stosowanej bezwzględnie w życiu praktycznem, to nie ubliżałoby jego artystycznej zasłudze, gdyby tylko sama komedya nie była gorszą niż jest. Nieprzyjemnie także razi w książce Chmielowskiego ustawiczne powtarzanie komunalnego zarzutu w luźności kompozycji. Zarzut ten stosowany jest do Kraszewskiego, do Prusa, do Łozińskiego. Zdaje się nieraz, jakoby Chmielowski mówił to dlatego tylko, że mu wypada postawić jakiś zarzut. Czasem spotykamy tak dziwne kontradykcyje, że znowu nie chce się wierzyć czytając. Oto np. o Sabowskim mówi Chmielowski: „Posiada on równą (Bałuckiemu) a może i większą żywość stylu, iskrzący się dowcip, dard nader trafnej obserwacyi i tę „umiejętność za-

ciekawiania”, która każe odczytywać utwory jego do końca, choć czasami czytanie to nie jest wolne od nieprzyjemnego tu i owdzie ziewnięcia”. Jedno z dwojga: albo się nad Wołodym Skibą nie ziewa, albo Wołody Skiba nie posiada daru zaciekawiania; jeśli zaś się ziewa, to dar ten jest małym. Przedewszystkiem jednak co kogo nauczy taki sąd o pisarzu?

O całej literaturze naukowej, zatem historycznej, filozoficznej i naukach przyrodniczych, niewiele nas poucza „Zarys literatury”. Tam, gdzie nie było można przygotować ogólnego punktu widzenia, tam gdzie spokojna, ściśle naukowa praca nie dawała się zamknąć w ramy dziennikarskiej walki młodych i starych, autor traci poniekąd filozoficzny grunt pod nogami, i zamiast dać syntezę ruchu naukowego, podaje tylko szczegóły. I tu zbyt mała szerokość ram jest przyczyną owego braku syntezy. Rozdziały też końcowe są tylko mniej więcej dokładnym katalogiem dzieł i autorów. Nie związane w jedną organiczną całość z poprzedniami, a zwłaszcza z pierwszą częścią książki, wyglądają one jak luźny dodatek, przyczepiony gwoli konieczności uzupełnienia dzieła. W drugiej zresztą jego części znajdzie się nieco i trafnych uwag, ale przeważające wady, w połączeniu z fałszywym punktem wyjścia, brakiem obiektywności i ciasnym stroniczym poglądem, jakim odznaczają się „Prze-



konania i dążności”, sprawiają, że całe dzieło uważać musimy za bezwarunkowo chybione. Jako kryterium do tego sądu o Chmielowskim użyliśmy samego Chmielowskiego, i z porównania takich prac jego, jak studyów o Kaczkowskim, Rzewuskim, z „Zarysem” doszliśmy do przekonania, że „Zarys” nie stoi na wysokości dotychczasowych prac autora. Od Chmielowskiego można było i oczekiwać i żądać więcej. W tych ostatnich słowach leży może potępienie dla książki, ale uznanie dla autora. Pisaliśmy sine ira et studio. Dla Chmielowskiego „Zarys” może być wskazówką na przyszłość, jak niebezpiecznie jest zamykać sobie dobrowolnie horyzont, występując z sądami o całości literackiej w barwie dziennikarskiej partii. Książka jego nie jest dowodem, jak trudno jest pisać dzieje współczesne, ale jak trudno jest pisać dzieje współczesnemu, który nie umie na sobie przemódz, by nie występował jako rzecznik jednych przeciw drugim. Rozumiemy, że historyk literatury musi mieć swoje przekonania; i tam, gdzie walka toczy się o zasady pierwszorzędne w literaturze znaczenia, gdzie idzie o takie: być albo nie być, jak szło między klasycyzmem a romantyzmem, tam musi opowiedzieć się pod tą lub ową chorągwią. Ale gdzie ideały są jednakie, a rozdział sztuczny, a walka błaha i bezcelowa, tam trzeba umieć patrzeć z góry, tam rzecznictwo za je-

dnymi przeciw drugim błahe tylko może wydać owoce. Do takich owoców cierpkich a przedwcześnie z drzewa spadłych musimy z przykrością zaliczyć „Zarys literatury polskiej z ostatnich lat szesnastu”.

Mówimy: z przykrością, gdyż w Chmielow-  
skim jest materyał na to, by w przyszłości za-  
jął podnioślejsze stanowisko. Sam on w końcu  
wylaża życzenie, by nie posądzali się i nie szka-  
lowali wzajemnie. Mówi dalej, że potrzeba u  
nas poglądów spokojnych i beznamiętnych, „bo  
spotwarzanie się wzajemne jest dowodem gorą-  
cego usposobienia, ale niewielkiej nauki”. Koń-  
czy wreszcie na zdaniu, że tam, gdzie cel jest  
wspólny, tam należy i zrobić wiele ustępstw.  
Złote słowa! Ale gdy się wierzy w cel wspólny,  
gdy się wzywa do pokoju, po cóż było apoteozo-  
wać walkę prowadzoną nie tylko nie o cele, ale  
nawet nie o środki? Po co było ostatniemi sło-  
wami książki przeczyć pierwszym?!

## V. Szkice Literackie.

### II.

Pisma Bolesława Prusa. Przygoda Stasia. Powracająca fala. Michałko. Sieroca dola. T. I. Warszawa 1881.

W młodszej generacji pisarzy Bolesław Prus zajął jedno z wybitniejszych stanowisk. Jest to talent, zbyt mało może dotąd podnoszony przez krytykę, ale lubiony przez czytelników i wpływowy. Ci nawet, którzy znajdują go zbyt szorstkim, chętnie biorą w rękę jego utwory; literaci, ludzie fachowi, umiejący ocenić robotę artystyczną i lubować się nią, mimo usterków całości doznają prawdziwie przyjemnego uczucia, wczytując się w te prace pełne humoru, prawdy, wybornej charakterystyki i samorodności talentu, który tworzy łatwo, naturalnie i nadzwyczaj szczerze. Nakoniec, mimo iż w utworach Prusa akcja oparta jest częstokroć na dość zawiłych procesach psychologicznych, czytają go jednak z zajęciem i ludzie prości. Tworzy on sobie czytelników w sfe-

rach, w których nikt z piszących nie umiał ich dotąd utworzyć—i to jest wielka Prusa zasługa. Fakt ten tłumaczy się tem, iż owi czytelnicy, stojący na niższych szczeblach oświaty i rozwoju duchowego, znajdują w utworach Prusa samych siebie. Wielu spraw i obrazów nie rozumieją zapewne jasno, ale w całości uderza ich, mimowolnie może, trafna prawda, dająca się zastosować w życiu praktycznem do nich samych, do ich sąsiadów i znajomych. Życie samo daje im klucz i kryterjum do tych powieści. Ale Prus nie tylko wytworzył sobie czytelników w klasach, które dotąd nie czytały—wprowadził on i do literatury beletrystycznej żywioł dotychczas prawie wcale przez nią nie uwzględniany. Kto wyjedzie na przedmieścia stolicy, ten ujrzy domy przydrożne coraz mniejsze, nędzniejsze, coraz bardziej środkujące między miejskimi budowlami a chatami wiejskimi, wreszcie dojedzie do miejsca, w którym niewiadomo co ma przed oczyma: wieś czy miasto. Domki bywają czasem jeszcze piętrowe, ale już drewniane; za domami ciągną się ogrody i wyczołki pól uprawnych, przed mieszkaniem stoja kałuże wody, w której rozkoszują się gęsi i kaczki, ale w domach samych istnieją jeszcze sklepiki, nad nimi szyldy, jak w miastach. Takie podmiejskie okolice zamieszkuje też i ludność, środkująca między miejską kapotą a wiejską siermięgą: klasy wyro-

bnicze, utrzymujące się bądź to z pracy fabrycznej, bądź z dziennego w mieście wyrobku.

Są to pół chłopi, pół mieszczenie. Wobec zmienionych warunków, gotowi oni trudnić się i rolą, ale w mieście są jak u siebie; wiedzą gdzie czego szukać i jak się obrócić. Tę klasę ludzi Prus pierwszy wprowadził do literatury, zarówno jak i klasy niższe czysto mieszczańskie, bądź stołeczne, bądź prowincjonalne: niższych rzemieślników, woźniców, robotników rekrutacyjnych, parobków mularskich, brukarzy, młynarzy, kowali i t. p. Literatura powieściowa szukała przedmiotów w salonach, w dworach szlacheckich, dworach zaściankowych i w chatach wiejskich, ale pomijała zaułki i żyjącą w nich warstwę społeczną, ważną, bo liczną, a mającą tę wyższość nad wieśniactwem, że przejęta jest duchem obywatelskim. Prus obserwował właśnie tego rodzaju ludzi podobno od dzieciństwa, stąd łatwo mu było otworzyć drogę do tego ulicznego świata. Jakoż stworzył on przed nami dusze takich ludzi, odmalował ich byt, dolę i niedolę, ich obyczaje, i pierwszy przemówił w druku ich sposobami myślenia i mówienia. Prus z natury swej jest filantropem, dlatego ta klasa ludzi, po większej części biednych i potrzebujących opieki społecznej, pociągnęła go nadzwyczaj szczerze. Z drugiej strony pociągnęły go ku niej także i zamiłowania artystyczne. Jest on bystrym ob-

serwatorem. Już samo przypatrywanie się objawom wybitnym, to jest objawom takiego życia, które nie wtłoczone w jednostajne i konwencyjonalne formy wpływami wychowania, przedstawia się w pierwotnej szczeroci. Stąd kuźnia, w której kowale, kując młotami, mówią, co im tylko do głowy przyjdzie, albo warsztat szewcki więcej mu się uśmiecha, niż salon, w którym każdy się miarkuje i stara się być podobnym do swego sąsiada. Temu autorowi, posiadającemu najwięcej prostoty ze wszystkich piszących, najbardziej przypadają do smaku i ludzie prości. Patrząc na nich, słuchając ich gwary i notując co ujrzy lub usłyszy charakterystycznego, uśmiecha on się uśmiechem najserdeczniejszego w świecie humoru, który rodzi się z porównania tych właśnie ludzi i ich umysłowego rozwinięcia z ludźmi, należącymi do klas wyższych. Humor, wydobyty tak naturalną drogą, musi udzielać się i czytelnikom, którzy także porównywając siebie z bohaterami prusowych powieści, mogą łatwo a z przyjemnością zauważyć swoją obyczajową wyższość, a zarazem ubawić się oryginalnością—opisywanych stosunków. Prus może jeszcze i dlatego zwraca się tak chętnie ku niższym klasom miejskim, że humorystycznego żniwa dostarczają mu one jeszcze obficie od wiejskich, gdyż nie są tak odrębne, nie tworzą świata zupełnie innego, a przytem z prostotą i szczerocią wie-

śniaków łączą pewne frantostwo i wygadanie się czysto miejskie. Nakoniec Prus styka się z nimi codziennie, kocha je i przejmuje się losem równie szczerze jak bezpośrednio. Stąd nadzwyczajna prawda w jego utworach. Z bezpośredniej obserwacji i z życia czerpiąc — życie daje. Pod względem też obyczajowym powieści jego są pierwszorzędnej wartości. Pisze on je nie dlatego, żeby coś napisać, żeby zjednać sobie sławę literacką, pootwierać szpalty zamkniętych dzienników, ale z czystego zamiłowania. Z tego powodu pisze dobrze. Kto mocno czuje, ten tworzy z siłą, a tam prawda mówi sama za siebie, choćby całość nie była należycie w powieściowy sposób zaokrąglona i ściągnięta w literackie zakończenie. Umysł ten, z natury trzeźwy i zachwycający się realnością życia, postanowiwszy sobie raz chwycić jego objawy, gdy ich się nachwyta dostatecznie tak żywych i istotnych, że prawie pałąk w głowę bije — mniej dba o resztę. Jest w takiej metodzie pewna brawura, ale jest tu i zapominanie o tem, że same fakta życiowe nie stanowią jeszcze powieści. Prawda, że Prus nie widzi w naturze grupowania się faktów w jakieś organiczne całości, więc może uważa to za zbyteczne i w literaturze. Jest to realista najczystszej wody nawet i pod tym względem. Ale natomiast nie baczy na to, że powieściopisarz powinien właśnie takie wybierać fakta, tak je grupować i

ustawiać, by tworzyły całość, i że takie „organizowanie” jest poniekąd zadaniem powieści. Życie dla autora powieściowego jest tem, czem glina dla rzeźbiarza, która dostarcza mu realnego materiału, ale sama przez się jest bezkształtną. Dopiero pod ręką artysty, zapatrującego się na kształty życiowe, nabierała ona form plastycznych. Ale czerpiąc ogólne wzory w naturze, artysta winien umieć zrobić wybór, winien tchnąć w nią własnego ducha, zaprowadzić ład artystyczny i wyrazić przez nią swój ideał. Jest to twórczość wyższa nad naśladowanie natury, w której z konieczności mieści się już pojęcie organicznego planu. Nie mówimy, by w utworach Prusa nie było zgoła żadnego planu, by one wcale nie tworzyły całości, warunki te jednak uważa Prus za podrzędne, główną wagę przywiązując do stworzenia człowieka, do wykazania jego życia a najczęściej i jego niedoli, w tak niepowiązanych stosunkach, w jakich rozegrywa się życie w naturze. Z tego powodu można powiedzieć, że w utworach Prusa prawda przeważa nad pięknym ładem, z drugiej zaś strony można o nim także powiedzieć i to, co H. Taine mówi o Dickensie, to jest, że ludzkość więcej kocha niż sztukę, czyli że filantrop góruje nad artystą. Weźmy pierwszą jego nowelę ze zbioru ogólnego, zatytułowaną: „Przygoda Stasia”, a wraz ujrzymy, o ile mniej Prusowi chodzi o kompozycję, ni-



zli o typy. Treść tej noweli następująca: Młynarz Stawiński ma córkę Marysię, trochę dziwką, ale hożą jak róża dziewczynę. Od śpiewania brzmiał cały stary młyn, staw, trzciny i zarosła nad stawem. Dziewczyna mimo całej swej realności jest jak „Wiochna” Lenartowicza: śpiewa i roi. Gdy się zabłąka w łódce na stawie, i gdy mgły ją otoczą, stary młyn woła na nią niby gniewliwie, a troskliwie: Małgoś! Małgoś! Małgoś! Wreszcie gdy z wiekiem mgliste jej marzenia coraz wyraźniejsze przybierają kształty, znowu młyn przychodzi jej z pomocą. Oto pęka w samym środku. Dla reparacyi przyjeżdża kowal Szarak i... każdy inny pisarz osnułby tu sielankę, któraby się skończyła małżeństwem lub pogrzebem. Dla Prusa to dopiero początek powieści. Myliłby się przytem czytelnik, gdyby przypuszczał, że kowal z młynarzówną wiodą rozmowy nastrojone na ton wysokiej liryki. Oto dwa dni dopiero jak się poznali, robota już skończona, a teraz siedzą pode młynem i Małgosia rozpytuje:

— To pan Józef mieszka o pół mili za miastem, na górze?

— Ale, ale. Na onej, co do łąki idzie, co to jest płot chróściany i trochę drzewin—odparł kowal.

— Jakiby tam sad był! Zarazbym nasadziła buraków, kartofli, fasoli i kwiatów, żeby to moje.

Kowal spuścił głowę i milczał.

— I chatę pan Józef ma ładną. To ta, co przy niej studnia z żórawiem?

— Juści ta, ale niema komu dbać o nią.

— Żeby tak na mnie -- mówiła Małgosia -- obieliłabym ją jak się patrzy, w oknabym dała firanki i doniczki, w izbie zawiesiłabym wszystkie te obrazy, co mam... Czemu pan Józef tak nie zrobi, zarazby mu przecie było weselej.

Kowal westchnął.

— Eh! — rzekł. — Żebyśmy tak bliżej mieszkali, toby mi zaraz Małgosia ochoty dodała i poradziła gdzie co zrobić!...

— Oj! oj! samabył nawet zrobiła, jakby pan Józef poszedł do kuźni!

— Ale na taką dalekość — ciągnął kowal, biorąc dziewczynę za palce — toby pewnie Małgosia nie chciała odejść starego?

Teraz młynarzówna umilkła.

— Okrutnie mi się Małgosia spodobała, sprawiedliwie mówię! jak człowiek teraz wróci do domu, to rady sobie nie da. Ale Małgosi nic po tem! Małgosi toby się jaki rządca patrzył?

— Ja przecież wiem, co pan Józef jest warty! — ofuknęła go dziewczyna, odwracając głowę.—O żadnych tam rządcach nie myślę, tylko o tem, żeby...

I znowu umilkła, ale teraz kowal wziął ją już za całą rękę.

— No — spytał — a poszłaby Małgosia za mnie?

. . . . .

Ani jednej fałszywej, sentymentalnej nuty w całej rozmowie, a pomimo tego czytelnik czuje, że kowalowi naprawdę „okrutnie” się Małgosia spodobała. Jest to śliczny dyalog, bo naprzód i kowal i młynarzówna rysują się w nim odrazu z całą charakterystyką ludzi swej klasy. Czuje się, że to portrety—i to poczucie trafności podobieństwa, które czytelnik sprawdza, sprawia mu niemałe zadowolenie. Prócz tego mimowoli porównywa całą naiwność Małgosi, która sama prawie wprasza się kowalowi, z wytwornością form używanych w takich wypadkach między klasami wyższemi. Z tego porównania znowu rodzi się komizm najszczerzy w świecie. A jednak rozmowę tę wyjeliśmy na chybi trafi. W całej noweli pełno jest podobnych. Gdy stary Stawiński płaci kowalowi za robotę — Szarak jest markotny.

— A co, synku — pyta młynarz — jeszcze ci krzywda, żeś mi dwadzieścia i trzy ruble z kieszeni wypłoszył?

A kowal na to:

— Za takie wyrychtowanie młyna toby mi się i córka od was należała.

— Co?—krzyknął stary, — może wolisz dziewczuchę niż pieniądze?

— Wolę i to i to.

Stawiński spojrział mu bystro w oczy.

— Ale ja za nią teraz gotówki nie dam, dopiero po mojej śmierci.

— Dłużej mnie niż wam na świecie — odparł Szarak i pocałował go w rękę.

Znowu i prawda, i charakter i konizm. Któżby z czytelników tak naiwnie powiedział teściowi: „dłużej mnie, niż wam na świecie!” i pocałował go przytem w rękę? Ale takie rozmowy nie stanowią wszystkich piękności. W tym realiście, w tym malarzu ze szkoły flamandzkiej, siedzi poeta, który pod wpływem piękności natury rozmarza się, i wtedy czuje mocno i maluje prześlicznie stosunek natury do człowieka żyjącego z nią blisko.

Oto dowód na poparcie tego zdania:

„We święta młyn cichnął. Tylko zardzewiałe chorągiewki na dachu skwierczały żałośnie, a przy stawidłach szemrały cienkie strumienie wody, z płaczem upadając na ślizkie koła. Wówczas, jeśli latem wieczór był ciepły, siadała Małgosia w czółno i płynęła het! na ogromny staw, skąd było tylko widać wierzchy młyna.

„Tu zadumana nad głębią, gdzie jak cienie mknęły ryby, przysłuchiwała się szelestom tataraku na kępach, krzykom zwołujących się

ptaków wodnych, albo zwiesiwszy głowę na krawędzi czółna, patrzyła jako z dna stawu wypływają gwiazdy jedna za drugą, a na powierzchni fali drży długi snop księżycowego światła. Niekiedy widywała cieńsze od pajęczyny szaty, które dziewice wodne wieszały na kropkach nocnej rosy... To welon... to płaszcz... a to suknia powłóczysta... Pływała ku nim, lecz wiatr odrzucał je na łękę, na której wnet tworzyło się jezioro z mgły srebrnobiałej, pełne pląsających blasków i cieniów... Kto się tam bawił i dlaczego jej nie dopuszczano?

„Tymczasem nadchodziła północ. Łódka poczynała drżeć, między kępami rozlegały się ciche pluskania, poza trzciną rozpałały się światła tajemnicze i blade, zdradziecka mgła zasnuwała drogę Małgosi i słychać było, jakby ktoś szeptał po kępach: „Hej! hej! nie wyjdzie stąd dziewczyna!”

„Ale nad samotną czuwał młyn, wierny przyjaciel. Nagle drobnoszybne oczy jego w oponę mgły rzuciły płomienie, czarne wielonożne cielsko poczęło dygotać i w tej samej chwili doleciał uszu otumanionej dziewczyny znany jej hukliwy głos, który wołał z gorączkowym pośpiechem:

— Małgoś! Małgoś! — Małgoś! Małgoś?

„Teraz dziewczucha spokojnie odkładała wiosło, bo porwany w ogromną paszczę mlyna

prąd wody sam ku stawidłom niósł czółno. Kładła się na dnie łódki, jak senne dziecię w łagodnie bujanej kołysce, z uśmiechem patrzyła na blade płomyki, skaczące z gniewu nad bagnem, i na chłodne, wilgotne sieci dziewic wodnych, które ją omotać chciały. A stary młyn coraz mocniej gniewał się i krzyczał: Małgós! Małgós! Małgós! niespokojny o swoją dziewczynę...”

Przytoczyliśmy cały ten ustęp, gdyż jest on poezją najczystszej wody, nie naśladowanej znikąd, ale płynącej z głębokiego poczucia natury, z przejęcia się jej pięknosciami i z umiejętnej obserwacji. Młyn w tym opisie jest istotą żyjącą, która kocha, gniewa się i troszczy. Ze wszystkich piszących Prus posiada największą zdolność obserwowania rzeczy martwych lub istot bezrozumnych. Ta właściwość zbliża go także do Dickensa. Jest to wyobraźnia rzeczy, miejsc i szczegółów, z której autor umie wykrzesać i sytuacje liryczne i szczególniejszy komizm. W dalszym ciągu powieści pełno na to dowodów. Małgós wychodzi za mąż za Szaraka, dotrzymuje zapewne wszystkich obietnic co do wybielenia chaty i zasadzenia ogrodu, a nadto po roku przynosi mu małego Stasia. Odtąd ów Staś i jego czworonożny przyjaciel Kurta stają się bohaterami opowiadania. Właściwie o nich to rzecz idzie, a raczej o małego Stasia, którego w końcu spotyka niezbyt dramatyczna

przygoda. Oto matka, wybrawszy się do dziadka Stawińskiego, przywiązała wózek Stasia do wolanta sędziego Łaskiego. Pod górę było dobrze, ale gdy nagle sędzia zjechał z góry, Staś zniknął z oczu matce. Nie pomogły krzyki i wołania. Pan sędzia tymczasem przyjechał do domu, nie wiedząc, jaki ciągnie za sobą dodatek. Goście się śmieli, szafarka utrzymywała, że malec do pana podobny, a pani sędzina, piękna bezdzietna blondyna, oświadczyła ze łzami mężowi, „że mu to przebacza”. Wreszcie właściwa matka odnajduje zgubę i... koniec.

Musielibyśmy chyba całe ustępy cytować, chcąc dać dokładne wyobrażenie czytelnikowi, ile i jak wybornej autor zużył obserwacyi na odmalowanie małego Stasia i pierwszych jego wrażeń. Jest to poprostu znakomite studyum psychologiczne, pisane z powieściopisarską werwą i niezrównanym humorem. Kurta odmalowany z równą miłością jak Staś. Tu autor czuł się na właściwym gruncie, bo też sen Kurty, w chwili gdy pilnuje śpiącego w ogrodzie malca, mógłby nawet hypokondryka rozweselić.

Wszystkie te miejsca są pierwszorzędnej wartości; ale rzućmy teraz okiem na całość. Oto naprzód „Przygoda Stasia”, a z nią i powieść, mogłaby się śmiało zaczynać od przyjęcia na świat samego Stasia. Młynarz Stawiński, młyn, Małgosia jako dziewczyna, Szarak jako

majster wezwany do naprawy młyna,—słowem, cały początek powieści jest prześlicznym dodatkiem, ale zgoła luźnym i nie stojącym w bezpośrednim związku z samą przygodą. Czytelnik z początku spodziewa się, że utwór jest nowelą, której treść polega na miłości kowala do młynarzówny; potem spostrzega, że jest to epizod stanowiący sam w sobie odrębną całość, a że głównie chodzi o Stasia. Doczytawszy wreszcie do końca, trudno nie zadać sobie i autorowi pytania: czy warto było nagromadzić tyle typów, tyle podpatrzonych tak bystro objawów życiowych i tyle piękności, by skończyć na przyczepieniu wózka z malcem do wolanta i na sytuacji, w której główną rolę gra zaambarasowanie się sędziego i Stasiowej matki? Treść nader błaha! brak porządku w grupowaniu epizodów i prawie żadnego planu. Wszystko razem wygląda jak bardzo piękny haft na kanwie, nietylko parcianej, ale podziurawionej. Dla piękności haftu można wszystko darować; ale krytyka, podnosząc wysokie zalety autora i wszystkie, charakteryzujące go właściwości, winna ukazać i na niedostatki, tak ze względu na czytelników, jak i na samego autora.

O noweli „Antek” można powiedzieć mniej więcej to samo, a nawet i dodać, że brak jej tej swobody i naturalności, jaką odznacza się „Przygoda Stasia”. „Antek”, zapoznany geniusz wioskowy z nadzwyczajną zdolnością do mę-



chaniki, nie wychodzi wprawdzie z granic możliwości, ale nie jest typem, tylko wyjątkiem. Czytelnik nie ma go z kim i z czem porównywać, nie umie go sprawdzić, a musi przyjmować go na wiarę autora. Pozbawia nas to tej przyjemności, jaką znajdujemy w odkrywaniu, że to, co autor pisze, jest prawdziwem i podpatrzonem trafnie. Wreszcie Antek mniej dotrzymuje niż autor zapowiada, bo to, że struże wiatraki, umie okuć konia, lub wystrugać z drzewa krzyżyk, nie stanowi nic wielkiego i nie wynagradza tego, że Antek nie ma cech typowych. Widzimy malca zabłąkanego jakoby wypadkiem w świat wiejski i poniekąd mu obcego, który zatem wydaje się jakąś sztuczną roślinką, a nie ma dość w sobie danych, by nas szczerze zająć i wzruszyć. Poza swoją zdolnością do mechaniki, jest to jakiś bajronista wioskowy i trochę próżniak. Do chaty matusinej zajrzała wreszcie bieda, więc Antek ruszył w świat, do miasta. Co dalej będzie—niech czuły słuchacz w swej duszy dośpiewa. Powieść się kończy na wezwaniu autora do czytelników, by, jeśli spotkają biednego chłopaka, szukającego pracy i schronienia, nie odpychali go nieczule. Ze stanowiska filantropii zgoda na takie zakończenie, ale pod względem artystycznym „Antek” jest nowelką, która jak bohater poszła w świat... i nie dalej. Brak jest końca. Wygląda ona jak pierwszy rozdział jakiegóś

powieści. Środek zaś szwankuje tem, że autor trochę przemocą ciągnie nasze współczucie dla bohatera, zapewniając nas, że to jest dziecko wyjątkowe. Takie wyjątkowe dzieci dostarczyły już bohaterów do niejednej noweli; ale by takie nowele zjednały sobie wyjątkową łaskę i krytyki i czytelników, potrzeba, by w nich artyzm doszedł do maksimum, by względ estetyczny przeważał wszystkie inne i by czarodziejstwo stylu i uroki obrazów pokryły z czubem wszelkie niedobory tematu. W „Antku” niema tego. Względy społeczne i filantropijne przeważały w umyśle autora nad artystycznymi i z tego powodu nie wyszedł zwycięsko z trudności. Czytelnik nie zdaje sobie sprawy, czego autor chce i czego od niego żądają. Czy żeby wyszukiwał po wsiach zapoznanych geniuszów? Zapewne nie! Gdyby autor chciał tylko zachwyścić pięknościami obrazka—kwestya stanęłaby jasno. Od Antka samego lepsze jest jego otoczenie, bo rysując je robił to, co najlepiej umie robić, to jest kreślił ludzi prostych, naturalnych, słowem: typy. Dzięki temu otoczeniu, nowela daleką jest od mierności. Wady jej leżą raczej w jej rodzaju, polegającym na roztkliwianiu czytelnika losem istot małych i bezbronnych. Powtarzamy, że tylko nadzwyczajny artyzm może zbawić ten rodzaj, który od pewnego czasu wszedł w modę, a z którym wypadłoby prędko skończyć, bo inaczej przejdzie w cikliwą ma-

niere. Nie wątpimy na mocy „Przygody Stasia”, „Lokatora z poddasza“ i innych prac Prusa, że może on się zdobyć na ów konieczny stopień artyzmu, ale w „Antku” nie chciało mu się nań wstąpić, w tem przynajmniej, co się tyczy głównego bohatera. Na tle całości są perelki, ale przyszywane grubym ścięciem, który przyćmiewa ich blaski.

Do podobnie pobieżnych robót należą: „Michałko” i „Sieroca dola“. Ta ostatnia powieść nie powinna była nawet znaleźć miejsca w ogólnym zbiorze pism, który powinien być zarazem wyborem. Jest to utwór trzymany w nastroju tak popularnym, że właściwymby był w wydawnictwach ludowych. „Michałko” ten należy także do kategorii zapoznanych i bezbronnych. Ludzie i bieda grają sobie nim w piłkę. Potem ucieka w świat, zupełnie jak Antek, i nie wiadomo co się z nim dzieje. Rażąca jednostajność w zakończeniach. „Sieroca dola” wreszcie również kończy się wyjazdem Jasia. Jest więc trzech takich, którzyby mogli zaświadczyć, że autorowi brak albo pomysowości, albo cierpliwości, żeby jak należy kończyć swoje utwory. Trzech świadków—liczba wystarczająca! Obie te powieści wyglądają jak materyał in crudo, któryby należało dopiero wlać w jakieś określone estetyczne powieściowe formy. Jest to luźny szereg obrazów ludzi, rzeczy i miejscowości. Jako materyał takie to bogate, że obserwacya,

zużyta do zebrania go, mogłoby się śmiało obdzielić kilku powieściopisarzy. Jest to kolekcya szkiców niewykończonych, ale kreślonych z wielką wprawą i oryginalnością. Jako całość przedstawiają się chaotycznie, przez co ogólny obraz szwankuje. Nieznawca przejdzie obok niego obojętnie, znawcę zastanowi robota pojedynczych części, samorodność talentu autora i jego oryginalność. Prus ma właściwy sobie sposób patrzenia na ludzi. Jest to, jak wspomnieliśmy, filantrop. Na biedę, niedolę, ciemnotę patrzy on z miłością—ale temperament posiada czysto powieściopisarski. Dzięki owemu temperamentowi, uderzają go przedewszystkiem ekscentryczne strony biedy, niedoli i ciemności,—takie, w których rysuje się ona najwybitniej w swym odrębnym charakterze. Te formy miewają czasem i cechy komiczne; wówczas powieściopisarz bierze górę i Prus staje się humorystą, choć na dnie tej czary humoru tak jowialnego i szczerego leżą łyzy. Znowu mimowoli nasuwa się porównanie z Dickensem. Prus go nie naśladuje bynajmniej. Czerpie on wszystko z siebie i swego otoczenia, ale jest do niego podobny. Anglik jednak przewyższa Polaka dokładnością spostrzeżeń i zakresem ich; Dickens bowiem obejmuje w swych powieściach wszystkie niemal klasy towarzyskie, gdy tymczasem Prus ogranicza się prawie wyłącznie do niższych miejskich. Na wsi nie czuje

się on już równie swobodnym, chyba także między rzemieślnikami. Zresztą obaj są nadzwyczaj liściwi. Kochają nie ludzkość jako ideę —ale wprost ludzi, zwłaszcza biednych. Pod tym względem Prus nawet jest nieco jednostronnym. Gotówby on powiedzieć każdemu fra-kowi i surdutowi: „help yourself! ja mam swoich biednych!” Maluje on też swoje uprzywilejowane klasy najczęściej same w sobie, nie zaś w zetknięciu się z wyższymi i bardziej oświeconymi, co także jest jednostronnością. Otwiera ona przez to alkierz robotnika lub rzemieślnika i pokazuje nam jego życie wewnętrzne, ale nie wyjaśnia stosunku życiowego tych ludzi do klas wyższych, pozbawiając tym sposobem swoje utwory znaczenia, jakieby im nadało wyjaśnienie stosunku i ukazanie na jego strony ujemne.

Ze wzmianek wszelako, jakie tu i owdzie się trafiają, łatwo odgadnąć, że Prus patrzy na ów stosunek pesymistycznie. Klasy niższe nie mają dostatecznej opieki i dlatego są biedne, ciemne, nieszczęśliwe. Mają one ogromną cierpliwość, ale jako żywioł, gdyby ów żywioł się rozpełtał, mogłyby być niebezpieczne. Zresztą Prus nie jest pesymistą i nie umiemy sobie wytłumaczyć, dlaczego częstokroć biorą go za pesymistę. Między jego ludźmi mało jest złych z natury, lub z zamięłowania do złego, a ujemne postęпки niektórych tłumaczą się nieświad-

domością, głupotą, zabobonami lub są skutkiem nałogów. Filantropia wyłącza pesymizm — obserwacya zaś uczy, że prawie każda duchowa rola mogłaby wydać dobre owoce, gdyby rzucono w nią dobre ziarno. Że na odłogach rosną chwasty, to znowu nic dziwnego. Od kreślenia czarnych melodramatycznych charakterów wstrzymuje Prusa i smak artysty. Również i dobrzy jego ludzie nie moralizują, nie są nigdy postulatami, utworami książkowymi, ale istotami posiadającemi krew i kości, żywemi i żyjącemi. Talent tej miary nie może tworzyć inaczej. Prus, mimo swego oryginalnego na świat poglądu, w tworzeniu powieściowem jest wielce obiektywnym. Przedstawia on ludzi tak, jak oni się sami przedstawiają. Są pisarze, którzy patrzą na ludzi przez szkła swoich własnych idei filozoficznych lub nawet doktryn, do których starają się dostosować postacie wprowadzone do powieści. Prus postępuje inaczej. Jego figury nie są tylko ilustracyami przekonań autora, ale ludźmi samodzielnymi. Prus pisze tendencyjnie, wszelako tendencya jego jest aposteryorycznym wynikiem rozważania stosunków ludzkich, nie zaś apyryoryczną ideą autora. Tendencya jego wspiera się na filantropii, na głębokiem i szczerem zamiłowaniu sprawiedliwości, na miłości dla kraju i na chęci czynienia dobrze krajowi i ludziom. Jednem słowem, ideały jego są ogólne. To też

nie przeprowadza on żadnych ściśle określonych tez filozoficznych, jak np. walki o byt, determinizmu i t. p. Jeśli například objawy walki o byt można stwierdzić jego utworami, to nie dlatego, by autor kładł sobie za zadanie illustrować je, ale dlatego, że istnieją one zewnętrznie, niezależnie od autora w życiu samem. Prus jest demokratą, ale z uczucia. Demokracja przedstawia mu się nie jako oderwana teoria filozoficzno-społeczna, ale jako najprostszy układ życiowy, który winien się praktykować na mocy sprawiedliwości i miłości ludzi do ludzi. Dzięki takim ogólnym ideałom, które zarazem są wspólnymi wszystkim, nie zajął on miejsca w żadnym stronnictwie, jako bojownik przeciw drugiemu stronnictwu. Inni taką neutralność i niezależność zawdzięczają służeniu przedewszystkiem artyzmowi. Prus zawdzięcza je służeniu przedewszystkiem cnym i ogólnym ideom, na które wszędzie jest zgoda. Widzieliśmy poprzednio, że filantrop bierze w nim górę nad artystą, obecnie widzimy, że filantrop i patriota zwycięża w nim doktrynera i człowieka partyi. Co w pierwszym razie Prus traci, w drugim odzyskuje nawet jako artysta, bo dzięki brakowi doktrynerstwa tworzy postacie prawdziwie żywe, a nadzwyczaj ciepło odczute. I w zawodzie publicystycznym i powieściopisarzkim jest to entuzyasta, zatem jeden z najszczerzych pisarzy. Utwory jego, mi-

mo braku równowagi artystycznej, mimo braku ładu, podobają się tak, jak na przykład obrazy starego Volgemutha przez swój wyraz, naiwność i dobrą wiarę autora. Zresztą podobieństwo to nie idzie dalej i jest to raczej porównanie niż podobieństwo. Prus nie jest pisarzem wykwintnym. Język jego barwny, charakterystyczny i pełen obrazowości jest szorstki, ale taki być powinien ze względu na sfery, w których autor się obraca. Tą sferą tłumaczy się i to, że nie maluje on nigdy wydelikacowanych uczuć, ani zawiłych procesów psychicznych. Inaczej mówiąc, uczucia są delikatne, a ruchy dusz głębokie, ale tylko względnie do sfery. Zamiłowanie artystyczne ciągnie go w stronę dusz elementarnych, w czym poszedł za prądem, który w najnowszej literaturze stał się ogólnym. Ale w malowaniu takich istot, nie dość jeszcze uduchowionych, w których uczucie i myśl z trudnością przebija się przez grube tkanki mózgowie i sercowe, jest czasami nieporównanym. Dowodem tego najbardziej wykończona i najlepiej obmyślana powieść: „Powracająca fala”. Jest to epizod z „Drang nach Osten”. Tendencya prześwieca w utworze tym przez każde słowo, cała powieść kipi nią poprostu, ale na najwyższą autora pochwałę należy zaznaczyć, iż wykazuje się ona sama przez się, że wynika niemal, niezależnie od autora, z życia i opisywanych stosunków, a przez to



tak silnie przemawia jak prawda, jak życie, jak fakta, które mają to do siebie, iż są niezbitte. Oto treść: olbrzymi, pełen zmysłowych instynktów, ale sprytny robotnik niemiecki, Adler, przychodzi do Polski i zakłada fabrykę tkacką. Fabryka wyrasta wkrótce na ogromne zakłady, a Adler na milionera. Ale dzieje się to z krzywdą ludzką. Adler wyzyskuje robotników, zniża ich płacę, powiększa godziny pracy. W fabryce niema ani doktora, ani felczera, ani kas pożyczkowych, ani nic, coby miało na celu ulgę robotników. Demoniczny Niemiec uważa żywioł miejscowy za glinę, którą urabia niemiłosiernie swemi olbrzymiemi rękoma we wszystkie kształty, jakie mu są dogodne. Postać ta wspaniała w swej grozie, wysoce charakterystyczna i jedna z najlepszych, jakie autor stworzył. Instynkty Adlera są brutalne; niepożyte jego siły zwierzęce ciągnęły go zamłodu w stronę hulatyki i rozpusty do szaleństwa—potem cały ów zapęd swych mięśni i siłę sprytu włożył w robienie pieniędzy. Robił je tedy jak machina i robił. Ideałem jego pozostało użycie, ale sam już się zestarzał—więc używać mógł tylko syn. To go czyniło Adlerowi tak drogim, jak urzeczywistnienie wszystkich marzeń i spełnienie wszelkich życzeń. Synowi dał, co mógł dać, to jest żelazną organizację fizyczną i miliony. Syn wywiązał się z zadania: hulał za dwóch. Gdy narobił długów zagranicą, ojciec zaprowadzał t. zw.

oszczędności w fabryce, to jest zniżał płacę. Napróżno uczciwy pastor Böhme upominał nie-miłosiernego starca.

Ludzie pracowali do północks. Najzdolniejszy robotnik, duszą całej fabryki, Gosławski, z wysilenia przy pracy padł ofiarą strasznego wypadku. Maszyna urwała mu rękę, wskutek czego umarł. Obrazowość autora przy opisanu podobnych zdarzeń dochodzi do maksimum. Oto północ już wybiła, w wielkiej sali fabrycznej płoną okna. Fabryka grzmi, huczy, zgrzyta, wszystkie maszyny rozpedzone wyglądają przy blasku gazu jak jakie potwory piekielne. Największą tokarnię obsługuje Gosławski; miał on tyle dziś zajęcia, że jest zmęczony, senny, osłabły. Trapi go gorączka, strugi potu oblewają mu ciało.

„Chwilami, skutkiem zmęczenia, doświadcza sennych halucynacyi i zdaje mu się, że jest gdzieindziej, niż w warsztacie. Wnet jednak otrząsa się, zasmolonemi rękoma przeciera oczy i z trwogą spogląda, czy nóż nie za wiele zebrał z walca.

— Oto spać się chce! — rzekł do niego sąsiad.

— Prawda—odparł Gosławski, siadając na stołku.

— Chyba tak z gorąca — zauważył sąsiad. Maszyna ogromnie rozpalona, kowale robią przy obu ogniskach. Zresztą już późno.

— Która u pana godzina?

— Trzy kwadranse na dwunastą. Skończysz pan dziś robotę?

— Zdaje się, że skończę — odparł Gosławski.—Jeszcze trzeba na jaki włos zebrać, a tu mi się tak dwoi w oczach.

— Z gorąca, z gorąca! — mówił sąsiad.

Gosławski zmierzył średnicę toczonego walca, posunął nóż, ścisnął go śrubą i znów puścił w ruch maszynę. Po chwilowym wysiłku uwagi, nastąpiła reakcja i począł drzemać, stojąc z oczyma utkwionemi w błyszczącą powierzchnię walca, na którą upadały krople wody.

— Czy pan do mnie mówił?—zapytał nagle sąsiada. Ale sąsiad nie słyszał pytania.

Teraz wydało się Gosławskiemu, że jest u siebie w domu. Żona i dzieci śpią, na komodzie pali się przykryta lampa, jego łóżko już rozebrane. Oto stół... przy nim krzesło... Znużony chciał usiąść na krześle, więc—oparł rękę na krawędzi stołu.

W tej chwili tokarnia dziwnie zgrzytnęła. Coś w niej pękło, zaczęło się łamać i straszny jęk ludzki rozległ się po warsztacie...

Autorem nie mówi od siebie o wyzyskiwaniu robotników, o nadmiarze narzucanej im pracy, ale ta scena męczeńska, żywcem z życia fabrycznego wyjęta, nie mówi, ale krzyczy. Przytem, obok największej prostoty, co za pra-

wda i plastyka wstrząsająca nerwami. Widzi się fabrykę i salę, światła i ludzi, słyszy się ich rozmowy, prowadzone wśród grzmotu maszyn, odczuwa się ich osłabienie i senność. Cóż tu następuje za obrazem. Gosławskiego odnoszą do domu. Noc jest widna, księżycowa a wśród bladego światła rysuje się czarny korywód, niosący rannego. Psy, zwietrywszy krew, wyją, nocny stróż zdejmuje czapkę patrzy wyblady na orszak. Nagle słychać turkot. To młody Adler wraca pijany z miasteczka. Z drogi! wołają na woźnicę.

— Co to?—pyta rozespany młodzieniec.

— Gosławskiemu urwało rękę—odpowiadają przytłumione głosy z ciemności.

— To trzeba posłać po doktora.

— Może wielmożny pan każe z miejsca zawrócić.

Ale konie pana Ferdynanda są zmęczone. Pośle inne, a tymczasem krew z rannego ucieka. Odnoszą go do domu. W ciemnościach rozlega się pytanie:

— Kto tam?

— Niech pani Gosławska otworzy.

Doktora nie znaleziono w miasteczku. Przyjechał dopiero na trzeci dzień. Ranny umarł. Przpracował się i umarł jak męczennik pracy i ofiara wyzyskiwania. Prędka pomoc, gdyby znajdowała się na miejscu, mogła go ocalić. Teraz żona i dzieci pozostaną bez chleba. Robo-

tnicy poczynają szemrać. Niezadowolenie wzrasta. Ale Adler niczego się nie lęka. Przechodzi on środkiem szemrzących, olbrzymi, spokojny — jeno szyja mu przybladła, a oczy trzyma zamknięte. W parę dni jest już cicho w fabryce. Tylko poczciwy pastor Böhme, pijąc reńskie ze starym Adlerem w ogrodowej altanie, zamyśla się jakoś dziwnie, a potem rzuca na czystą powierzchnię sadzawki to kawałki drzewa, to korki.

— Czego ty ale, Marcinie, rzucasz śmiecie na wodę? — pyta Adler.

— Widzisz, Gotliebie — rzecze pastor — te fale? Widzisz, jak one rosną i płyną coraz dalej?

— Tak się zawsze robi.

— Masz rację, tak się zawsze robi: na wodzie i w naszym życiu. Kiedy złe, czy dobre upadnie na świat, powstają koło niego fale coraz większe i idą dalej, a dalej.

— Nie rozumiem.

— Zaraz ci to wytłumaczę. Ty źle wychowałeś syna i rzuciłeś go w świat, jak ten patyk na wodę. On narobił długów — i to jest pierwsza fala. Ty zniżyłeś płacę robotnikom i oddaliłeś lekarza, a to jest druga fala. Śmierć Gosławskiego — to trzecia. Nieporządki w fabryce i opisy w gazetach — to czwarta. Wypędzenie robotników i procesy — to piąta fala. A jaka będzie szósta i dziesiąta?...

— Nic mnie to nie obchodzi! — rzekł Adler. — Niech sobie twoje fale idą w świat i trapią głupich, mnie nic do tego.

Pastor rzucił korek przy brzegu sadzawki i znowu wskazał go tkaczowi.

— Patrz, Gottlieb! Niekiedy dziewiąta fala odbija się od brzegu i wraca... tam, skąd wyszła.

Złowróżbne słowa sprawdziły się. Ferdynand zginął w pojedynku i fala zlego wróciła, skąd wyszła. Staremu Adlerowi ziemia usunęła się z pod nóg w sposób straszny. Toż on dla tego syna żył, pracował, zniżał płace, krzywdził ludzi, kupował bawełnę, fabrykował perkal i miliony. Straciwszy go, stracił wszystko. To też czuje się prawdę w jego słowach, gdy pokazując pastorowi trupa syna, mówi:

— Patrz, Marcinie, to ja jestem, to mój trup — to leży moja fabryka, mój majątek, moja nadzieja... Fala krzywdy wróciła.

Demoniczny starzec szaleje jak demon. Nic świetniejszego pod względem literackim, jak opis tej wielkiej, strasznej a prostackiej rozpacz. Jedno niewłaściwe słowo mogłoby tu popsuć efekt, ale takiego słowa niema. Twardy metal, z którego został odlany olbrzym, kruszy się pod młotem nieszczęścia, ale okruchy sięją jeszcze zniszczenie. Starca porywa obłęd — i wieczorem na kilkanaście mil wokoło rozbrzysła łuna fabryki, którą sam właściciel pod-

palik. — Opis pożaru i owego olbrzymiego cienia ludzkiego, który chodzi spokojnie po wszystkich piętrach i podpala — jest wspaniały. Język Prusa wznosi się do wielkiej siły i niepomiernej obrazowości. Powtarzamy, że jest to najlepiej skomponowana powieść, pod względem artystycznym, ze wszystkich, objętych w tomie pierwszym. Wszystko się w niej schodzi, łączy, wiąże w jedną harmonijną całość. Powieść tę pisał niepospolity artysta, ale zarazem i rozumny człowiek. Jest głęboka i oryginalna filozofia w tem, co mówi pastor Böhme o falach złego i dobrego, i o powracaniu ich tam, skąd wyszły. Teza moralna wyborna i wybornie prowadzona, a przykład jej realny, owo objaśnienie, dawane przez Böhme'go na falach wodnych, zarówno plastyczne jak świeże. Z drugiej strony leży w tej powieści jakiś posępny moral społeczny; łatwo bowiem wyciągnąć z niej wnioski, że takie olbrzymie Adlery koniec końcem wycisną i zduszą to społeczeństwo ludzi miękkich, dobrych ale anemicznych, wśród których robią miliony. Fala wprawdzie wraca, ale nim wróci, iluż to Gosławskich zginie? Pod tym względem nie ukazał autor punktu wyjścia. Utwór jego nie zachęca, ale raczej zniechęca. Nie będąc wogóle pesymistą w zapatrywaniu się na naturę ludzką, rozumiejąc przewagę dobrego nad złem, tym razem dobrał umyslnie najczarniejszych barw, jakie paleta je-

go posiada. Ten nadmiar cieniów w stosunku do światła sprawia nie tylko pogłębiające wrażenie w sensie społecznym, ale szkodli i artystycznej stronie utworu. Powieść nie zajmuje tak, jakby, ze względu na wyborną fakturę i swą wagę, zająć powinna. Przeciętny czytelnik interesuje się powieścią wówczas, gdy może z nią i z osobami, wchodzącymi do niej, związać nie tylko swoje antypaty, ale i sympaty. Jest to psychologiczną potrzebą, tak jak różnorodność jest znowu estetyczną. Brak różnorodności wywołuje znużenie, a wówczas nie baczymy, że autor umyślnie chciał nas pogłębić, ale przypisujemy to niedoskonałości jego utworu. Adlerów nic nie równoważy w „Powracającej fali”, a czytelnik od początku do końca pływa także w fali krzywd, wyzyskiwań, zwierzęcych brutalnych instynktów, chciwości i t. p.—to też zamyka książkę znużony. Jasna postać Gosławskiego to tylko sylwetka, to tylko mucha, zagnięciona stopą olbrzyma bez walki i oporu. Miłość, która zwykle w powieściach poślaca łagodnym światłem posępniejsze obrazy, która rozciekawia i otacza urokiem poezji powszednie ludzkie stosunki, nie ma wcale miejsca w „Powracającej fali”. Do oryginalności Prusa należy, że nie uwzględnia on niemal zupełnie w swoich utworach tego pierwiastku. Biorąc rzecz ze stanowiska estetycznego, wynikają stąd tylko szkody, bo naprzód jest to ważny



czynnik w życiu ludzkim, pod wpływ którego popada człowiek właśnie wówczas, gdy jest młody, czynny, zatem najbardziej interesujący, powtórę, jest to pierwiastek par excellence estetyczny. Jest on wyborną osnową, osią bajki, naokoło której można namotać do woli wszelkich stosunków życiowych, i jest wybornym pozorem, pod którym można naprowadzać, ile kto chce, typów, temperamentów, charakterów. Przytem miłość ma swój początek, rozwój i zakończenie w grobie lub przed ołtarzem, stąd i powieść na niej osnuta musi być pewną całością, musi mieć swój skończony organizm, to jest to, czego właśnie brak większości powieści Prusa. Miłość wreszcie, przedstawiana banalnie, jest czemś nad wyraz nudnem i ckliwem, ale gdy pod piórem biją żywe serca ludzkie, to zawsze jest to wieczysta poezya, światło, tęcze... Tych blasków i tęcz Prus się zrzeka dla analizowania stosunków życiowych, które same w sobie wyglądają jak dzień bez słońca. Zamierzylśmy mówić tylko o pierwszym tomie, a mówimy wogóle o pisarzu. Zbierając w jedno, cośmy w całości przeglądu o nim powiedzieli, dochodzimy do przekonania, że jest to dusza kochająca ludzi do entuzjazmu, umysł obserwatora oryginalny, rozum i pierwszorzędnny talent, któremu brak tylko form architektonicznych. Materiał w jego budowach to nie gruz i piasek, ale kamień, marmur, a często

i złoto. Jenó, że budowle same mają styl dziwaczny i nie trzymają się — z wyjątkiem „Powracającej fali” — krzepko. Podwaliny nie związane ze ścianami — ściany z dachem. Są to wreszcie raczej magazyny z materiałem, niż wykończone budowle. Prus nie stworzy póty nic prawdziwie znakomitego, póki się nie nauczy architektury. Ale jeśli się nie nauczy, to będzie dla piśmiennictwa naszego prawdziwa szkoda.

*Gazeta Polska*, rok 1881, № 216, 217, 218, 219

---

## Kronika tygodniowa.

### I.

Koniec starego roku. Złe czasy. Otucha. Działalność publiczna. Dawny przykład. Skutki zaburzeń. Projekt Prusa. Środki ratunku, miłosierdzie i kredyt. Pomyślniejsze wróżby. Pogłoski, legendy ludowe. Nie-wytłumaczone powody. Co najprawdopodobniej wywołało ruch ostatni. Szara Bera i wieści o zemście. Potrzeba zapobieżenia wieściom. Gazeta świąteczna. Ostatnia klęska. Pożar. Zbieg okoliczności. Życzenia.

Stary rok zakończył życie, jak dobijany, dziki zwierz, szarpiąc ludzi kłami i pazurami. Zaburzenia, pożary i hekatomby ludzkie—oto o czym muszą być zapisane ostatnie stroniczki kroniki rocznej. Wśród tych ciemnych wspomnień jedynym światłem jest gwiazda miłosierdzia, ku której wyciągają ręce nieszczęśliwi, między nami jest ich najwięcej, dlatego też i to błogosławione światło świeci najsilniej. Tę gotowość w kraju i w mieście do niesienia pomocy wszystkim bez względu na wyznanie i narodowość, to poczucie obowiązku niesienia pomocy i tę hojność w datkach, zapisać możemy

w rachunkach naszych jako „credit” społeczne. Jest to zarazem odpowiedź niechętnym, którzyby chcieli oskarżać nas, iż nie jesteśmy lepsi od innych i że napróżno tem chwaliliśmy się do niedawna. Napewno nie jesteśmy gorsi, bo nigdzie nadużycia nie wywołały tak jednomyślnego protestu i nigdzie szkód nie starano się tak skwapliwie naprawić. Moznaby nawet powiedzieć, że czas na smutek jeszcze nie nastąpił, bo poświęcono go na ratunek. Rozpamiętywania na potem. Owóż w ten sposób postępują tylko takie społeczeństwa, w których żywotność jeszcze nie zamarła i złe instynkty nie wzięły góry. Nie uczyniliśmy dotąd wszystkiego, wiele jeszcze zrobić należy — ale też nikt rąk nie opuszcza. Składki płyną, komitety działają, opinia piętnuje warcholów. Pewien stary kronikarz niemiecki, pisząc o obleżeniu jednego ze znaczniejszych miast polskich, tak mówi: „nie mogliśmy zdobyć na nich onego miasta, bo gdy uczyniono wyłom w murach, zaraz oni zasłaniaли go ciałami swemi, a gdy jedni polegli, drudzy z największą skwapliwością na ich miejsce spieszyli, dając odpór tak silny, iż ze wstydem musieliśmy ustąpić”. Oby tak ze wstydem ustąpiły wszystkie biedy i klęski alarmujące od niejakiego czasu do naszego miasta, ustąpią zaś z pewnością, jeśli będziemy dawać odpór tak silny, jak dawni nasi rycerze, i jeżeli wytrwamy. O to najtrudniej, bo nie wszystkie biedy

dadzą się naprzód wyrachować i nie wiemy dokładnie, co nas czeka.

W każdym razie nie na różach spać będziemy. Klęska wywołuje drugą klęskę i złe fale rozchodzą się coraz szerzej.

Moralnie może nie ponieśliśmy tak wielkiej porażki, jak się naprzód zdawało, a mianowicie dlatego, że na tle nagannych i haniebnych objawów zarysowała się większość spokojna, pełna ludzkości i zamiłowania do porządku. Ale ekonomicznie rzecz inna. Zaburzenia zrujnowały kilkaset rodzin, zachwiały zaufanie, brak zaufania odbije się w drożyznie i w braku roboty. Niechby burzę zbierali ci tylko, co siali wiatr, ale na nieszczęście odbije się ona przede wszystkim na ludności robotniczej i rzemieślniczej, to jest na ludności pracowitej, która w warcholstwach udziału nie brała. Bolesław Prus w „Kuryerze Warszawskim”, przewidując ciężkie czasy dla robotników, a nawet zaznaczając, iż już nadeszły, wzywa właścicieli domów, by tymczasem ludziom bez roboty dali miejsce drugich stróżów. Dobrzeby to było, gdyby nie to, że w domach, w których pilniejsza straż szczególnie jest potrzebna, sami właściciele ponieśli znaczne straty. Jedni muszą naprawiać schody, drudzy nie doliczą się zwykłych dochodów, bo lokatorowie ich są Żydzi, albo zrujnowani, albo zachwiani przez ruinę współbraci, albo nakoniec właśnie robotnicy, którzy cza-

sowo nie mogą znaleźć roboty. Jest w tem coś z błędnego koła. Za projektem Prusa mogliby pójść tylko zamożniejsi właściciele domów przy głównych ulicach, tym zaś niebezpieczeństwo wydaje się usunięte i w przyszłości nie groźne. Wedle naszego zdania ratunek powinien być dwojaki: natychmiastowy w formie wsparć dla pozbawionych chleba i ratunek kredytu. Pieniądze płyną i będą płynąć obficie. Składaliśmy na Ślązaków, na Zagrzebian, na kasy pożyczkowe, złożymy jeszcze i teraz. tyle, ile będzie trzeba.

W chwili, gdy to piszemy, w samym tylko „Kuryerze Warszawskim” składki dochodzą do kilkunastu tysięcy rubli, nie licząc innych pism, których szpalty są przepelnione nazwiskami ofiarodawców, i nie licząc ofiar bezpośrednich. Być może, iż następnie ów potok będzie płynął słabiej, ale będzie płynął jeszcze długo. Dotychczas prowincya mały tylko w ofiarach mogła wziąć udział, należy się zaś spodziewać, że nie da w tem szlachetnem współzawodnictwie uprzedzić się miastu. Owóż po zaspokojeniu najpierwszych potrzeb, część a może i znaczna część zebranych funduszków może być rozdzieloną w formie pożyczek długoterminowych uboższym rzemieślnikom i robotnikom, co zasłoni ich przed lichwą i pozwoli przetrwać pierwsze najcięższe chwile stagnacyi.

Ze wszystkiego wnosić można, że niepokoje

nie powtórzą się więcej. Ci, którzy je wzniecali z umysłu, policzyli się, że ich zbyt mało, aby mogli zginać w tłumie,—ci, którzy brali w nich udział z chwilowego popędu, przez zemstę lub ciemnotę... ochłonęli. Ogólny głos potępienia zrobił swoje. Doskonale także wrażenie wywarła na ludność odezwa oberpolicmajstra, który w najniższych nawet warstwach cieszy się i powagą i popularnością. Natomiast legendy rosną między ludem jak grzyby. Dziś jest faktem zupełnie niemal pewnym, że już w chwili samego wybuchu krążyły natychmiast między ludem niestworzone historye, jedne potworniejsze od drugich, obecnie zaś miasto trzęsie się od przypuszczeń i domysłów. Następnie popłoch u św. Krzyża dotychczas jeszcze nie jest wyjaśniony. Mówiono, że wzniecili go złodzieje, tymczasem nie jest to stwierdzone dotychczas. Potem, kto pierwszy na placu wyrzekł słowo: Żyd? Kto rozszerzył tę, jak się pokazało, fałszywą wieść między ludem? Jest w tem wszystkim coś niewytłumaczonego i tajemniczego. Gdyby bowiem rzecz była ukartowaną poprzednio i przygotowaną z planem, trudno przypuścić, aby aż do niedzieli ukryła się w absolutnej tajemnicy. Nie planowali jej w żadnym razie ludzie inteligentni, umiejący zachowywać środki ostrożności, byłaby więc krążyła między ludem i dostała się w formie ostrzeżeń lub głuchych

pogłosek do uszu policyi albo do samych Żydów, albo do prasy. Tymczasem wszystko wybuchnęło nadzwyczaj niespodzianie. Z drugiej strony można w tym ruchu dopatrzeć objawy wypreżonych i niebezpiecznych stosunków, ale niepodobna go przypisywać istniejącej nie u nas partii socyalnej. Mogą u nas istnieć umysły skłaniające się teoretycznie ku socyalizmowi, tak jak w każdym społeczeństwie istnieją wyznawcy wszelkich teorii społecznych, ale zorganizowanej partii socyalnej nie było i niema. Inteligentna ludność nasza zbyt wiele ma miłości do kraju, aby miała podawać ucha doktrynom z natury swej kosmopolitycznym, wszelkie zaś organizacye tylko w inteligencyi mogą powstawać. Być może, że mamy socyalistów importowanych, ale ci, nie znając ani ducha, ani języka mas, nie mogą mieć między nimi posłuchu. Na ruch ostatni u nas prawdopodobnie dwa głównie składały się żywioły, a mianowicie: pewna garstka pseudo-inteligentnych, albo zgoła ciemnych żydofobów i straszna katastrofa świętokrzyska. Zetknięcie się ich bezmyślnych podszczyowań z katastrofą kościelną wywołało iskrę. Co do prochów, tych szukać trzeba głębiej, bo w stosunku ludności żydowskiej do chrześcijańskiej, który to stosunek woła o reformę i którego uregulowaniem winna się zająć najbliższa przyszłość.

Tymczasem jedną ze spraw również pil-



nych jest zatamowanie i wyjaśnienie krążących między ludem pogłosek. Są między niemi i ekscentryczne, jak naprzykład urodzona przed paru dniami bajka o czarownicy, która nazywa się: „Szara Bera”. Kumowie i kumoszki szepeją sobie do ucha, że gdzie tylko „Szara Bera” się pojawi, lub gdzie tylko zamierzy przybyć, tam rodzą się klęski. Była — mówią — w Wiedniu, i zaraz parę tysięcy osób się spaliło, przybyła do Rosyi i także „zle” przyleciało natychmiast, ma przybyć do nas, i już zdarzyło się nieszczęście. Czytelnicy łatwo odgadną, że owa złowroga wiedźma, owa „Szara Bera”, nie jest kto inny, jak Sara Bernhardt, która w przyszłą sobotę ma przybyć do Warszawy. Nowonarodzona o niej legenda byłaby śmieszną, gdyby nie to, że powtarza się zbyt uparcie i że może dać powód do jakich nieprzyjaznych demonstracyi ulicznych, brzydkich i dla spokojności miasta niebezpiecznych.

Trzebaby koniecznie wytłumaczyć ciemniejszej ludności cały bezsens podobnych pogłosek, przedewszystkiem bowiem jątrzą one i utrudniają powrót normalnych stosunków.

Zadanie to spełniłby mogła najlepiej „Gazeta Świąteczna”. O dobrej woli zacnej Redakcyi nie wątpimy, środków zaś powinien dostarczyć jej inteligentny ogół. Możliwość poświęcić jeden cały numer wykazaniu naprzód strat bez-

pośrednich, jakie wskutek zaburzeń już poniosła i jeszcze poniesie właśnie chrześcijańska ludność robocza i rzemieślnicza, a powtóre sprostowaniu pogłosek i absurdów, jakie między ludem krążą. Numer taki, w którym należałoby prócz tego pomieścić odezwy duchowieństwa i oberpolicmajstra, powinien być w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy rozdany stróżom domów a następnie w fabrykach i zakładach rękodzielniczych. Chodzi tylko o fundusz potrzebny na nakład. Owóz we wszystkich piśmiech, prócz składek z celem oznaczonym, wpływają także składki do uznania redakcyi. Sądzimy, że byłoby rzeczą nader pożyteczną, gdyby redakcyje uznały, iż takie użycie pewnych funduszów byłoby bardzo pożyteczne.

Ostatnie wypadki zajęły nam całą kronikę, ale w dzisiejszych czasach niepodobna prawie o niczem innem pisać. Ów rok nieszczęść, rok 1881, jeszcze w ostatniej chwili swego istnienia pragnął się upamiętnić kłęską. Z soboty na niedzielę, około godziny 10-ej ogromna łuna zaświeciła nad miastem od strony Wisły. Na pierwszy rzut oka, po olbrzymich czerwonych kłębach, przewalających się gwałtownie i wybuchających w górę, można było poznać, że pożar jest wielki. Ludzie na ulicach stawali w małych gromadkach, a na ich twarzach, oświeconych złowróbnym odblaskiem, malował się nie-

pokój, troska i trwoga. „Czy to jeszcze co takiego?” pytali jedni. — „Kara boża!” — szeptały gdzieindziej wystraszone głosy robotników i kobiet z ludu. Tymczasem wybiła jedenasta i dwunasta, — pożar nie ustawał, paliła się fabryka Raua, od niedawna już po raz drugi. Fabryka ta przed pierwszym pożarem zajmowała tysiąc kilkuset robotników, później tylko siedmiuset, obecnie zapewne jeszcze liczbę ich zmniejszy. W innych czasach łatwiejby temu zaradzić, ale obecnie, gdy najbardziej chodzi o to, by jak najmniej ludzi było bez roboty, co za złośliwość i ironia losu, co za zbieg nieprzyjajnych okoliczności ze wszystkich stron! Albo nie byłoz i to złośliwością, że wybuch przeciw Żydom, rabunki i kradzieże wypadły w dniu narodzenia Chrystusa, który głosił przebaczenie nawet dla wrogów i nieprzyjaciół? Zaprawdę Nowy rok bierze po starym ciężką puściźnę—ale też winien zaopatrzyć się w słowa: „i odpuść nam nasze winy!” Przebaczenia, wyrozumiałości i miłosierdzia potrzeba nam teraz tyleż, ile energii. Może też zawita wreszcie czas lepszy: czas zdrowia społecznego, cichej pracy, sprawiedliwości dla wszystkich. Musi w to wierzyć każdy, kto wierzy w słowa poety: „że ludy płyną w postęp jak łańcuch żorawi”. Bez takiego ideału i takiej wiary, byłoby nam bardzo ciemno, chyba luno pożarne rozświecałyby ciemności. Spokoju i zdrowia życzymy

przy Nowym roku naszym czytelnikom, a także i wytrwania w pracy, bo wedle słów dawnej piosenki: „niewolno nam marszczyć czoła, niewolno się smucić”.

*Słowo.* 1882 roku. № 1.

---

## Kronika Warszawska.

### I.

Zamierzona wyprawa. Najbliższe potrzeby. Racya pro i conta. Parę słów bez żartu. Pan Stefan Rogoziński. Trochę o geografii i środkowej Afryce. Cel podróży. Uczestnicy. Literaci warszawscy. Przyjazd Sary Bernhardt. Zapowiedź i podziękowanie. Prolog i akt pierwszy pobytu. Wieczór przed teatrem i po teatrze. Diva. Piorun w redakcyi. Obrona. Dziwne czasy. Robert i Bertram. Porównania kosztów. Przyszłe odczyty. Uspokojenie.

Że wśród naszych bied, utrapień i smutków organizujemy jeszcze wyprawę naukową do środka Afryki, to doprawdy dowodzi, że jakkolwiek na nasze pochyłe drzewo społeczne od niejakiego czasu kozy skaczą, puszcza ono jednakże zielone pędy i ma jeszcze w sobie coś życiowych soków. — Znajdzie się zapewne nie mało tak zwanych esprits chagrins, albo mówiąc inaczej: panów: „tem ci gorzej“, którzy będą twierdzić, że mamy wiele ważniejszych spraw do załatwienia, że w kraju bieda, że widoki na przyszłość niepomysł-

ne i t. d. Wywody „contra“ zawsze są łatwiejsze do zebrania, niż wywody „pro“. Każdy się na nie zdobędzie i co gorsza zawsze jest w nich nieco, lub nawet wiele słuszności. Swoją drogą jednak, gdybyśmy chcieli ułożyć listę spraw do załatwienia najpilniejszych, zaczęlibyśmy tak rozprawiać, tak się spierać i kłócić, że przez ten cały czas nie załatwilibyśmy żadnej sprawy. Niechże więc je załatwia siła faktów. Pan Buchman był człowiekiem roztropnym; gdy wystąpił z radą, to chciał wszystko robić po kolei i ułożyć wedle kategorii.

„Krótkość jednakże czasu stała na zawadzie,  
„Że się nie stało zadość buchmanowej radzie.

Nie mamy więc czasu słuchać pp. Buchmanów, ale za to my wszyscy, którzy kochamy naukę, którzy jesteśmy wolni, którzy mamy prawo śpiewać: „wiwat, kawalerski stan“, których dusza siedzi nie na ramieniu, ale w miejscu zwykłego i stałego zamieszkania, którym nakoniec nie zależy tak bardzo na tem, by głowa trzymała się karku,—jedziemy do Afryki. Co do pieniędzy, jest trochę krucho, ale alboż to nie jesteśmy do tego przyzwyczajeni? Było zawsze i we wszystkim krucho, jest krucho i będzie krucho. Prawda, że wydaliśmy sporo pieniędzy na najrozmaitsze cele, począwszy od Ślązaków, a skończywszy na składce bieżącej, ale alboż nie wydajemy jeszcze co-

dzień na sprawy, które z trudnością tylko mogłyby się zaliczyć do najpilniejszych? Alboż nie płacimy po piętnaście rubli za bilet do krzesła na powiewną Sarę, alboż nie będziemy dawać balów i rautów w karnawale, alboż nasze panie przestały spuszczać oczy i wzdychać na wspomnienie Hersego, alboż wyrzekliśmy się bezika, bakarata, śruby, opery włoskiej? Alboż nie będziemy mieli wyścigów konnych? Alboż nasze matrony, gdy sezon wód będzie otwarty, nie poprowadzą do Saskiego ogrodu swych córek w najświetniejszych toaletach? Utworzywszy z tego wszystkiego rubrykę i podsumowawszy prawdopodobne koszta, dojdziemy do przekonania, że przy średnich oszczędnościach zdołalibyśmy załatwić za nie nietylko kilka spraw „najpilniejszych“, ale ze względów na przyzwoitość zakupić czerwone fraki dla wszystkich nagich królów murzyńskich i wachlarze dla wszystkich królowych, z którymi się naszej wyprawie zetknąć przyjdzie.

Teraz kilka słów bez żartów. Utylitaryzm, dopatrujący krótkim wzrokiem we wszystkich sprawach bezpośredniego pożytku, nie jest przymiotem wielkiej wagi i cechą żywotnych społeczeństw. Chińczycy, na przykład, są narodem wielce rozsądnym; przedewszystkiem pytają o pożytek, ale ten właśnie materializm

praktyczny, ten brak zapału, ta niezdolność do poświęcenia się w sprawach więcej idealnej natury wyrodziły w nich gnuśność, a w całym społeczeństwie zastój. Są to starcy bez wyobraźni, sądzący trzeźwo i praktycznie, niezdolni jednak iść naprzód, zaślepieni i skostniaли. Tem się tłumaczy, dlaczego cywilizacja chińska od tysiąca lat nie posuwa się naprzód. Żywotne narody europejskie stwierdzają właśnie swą żywotność tym niepokojem i zapałem ducha, który, nie szukając nawet bezpośredniego pożytku, chce zhabać wszystko, odkryć, zwiedzić — sięgnąć — jak młodość w mickiewiczowskiej ody — tam, gdzie myśl nie sięga, który dla spraw wiedzy nie szczędzi ofiar, ani krwi, ani złota. Im w trudniejszych warunkach znajduje się jakie społeczeństwo, tem lepsze daje świadectwo swym siłom wewnętrznym, swej zdolności do życia, jeśli ogólnoludzkie sprawy postępu obchodzą je jak najsilniej, jeśli zawsze gotowe jest wziąć w nich udział i zaznaczyć swoją obecność.

Cywilizacja jest to wielki gmach, którego ściany wznosi cała ludzkość. Gdy zdarza się sposobność ponieść cegłę — nie trzeba się nigdy wahać.

Dlatego też nie trzeba lekceważyć zamierzonej wyprawy choćby do bieguna północnego lub Afryki. Zachodnie społeczeństwa są wprawdzie zasobniejsze, ale też mają także



mnóstwo swoich „najpilniejszych“ potrzeb, a jednak nie szcędzą milionów na dalekie ekspedycje, mające na celu postęp wiedzy. U nas zaś bynajmniej nie chodzi o miliony, ale gdyby chodziło o jakieś kilka tysięcy rubli,—to doprawdy, choćbyśmy mieli na cygarach oszczędzić—damy.

Wyprawa już się organizuje. Czytelnicy słyszeli zapewne, że na czele jej staje p. Stefan Szolc-Rogoziński. Gdybym pisał tę kronikę wyłącznie dla kobiet, nie pominąłbym szczegółu, że jest to młody i nadzwyczaj przystojny oficer marynarki, ponieważ jednak piszę dla szerszej publiczności, powiem tylko, że pan Sz. Rogoziński jest członkiem towarzystwa geograficznego paryskiego, członkiem klubu afrykańskiego w Neapolu i specjalistą, znającym Afrykę i historję jej badaczy—jak to mówią—na palcach. Odbył on już kilka podróży w Afryce i posiada doświadczenie potrzebne przewodcy wyprawy do tych mistycznych krain. Niejednemu z czytelników wydaje się może, iż opowiadam ustęp z powieści Verne'a, tymczasem mogę zaręczyć, że wszystko, o czem mówię, jest najistotniejszą rzeczywistością. By jednak zrozumieć dokładnie cel wyprawy, należy spojrzeć na mapę Afryki, w okolicach równika. Owóż, w pobliżu jego, ale wyżej, zatem między równikiem a ujściem Nigru, leży na północnym wybrzeżu mała wysepka Fernando Po. Mniej

więcej naprzeciw wyspy zatacza się amfiteatrem zatoka Kameruńska, otoczona jak gdyby murem, łańcuchem gór Kameruńskich. Na półbrzeżu leżą faktorye różnych narodów, zamieszkują kupcy handlujący olejem palmowym, a dalej, na wschód, poza górami Kameruńskimi i na górnym biegu rzeki Kalabar, leżącej nieco na północ od nich, mianowicie między tą rzeką a drugą zwaną Binue, która wpada do Nigru, świat zabity deskami... niewiedomo co... tajemniczy południowy Sudan, który na mapach świeci białą—dlatego właśnie, że biały człowiek jeszcze nie przeniknął w te strony i nie zapisał geograficznej karty nazwami. Zapisać ją postanowił nasz rodak. Przypuszczając, że rzeka Kalabar bierze początek w systemie nieznanych jezior, stanowiących olbrzymi zbiornik wód zachodnich, odpowiadający temu, który na wschodzie tworzą jeziora Wiktorya Nyanza.

Czy jednak te jeziora istnieją, gdzie leżą?—geografia stawia znak zapytania, zamierzona zaś wyprawa postanawia go usunąć. Gdyby się to stało, Afryka odniosłaby światu resztę swoich tajemnic. Livingstone podróżował ze wschodu od strony Zanzibaru, Stanley szukał go z zachodu od strony rzeki Kongo, i te, bardziej na południe położone okolice są już mniej więcej znane. Tylko górnego biegu Kalabaru i jej początku nikt dotąd nie zbadał. Chwała odkryć wisi jeszcze w powietrzu i nie wiadomo,

na czyje skronie spadnie jej wieniec. Wyprawa pana Szolca-Rogozieńskiego ma jednak pewne dane, że jej się powiedzie. Naprzód klimat, przy ujściu Nigru tak zabójczy, koło gór Kameruńskich, skutkiem wysokiego położenia pobrzeży, jest zdrowy. Dalej, ludność murzyńska pierwotna, ta, która mało jeszcze stykała się z białymi, lub prowadziła tylko z nimi handel na wybrzeżu, nie jest okrutną. Podobno ci murzyni wogóle nie są tak czarni, jak ich malują. Królikowie chętnie wchodzą w stosunki handlowe i cieszą się ze sposobności nabycia za kość słoniową czerwonych fraków i stosowanych kapeluszy. Najokrutniejsze są te pokolenia (przeważnie wschodnie), które oddawna były pod wpływem islamizmu. Nakoniec kraj, jak wogóle cały Sudan, jest nadzwyczaj żyzny, wyprawie więc nie grozi niebezpieczeństwo śmierci głodowej, jak w Saharze. Tarasy, w które układa się grunt środkowej Afryki, pokryte są albo dziewiczymi lasami, albo są to stepy, po których bują stada antylop, zebra i bawołów. Ludność jest, sądząc z zaludnienia brzegowego, dość gęsta, przeważnie rolnicza. Za szkiełka, lusterka i stare mundury łatwo dostać bananów i manijoku.

Pan Rogozieński opowiada nam, że już w szwalniach brukselskich zamówił cały zapas najjaskrawszych mundurów i galonów, bo jakkolwiek wyprawa nie ma celów handlowych,

jednakże musi być zaopatrzona w towar zamien-ny. Dotychczas zapisało się do niej pięciu naszych ziomków. Przedewszystkiem sam Rogoziński, następnie geolog, Klemens Tomczak, Stanisław Kiernicki, malarz, Leopold Janikowski, meteorolog i Jan Budziłowski. Eskortę będą stanowić murzyni Kru, używani zwykle do podobnych obowiązków. Część wyprawy pozostanie na brzegu, jako rezerwa, inni zaś przez pustynie, góry i lasy pójdą dalej. Czem jest to dalej?... — niech czytelnik w swej duszy dośpiewa... Murzyni, słonie, gorylle... gwiazdziste noce z orkiestrą głębokich basów lwich, romans Verne'a, Tysiące nocy i jedna... a cel poważny i naukowy!... Zaprawdę, niejedna głowa się zapali i niejeden kandydat jeszcze się zapisze. O ile wiemy, między tymi kandydatami niema dotąd żadnego z warszawskich literatów. Jest to klasa ludzi niezmiernie czuła na powaby białogłowskie. Niektórzy z nich należą do niestałych mieszkańców miast, ale wszyscy do stałych wielbicieli płci słabej a zdradliwej. Stąd żenią się wcześniej i z wyprawami o tyle tylko wchodzą w stosunki, o ile każda młoda żona wnosi do domu wyprawę. Przytem narażać swoje literackie ciało na lwie zęby, lub ludożercze żołądki!... Nie śmiem przypuszczać, razem ze Słowackim, aby jaki dziki zwierz, po zjedzeniu którego z nas, uczuł „czczość dziwną“. Przypuszczam nawet przeciwnie, że łatwiejby

mu przyszło zjeść którego z nas, niż strawić, ale robię tylko skromną uwagę, że odszukać zaginionego w ten sposób byłoby trudniej jeszcze, niż odszukać Livingstona.

Zresztą nie mamy czasu jechać do Afryki, bo musimy pisać sprawozdania o Sarze Bernhardt! Przyjechała nakoniec! Jeszcze w Wiedniu miała podobno powiedzieć, że winna to jest społeczeństwu, którego synowie przelewali niegdyś krew za Francję... Oto, co się nazywa płacić dług z czubem. Przygnieceni jesteśmy, o pani! taką nagrodą — i pozwól, abyśmy ci złożyli dzięki w imieniu... Portugalii. Autorem tego portugalskiego podziękowania jest Henryk Rzewuski, ale teraz da się ono przystosować. Pani Sarah widocznie nie źle trzyma o sobie. Ale potem o tem. Obecnie z jednego końca miasta na drugi przebiega słowo „przyjechała!“ Tak jest. Posłuchajmy, jak było. Prolog: owinięta w białą chustkę przemknęła się jak widmo z wagonu przez peron i salę. Podobno ziemi nie tykała — błysnęła, znikła — i zapewne zjadła kolacyjkę.. Akt 1-szy: wystąpienie. Noc! pochodnie strażaków rzucają jaskrawe światło na błoto ul. Wierzbowej. Szczęściem Sarah jest już w teatrze, inaczej mogłaby wykrzyknąć: „ach ten Apfelbaum!“ I pan antreprenier od wywożenia błota więcejby się zasmucił, niż smuci się z kar, jakie na niego nakłada magistrat. Ale mniej-

sza o to. Sarah tedy jest w teatrze. Za kulisami ruch, fraki, białe krawaty, miny uroczyste. Co za przyjęcie, to będzie kontenta! Nagle z za kulis słyhać głos Sary w tonie c wysokie: „Jeśli tu wszyscy będą chodzić, to ja nie będę grała! nie gram, jadę, nie gram! nie gram!“ (forte). Diva jest rozdrażniona. Krzyczy, że zimno, że piece dymią, w czasie tego ubiera się. Dzwonią, publika zatrzymuje dech w piersiach — Sarah na scenie. Aa!... Uwagi, spojrzenia, refleksye... Jest powiewna, jest bardzo szczupła, jest b. szczupła, jest tak szczupła, że jeden z obecnych doktorów robi dwuznaczną uwagę, że na płuca może być chora, ale na piersi nigdy. Czemże jest Sarah? uosobioną chwałą, a chwała?—cieniem — powiada Szekspir. Jak wszyscy Francuzi, tak i Sarah zapewne nie lubi Szekspira.

Jednak ten cień ma piękne giesta i dobywa nad poziom mocnego głosu. Ale to już należy do niej i do naszego recenzenta. Nam tylko nakoniec wypadnie ją wziąć w obronę przed ukośnym piorunem, który jest do obejrzenia w naszej redakcyi za wrzuceniem do puшки na biednych „co łaska“, a który za pośrednictwem naszego pisma pragnął rzucić na nią sędziwy nasz poeta A. E. O. Bo posłuchajmy tylko, co mówi:

Gdy aktor uosabiał wieszczę ideały,  
Postacie bohaterów, albo bohaterek,

Słuszna, że z poetami dzielił wieńce chwa-

[ły —

Lecz gdy uosabianie łotrów lub heterek —

Byle trafne—ma budzić również uwielbie-

[nie:

To już nam, prostym ludziom, zda się nie-

[pojętem —

Bo mogeż się zachwycać, czy cieszyć na

[scenie

Tem, przed czem na ulicy uciekam ze

[wstrętem?

Ze wstrętem, czyli: cum abominatione! Naturalnie, że ucieczka jest najlepszym sposobem obrony, odkrytym jeszcze przez Józefa, ale czyż wszyscy uciekają? Co do nas, bierzemy stanowczo w obronę biednych aktorów. Czyż oni to winni, że autorowie piszą takie sztuki, a nie inne, i czyż oni winni, że publiczność woli takie sztuki od innych? Takie to czasy przyszły. Na muzy, bogów i boginie nie chcemy patrzeć, chyba że... tańczą kankana na nutę Offenbacha. O tempora, o mores! Co się i z samą Grecją stało! Kto ciekawy, niech przeczyta dzisiejszą korespondencyę „Słowa“ z Grecyi. Na Olimpie tessalskim obrali sobie mieszkanie rzezimieszki. Gdy ich stamtąd wypędzą, powstanie zapewne hotel i restauracya. Aktorowie są to języki, którymi smak publiczny liże to, co mu smakuje,—ale nie oni winni.

Skoro wspomniałem o rzezimieszkach, wypada podać jeszcze fakt autentyczny. Gdy karetka Sary zajechała pod teatr, przypada dwóch jakichś panów we frakach, białych krawatach i podają ręce artystce. Idą na scenę, ale rzecz dziwna, im więcej policyi spotykają na drodze, tem uprzejmi panowie słabiej podpierają powiewną postać, nakoniec nikną. Okazało się, że byli to Robert i Bertrand, czyli dwaj złodzieje, którzy w ten sposób postanowili obrać artystkę z klejnotów, jakie mogła mieć przy sobie, lub na sobie. Między publicznością nie wiadano w pierwszej chwili, czy chcieli artystkę wykraść, czy okraść. Ostatnie mniej straszne. Za klejnoty zapłaciłaby publiczność. Mój Boże! Zamierzona wyprawa afrykańska potrzebuje tylko dziesięciu tysięcy rubli. Bez nich może się nie udać. Ciekawym, czy też Sarah mniej wywiezie z Warszawy? A może i znacznie więcej, może dwa razy tyle. Ale trudno! Musimy załatwić sprawę „najpilniejszą”. Ciekawym także, czy na odczyty p. Szolca-Rogozińskiego, które podobno wkrótce będą mieć miejsce, będziemy się tak tłoczyli i tak przepłacali bilety, jak na występy divy.

Ale zresztą, kto się interesuje losem wyprawy, może być o nią spokojny. P. Rogoziński ma zaofiarowane subsydia od różnych to-



warzystw geograficznych. Tylko, jeśli je przyjmie, wyprawa będzie się oczywiście nazywać włoską lub francuską, według tego, kto da pieniądze.

*Słowo.* Rok 1882. № 5.

---

## Kronika tygodniowa.

### III.

Treść. Sara Bernhardt. Odlot zórawi. Inteligentna publiczność. Pamiętnik. Ton francuski. Francuzczyzna. Przerobiona piosenka. Le roi est mort i t. d. Przyjazd Modrzejewskiej. Meiningeńczycy. Brak zabaw. Ciężkie czasy. Głosy do komitetu. Ofiarność. Dar dla Macierzy. Doświadczenie. Obietnica. Rozczarowanie. Zyski śniegowe. Zarządy i akcyonaryusze.

Splata długu, zaciągniętego pod Somosier-ra, Arcis sur Aube i w wielu innych miejscowościach, zbliża się ku końcowi. Ostatnie raty spłacone będą jeszcze dziś, jutro, pojutrze, a potem francuska Goplana na czele łańcucha francuskich zórawi odlatuje do cieplejszych krajów. Nie wiemy, jak będzie wspominać „okropną krainę, gdzie sosny i śniegi sine“, to tylko pewna, że oboje z panem Jarret doszli do przekonania, że tutejsza publiczność jest niezmiernie inteligentna. Nie wiemy wprawdzie, czy się to stało po pierwszej „burzy“ oklasków, czy po obliczeniu dochodów netto,

ale w gruncie rzeczy jest to wszystko jedno. Sara winszuje Warszawie, że tu wszyscy umieją po francusku, że śmieją się, gdy trzeba, i klaszczą, gdy trzeba, a sobie, że nikt nie wybił jej okien w karecie, nie rzucił się na jej klejnoty, żeśmy nie ukrećili głowy panu Jarret, ani panu Daria—słowem: jest zachwycona. Mówią, że diva pisze pamiętniki, w których to wszystko będzie przekazane potomności. Cieszymy się więc. Mówić, że od złego dłużnika bierz i łyka, byłoby nie stosownie. Ktoś wprowadził, że jeśli Sara chciała spłacić dług, niechby była grała darmo. Niech Pociąg Macieja ma za dobrodzieja. Tamto darujemy—bo taka nasza fantazya, a za to zapłaciliśmy i... pozostaniemy dobrymi przyjaciółmi.

W ten sposób i pamiętnik będzie miał sens, który przyszłe gwiazdy francuskie zrozumieją, jak następuje: „jedźcie do Warszawy, bo tam płacą i nie wybijają zębów, a oprócz tego wszyscy umieją po francusku, a ci nawet, którzy nie umieją, udają, że umieją“. Na piątkowym przedstawieniu Sfinksa w całym teatrze mówiono ze sobą po francusku: —zapewne na cześć artystki, a i grasejowano tak po parysku, jak w Café anglais o godzinie dwunastej w nocy. W powietrzu unosiły się perfumy paryskie, a ktoś nawet zapytany przez woźnego o bilet, nie dosłyszawszy, o co idzie,

jakkolwiek nigdy przedtem nie mówił po francusku, spytał „kua?“ głosem tak gromkim, że biedny woźny przestraszył się.

Tak! pod względem francuszczyzny jesteśmy konserwatywni. W Krakowie mówią po polsku—a u nas nie! przecie większe miasto, większy szyk! Teraz import guwernantek z językiem i z muzyką jeszcze wzrośnie, a po odjeździe Sary, *chevalier* Zielonogłowski nie będzie rok rozmawiał inaczej z panną Dziurdziulewicz, jak po francusku, dodając tylko czasem dla równowagi: „*comment ça s'appelle en polonais?... chose!... machine! ps! pst!...*“ Istny książę de Morny!

Chciałbym przerobić znany i niegdyś popularny wiersz w ten sposób: „Parlujcie, Polki! teraz czas parlować!“ Aleby się to na nic nie przydało. Pan Ohnet, czy jak się tam nazywa?—napisał sztukę, której bohater — na imię i nazwisko Sergiusz Panin — jest sobie łapserdakiem pierwszej wody. Otóż autor objaśnia nas, że jest to książę polski. W ostatnich sztukach francuskich bardzo często rolę drapichrustów odgrywają Polacy, ale to nic dziwnego. Mamy przecież tyle sympatyj do Francyi—a między przyjaciółmi takie szlachetne żarty uchodzą. Przytem to bezpieczniej niż naprzykład wprowadzać na scenę Prusaków, po których guzy i sińce nie zagoiły się jeszcze.

Krzesło na występy Sary Bernhardt kosztowało piętnaście rubli, aleśmy się tem nie zrażili. Porobimy oszczędności w czem innem. Ktoś zauważył wprawdzie, że są to za grube ceny na tak cienką artystkę. Cienka ona jest rzeczywiście. Jakiś zdrowy Grabiec miałby wszelkie prawo powiedzieć o niej: „A cóż to za panna? Ma nos, nogi, żołądek, a coś niby szklanna“. Nie jest jednak szklana, bo gdyby tak było, byłaby się niedawno stłukła. Tymczasem odjeżdża zdrowa.

Le roi est mort — vive le roi! Zagraniczna kometa znika, a tymczasem na horyzont sztuki dramatycznej wchodzi nasza rodzima gwiazda. Modrzejewska przyjechała — bilety oddawna są już rozkupione. Zapewne polski język, płynący z takich ust, nie poraża rozdelikaconych po Sarze uszów.

Po występach naszej artystki zapowiadają Meiningeńczyków. Mieliśmy więc operę włoską, komedię francuską, a będziemy mieli dramat niemiecki. Istna wieża Babel — istne wędrówki narodów. Zresztą Meiningeńczycy godni są widzenia. Jest to trupa najlepiej wyszkolona ze wszystkich i służąca poważnej sztuce.

Widowiskom teatralnym nie stają tej imy na przeszkodzie zabawy prywatne. Bawów dotąd niema, o rautach nie słyhać. Nikt nie chce pierwszy wydać balu. Jeśli tak pójdzie dalej, rękawicznicy i fryzyerowie zbankrutują.

Będziemy zbierać i na nich składki; ale nie tracą jeszcze nadziei. Po jakimś pierwszym balu dobroczynnym ruszą się zabawy, nogi i pieniądze.

W każdym jednak razie nie będzie to wszystko tak świetne, jak zeszłego karnawału, bo czasy są ciężkie. Składki idą za składkami, a dawać nietylko wypada, ale i trzeba. Podniosły się już wprawdzie różne głosy dowodzące, że składki są zbyteczne, że już ich jest dosyć, że nakoniec wynagrodzenie wszystkich strat materyalnych nie jest zadaniem komitetu,—ale głosy te pozostaną bez echa. Przedewszystkiem jest zadaniem komitetu wynagrodzić straty o ile możności i przywrócić zachwianą przez nie równowagę ekonomiczną. Pieniądze, których się na to używa, płyną ze składek dobrowolnych; każdy daje tyle, ile może ze swych groszy zapasowych, bez ujmy i uszczerbku dla siebie, słuszną zatem, by grosz zapasowy wypełnił luki po ostatnim rabunku. Powtóre nie można ograniczać ofiarodawców. Ten, kto spieszy z pomocą chętnie i skwapliwie, ten znajdzie zawsze jakiś grosz i dla brata-Ślązaka w razie głodu i na pomnik Mickiewicza, gdy chodzi o honor narodowy. Jakoż składki na Mickiewicza płyną jeszcze i niema powodu wątpić, że dojdą do potrzebnej sumy. Co do komitetu, oczywista rzecz, że potrzeba, by działał rozważnie,—ale też wszystko

za tem przemawia, iż będzie działał rozważnie—i że nie zapomni o potrzebujących ratunku robotnikach i rzemieślnikach. I oni są także ofiarami ostatnich opłakanych wypadków. Czasy rzeczywiście są dość ciężkie. Dwie fabryki zgorzały. W innych jest mniej roboty, niż zwykle. Starano się wprawdzie nie oddalać robotników, ale zmniejszono godziny pracy, skutkiem czego zmniejszył się i zarobek. Nędza może dotknąć niejedną rodzinę. Raz zawiązany komitet powinien nie rozwiązywać się, póki nie przejdą chwile najcięższe. Ze składek, zebranych na ofiary katastrofy świętokrzyskiej, pozostaną prawdopodobnie znaczne fundusze — i te użyte być mogą i powinny tak na zasilenia kas pożyczkowych, jak na wsparcia dla robotników — i tenże sam komitet powinien tem się zająć. By jednak mógł zająć skutecznie, nietylko nie trzeba wstrzymywać ofiarności, ale ją zachęcać. Zdaje się, że to dość jasne. Nie można także mówić komuś: „nie dawaj na Izraelitów“—jeśli taka jego wola i jeśli mu miłosierdzia i grosza starczy.

Słyszeliśmy o znakomitym darze, jaki otrzymała „Macierz Polska“. Podobno aż dwadzieścia trzy tysiące rubli! Wszystkie gazety już o tem doniosły, jako o fackie spełnionym. Radość nasza byłaby wielka, gdyby—gdyby nie doświadczenie. Z równą pewnością donoszono w swoim czasie o szlachetnej ofierze 15,000

rb. na tenże cel. Sumę tę miał ofiarować pan X. (nazwiska udajemy, że nie pamiętamy). Po tem zrobiono tron z obywatelskich uczuć, tylną poręcz z miłości dla dobra publicznego, boczne z poświęcenia; na tym tronie posadzono pana X., a opinia publiczna powtarzała w głos: oto jest Maciek nad Maćkami! oto jest obywatel nad obywatela! On to da 15,000 rb., on utuczy Macierz.

Tymczasem Macierz była chuda, jak Sara Bernhardt, a że nie umiała się przytem reklamować, więc mogła schudnąć na śmierć. Opinia zyskała, nauczyła się bowiem 1-o, że przysłowie: „obiecanka cacanka“ nie jest tak głupiem, jak ci, co mu nie wierzą, a 2-o, że dając na kredyt sławę i popularność, trzeba przynajmniej wziąć rewers na piśmie. Teraz nie ma rewersu i nie ma pieniędzy. Jeśli będą, to lepiej, ale póki nie ma, to po połknięciu samej obietnicy, jest nam dziwnie cicho. Oby owe dwadzieścia trzy tysiące rubli płatne były w czem innem, nie w dobrych chęciach! Wkrótce się o tem dowiemy,—gdyby jednak i tym razem wieść się nie sprawdziła, poczęłyby się pojawiać setki ofiarodawców na grubsze jeszcze... obiecywane.

W tych ciężkich czasach śnieg stał się naszym dobroczyńcą. Nie obiecywał nie padać, przeciwnie nawet—kalendarze przewidziały z zupełną pewnością, że będzie padał, a nie pa-



dał. Jak donosi Kuryer Poranny, Zarząd kolei żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiej i Warszawsko-Bydgoskiej zyskał na niezamiataniu śniegu na czysto 100,000 rb. Jeżeli nie będzie go do końca zimy, zysk zapewne jeszcze się podwoi. Dodawszy do tego, co zyskają inne koleje—żałujemy trochę, że te zyski pójdą na akcyonaryuszów nie na zamiataaczy,—ale z drugiej strony przecież zarządy i akcyonaryusze wiedzą, że teraz właśnie pilne są składki na ofiary wypadków, na kasy pożyczkowe, na pomnik Mickiewicza etc. etc. etc. Skarbonki brzęczą, śnieg nie pada, nie trzeba jednak skąpstwem wywoływać klątwy: bodaj was śniegi zasypały.

*Słowo.* Rok 1882. № 10.

---

## Kronika tygodniowa.

### IV.

Treść: Powódz korepetycyi. Polityka kuropatwia. Crispinus. Consilium facultatis. Współczucie i uznanie. Kasa imienia Mianowskiego. Członkowie. Nadzieja. Komitet. Poeta z pod Rypina. Nauka i kuropatwa. Nowa rubryka. Zaległość i inne towarzystwa. Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych. Rzeźba. Taine. Brodzki i Weloński. Gładyator. Wspomnienia rzymskie. Pracownia. Stankiewicz. Salon wystawy. Piwnicki. Horowitz. P. Bilińska i malarz wędrowny. W. Kotarbiński. Gondola. Libelle. Dziwne wrażenia. Opowiadanie Suchenwirda. Szczególna maniera. Owidzki „Przed dworkiem“.

J'ai lu Agésilas—helas! Wiadomo powszechnie, że piżmo w małej ilości jest materią nader wonną, natomiast w nadmiarze dusi. Od niejakiego czasu tyle mamy „listów otwartych“, „słów prawdy“, „uwag“ i tym podobnych rozpraw we wszystkich kwestyach społecznych, że nam w tej atmosferze już trochę duszno, tembardziej, że niema nadziei, aby owa produkcyja zmniejszyła się w najbliż-

szej przyszłości. Po korepetycyi p. Eryka Jachowicza, danej komitetowi, mamy nowo wynalezioną „politykę kuropatwiał“, zapewne w przeciwstawieniu do jeleniej — i... ecce iterum Crispinus!... Różni doktorowie składają nieustające „consilium facultatis“ nad ranami społecznemi, radzą środki wstrzymujące, ochładzające, niewstrzymujące, a przestrzegane, ratowane i zbawiane na gwałt społeczeństwo ledwo już dyszy. Co do mnie, gdyby to było rzeczą możliwą, uniósłbym „zadziwione sluchy aż do równika“ w towarzystwie pana Rogozińskiego, którego wyprawę wziął, o ile wiemy, ogół tak do serca, że potrzebnych do urządzenia wyprawy funduszów będzie pono musiał młody marynarz szukać gdzieindziej. Nie pomogła i „Kasa imienia Mianowskiego“. Zadaniem jej wprawdzie jest popierać przedsięwzięcia naukowe, ale na nieszczęście, w braku pieniędzy, mogła tylko ofiarować panu Rogozińskiemu dobre chęci, które podróżnik przyjmie zapewne, bo w najgorszym razie nie zacieżą mu w pakunku.

Tak więc na przyszłą wyprawę p. Rogoziński ofiaruje swój majątek, król belgijski fregatę, Włochy współczucie, a my współczucie. Szkoda wprawdzie, że tego współczucia nie można zjeść, ani wypić, ani nawet zrobić sobie z niego parasola, ale zaprawdę nie mogliśmy nic więcej ofiarować, bo istotnie nie mamy

pieniędzy. My—to znaczy: „Kasa imienia Miąnowskiego“. Mówiono o tej Kasie dużo. Społeczeństwo przyznało, że może to być jedna z najbardziej pożytecznych w kraju instytucji, ale po pewnym czasie poprzestało na przyznaniu, Kasa zaś zupełnie tak samo daleko może zajechać na przyznaniu, jak p. Rogoziński na współczuciu.

Gdy się jednak wspomni, ilu to wychowanców b. Szkoły Głównej zajmuje dziś poważne i wybitne stanowiska w kraju, dziwić się można, że instytucja, która bądź co bądź jest jej pamiątką, napróżno usiłuje przygarnąć tych wychowanców i że wśród szerokich kół publiczności platoniczne tylko wzbudza uczucia. Może ludzie zbyt jeszcze mało o niej i o jej celach wiedzą. Otóż objaśniamy, że celem Kasy jest popieranie ludzi, pracujących na polu naukowem, czyli nauki samej. Zadanie instytucji jest poniekąd podobne do zadań istniejących gdzieindziej towarzystw przyjaciół nauk; członkowie jej honorowi płacą 100 rb. jednorazowego wkładu, członkowie rzeczywiści po 5 rb., członkowie in spe nic nie płacą i Kasa ma honor oświadczyć, że tych ostatnich ma dotąd między b. wychowancami b. Szkoły Głównej najwięcej i że liczba ich codziennie wzrasta.

Wobec takiego stanu rzeczy niewiele można zrobić. Koła smarowane tylko nadzieją mu-

szą skrzypiec. Oto na każdym prawie posiedzeniu członkowie Komitetu dowiadują się, że wypadłoby to lub owo uczynić. Oto ktoś napisał dzieło naukowe i pragnie zaciągnąć pożyczkę na wydawnictwo. Kto inny znowu chciałby po ukończeniu uniwersytetu wyjechać za granicę, aby się kształcić specjalnie, kto inny marzy o ekspedycji wewnątrz kraju — słowem: próśb i żądań jest niemało. Komitet rozpatruje je, członkowie dyktują, zapalają się do pięknych myśli, sami podnoszą projekta, gdy nagle w chwili zapadnięcia uchwały, daje się słyszeć grobowy głos kasyera: „Panowie! miejmy nadzieję, że się to da zrobić, ale dotychczas nie mamy pieniędzy. Z byłych wychowanców zaledwie dziesiąta część zapisała się dotąd na członków!“

Komitet tedy ma nadzieję. Bóg widzi, że ma jej więcej, niż pieniędzy. Jest nią tak wyдутy, jak balon, i mógłby latać pod niebiosa; jest tylko obawa, że, gdyby sobie pozwolił unosić się zbyt wysoko, mógłby łatwo kark skreślić. Zresztą właśnie dlatego jest tak lekki, że „eks-wychowañcy“ są tak ciężcy: Nauka, która spodziewała się znaleźć w nich synów, z zadziwieniem spostrzega, że traktują ją, jak macochę. Przysłowie: jak Kuba Bogu, widocznie jest kłamstwem, a natomiast prawdą poczyna być wiersz najslawniejszego kiedyś w okolicach Rypina poety:

Że wdzięczność nie jest rzecz bardzo łatwa,  
Wie to zwierz każdy, ptak i kuropatwa.

Ta kuropatwa miała widocznie szczęście do literatury, skoro raz przysłała w pomoc poecie, gdy chodziło o rym, obecnie zaś udzieliła swej nazwy świeżo inaugurowanej polityce. Ponieważ zaś nie zapomniano i o tem, że kuropatwa ma zwyczaj chować głowę w śnieg, gdy niebezpieczeństwo krąży, niechże mi będzie wolno użyć jeszcze raz porównania. Nauka krąży, jak orzeł pod niebem — wychowawcy zaś jej pokryli głowy, jak kuropatwy — cóż więc dziwnego, że nauka, nie widząc głów, widzi tylko... pustki w „Kasie imienia Mianowskiego“.

Mamy wszelako nadzieję—(zawsze tylko nadzieję), że gdy nasza publiczność dowie się jeszcze raz, jak pożyteczną jest ta instytucya, a zwłaszcza, gdy dowie się, że jej członkowie rzeczywiście płacą tylko po pięć rubli rocznie—wówczas podniesie głowy.

Otworzymy wówczas czwartą rubrykę: członków nie-honorowych, to jest takich, którzy nie wnoszą składek regularnie. Zawszeć to będzie tytuł, a wiadomo, że lubimy tytuły. Na tę nieregularność członków skarżą się po staremu wszystkie inne nasze instytucje. Na „Dobroczynności“ tynk podpadał z murów, budynek wygląda, jak dziad, a napis: „res sacra miser“, jak reklama dla własnej świę-

tości; Towarzystwo osad rolnych cierpi od dawna na chroniczne zaległości i napróżno obiecuje publicznie wygwizdywać swych opóźniających się członków, wychodząc z zasady, że „bis dat qui cito dat“ znaczy po polsku: gwizdaj, by ci kto dał. Nie pomagają prośby, ani groźby. Nakoniec Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych od lat już wielu doszło do przekonania, że: „był młody, który życie wstrzemięźliwie pędził;—był stary, który nigdy nie łajał, nie zrzędził“,—ale nie było członka, któryby nie zalegał.

Nie pochodzi to ani z biedy, ani ze złych chęci, ale z safandulstwa, które jest tak dobrze chorobą społeczną, jak i lekkomyślność. Ale mniejsza-to. Gdybym miał na nią lekarstwo—ogłaszałbym je jak Guyot swoje kapsułki. Tymczasem miło mi, że się zatrzymał przy Towarzystwie Sztuk Pięknych, bo zamierzam wprowadzić tam czytelnika. Na świecie smutno i bieda; w mieście panują błonice i zapalenia, pisują się „listy otwarte“, odbywają się juden-hece, słowem — spadają na nas tysiączne biedy, a tam zawsze cicho i spokojnie. Wejdzmy. Oto pokój z rzeźbą. Tam jeszcze niewiele pociechy. Prócz „Madonny“ Rygiera, niema nic godniejszego uwagi. „Wenus Medycejska“, dalej „Niewinność“ z zupełnie słusznym napisem: „uprasza się nie dotykać palcami“—w kącie zapomniana i jakby gniewna muza Go-

debskiego, której nie wiadomo dlaczego nie postawiono na grobie Moniuszki; dalej kilka portretów, kilka główek rodzajowych — i oto wszystko, a w tem wszystkim brak ducha twórczego, niema samodzielności i polotu. H. Taine mówi, że wogóle rzeźba w nowożytnych czasach straciła dawną podstawę, jaką jej dawała mitologia, zamiłowanie plastyki i życie dawnego greckiego miasta, że nie może być samodzielną, bo musi iść za wzorami, bo naprężona łydka popychającego wóz parobka nie wprawia nas już w zachwyt, bo wreszcie miast chwalić się muskułami, nosimy ubranie. Ostatni argument pozwala nam spodziewać się, że ze względu na wielką ilość świętych tureckich, rzeźba właśnie u nas kwitnąćby mogła. Jednakże nie kwitnie. W malarstwie nie zapędziliśmy wprawdzie jeszcze w „kozi róg“ Europy, jak to twierdzą niektórzy sprawozdawcy, jednakże posunęliśmy się znacznie naprzód nietylko od czasów, gdy malarz za portrety jegomości i jejności brał 50 złotych i wikt przy drugim stole, ale i od czasów, gdy za największego malarza historycznego uchodził zasłużony skądinąd Lesser. W rzeźbie poczynamy dopiero! W salonie naszym ostatecznie niema nic — zagranicą. Komu nie wmówiono wielkości Brodzkiego, który nie zdołał jeszcze zapędzić w „kozi róg“ Delaplanchów, Mercier'ów, takich Dubois, Carpeau, Chapu etc., ten wie, że



jedno nazwisko istotnie nie reklama, ale siła talentu poczyna wybijać się na wierzch, to jest nazwisko Piusa Welońskiego. Podziwiają teraz w Krakowie jego „Gładyatora“, którego i my prawdopodobnie wkrótce podziwiać będziemy w Warszawie, a którego niżej podpisany miał sposobność widzieć trzy lata temu w pracowni artysty w Rzymie. „Gładyator“, obecnie odlany w bronzie, rodził się dopiero wówczas z gliny, ale już potężny tors i głowa były zupełnie wykończone, a dłoń wznosiła się ku Cezarowi na potwierdzenie posepnych słów: „morituri te salutant!“ W tejże pracowni widzieliśmy niepospolitej piękności popiersie Henryka Siemiradzkiego, przyjaciela artysty, i sędziwego malarza Stankiewicza.

Te rzymskie wspomnienia długo zostaną mi w pamięci. Marmury, posągi, ruiny, dzieła sztuki, wycieczki za miasto do katakumb lub pobliskich willi, błękitne krajobrazy Kampanii poprzecinane twardymi liniami akweduktów—wszystko to, gdy raz odbije się w mózgu — utrwała się w nim na zawsze. A przytem z takiej wycieczki unosi się wspomnienia całkowitego oderwania się od rzeczywistego świata, od prozy życia i wspomnienia rozmów, w których jakoby w owych słynnych „Causeries Florentines“ rozprawia się wyłącznie o sztuce i jej mistrzach. Sędziwy Stankiewicz pamięta pobyt Mickiewicza w Rzymie i opowiada szcze-

góły, które innym wyszły już z pamięci. Należy on do ludzi, którzy o wielkim poecie mówią: „pan Adam“, bo znali go osobiście i tak mówili do niego. Pius Weloński jest znowu znawcą i tak zapalonym miłośnikiem Rzymu, iż gotów każdego, kto chce, oprowadzać po całych dniach—i tłumaczyć każdemu dzieła sztuki i zabytki. Jest to jeszcze młody zupełnie człowiek, pełen zapału i prostoty; artysta nawskroś, trochę marzyciel, a przytem, co rzadko z marzycielstwem chodzi w parze: człowiek żelaznej pracy.

Ale są to wspomnienia osobiste. — Wróćmy na wystawę. W następnych kronikach zajmujemy się Krywultem i Ungrem, dziś poprzestać trzeba na sali Towarzystwa Zachęty. W przedsiönku duży obraz Piwnickiego, przedstawiający bitwę cecorską, uderza zamętem walczących ludzi, koni, a zarazem zamętem rysunku, jego niedokładnościami i wadami. — Jest tam podwójna walka: Polaków z Turkami i artysty z tematem. Turcy i temat odnoszą świetne zwycięstwa. W głównej sali zwraca na się uwagę portret Horowitza. Artysta jest to mistrz w zakresie portretów, którego, gdyby trochę miał jeszcze śmiałości, możnaby postawić obok Rodakowskiego. Horowitz w wykonaniu, pod względem techniki jest po prostu doskonałym. Nie można w nim znaleźć wad. Rodakowski jednak przewyższał go fantazyą. Wo-

la Ion stroić swe modele w ubiór bodaj cokolwiek do kostyumu zbliżony, lubił draperyę, chciał mieć jakiś pas, czapkę, płaszcz — kołnierz, byle portret przenieść w dziedzinę sztuki i odebrać mu charakter konwencyonalny. Horowitz tego nie ma. Portretuje on z równą dokładnością dzisiejszy konwencyonalny ubiór, jak i twarz. Ta wierność stanowi wadę. Portret na wystawie przedstawia mężczyznę w późniejszym wieku, z twarzą energiczną a cokolwiek choleryczną. Twarz jako studyum doskonała, ale w zbiorze jest coś nadto sztywnego, jak w fotografii. Podobizna zbyt tu przeważa fantazyę, której widocznie nie brak p. Bilińskiej. Jej malarz wędrowny jest wcale nieźle malowany, ale przypomina więcej wędrownego kominiarza. Dlaczego artystka unikała tak starannie wszelkich plam barwnych, mogących rozerwać oko — trudno pojąć. Obraz jest szary, czarny, brudny; trafnie pojęta, typowa twarz budzić ma humor oryginalnością typu — a wrażenie to zepsute jest przez posępność barw, których gra rozpromienia obrazy p. W. Kotarbińskiego. Artysta ten nadesłał obrazy: „Gondola“ i „Libelle“. W obydwóch, sam może nie zdając sobie sprawy, jest pod wpływem Siemiradzkiego z różnicą kolorytu. Jest coś oryginalnego w tym kolorycie p. W. Kotarbińskiego, coś, co niektórzy poczytują mu za przymiot, ale co dla widzów obdarzonych mniejszą dozą do-

brej woli, przedstawia się, jak wada. Oto wszystkie figury i rzeczy na jego obrazach wyglądają tak, jakby je deszcz, nie zdoławszy ich popsuć zupełnie, rozmiękczył jednakże wodą lub wilgocią. Co dziwniej: linie konturowe obwiedzione są dość silnie, a jednak w rzeczach i osobach istnieje pewna nieokreśloność, na mocy której jakoś łączą się i zlewają z tłem. Artysta bardzo mało modeluje, ale inni jeszcze mniej modelują, a jednak z najbardziej szkicowych figur nie otrzymuje się tego wrażenia plamistości i nieokreśloności.

W „Gondoli“ da się jeszcze ono wytłumaczyć, rzecz bowiem dzieje się wśród mgły. Miętkość, niejasność, są tu na swoim miejscu, a nawet sprawiają efekt dobrego odczucia natury, jej ciszy i jakby senności we mgle. Wśród tych oparów wodnych, lekkich, wilgotnych, cicho przesuwa się gondola; barwnie poubierane kobiety leżą w niej niedbale i także sennie; siedzący ku tyłowi młodzieniec gra na harfie,—w dali widać zarysy Wenecyi — zapewne Dziudeki, ale zresztą Bóg raczy wiedzieć, bo te kształty są nietylko niewyraźne, ale i krzywe, którego to efektu nawet największa mgła nie sprawia. We wszystkim jednak jest harmonia i pewna poezya spokoju.

„Libelle“ przypominają „On i ona“ Siemiradzkiego. Plamistość ich mniej da się usprawiedliwić. Słońca brak. Pan W. Kotarbiński

posiada talent, ale robi jeszcze jedno dziwne wrażenie, którego również za przymiot poczytać nie możemy. Oto znać w nim jakby jakieś wyczerpanie się twórczości. Wydaje się, że jest to artysta sceptyk, który nie wierzy we własną sztukę i maluje z jakimś zniechęceniem. Czy płynie to z braku zapału wrodzonego, czy jest gorzkim owocem zawodów — qui lo sa?

Jest jeszcze na wystawie „Opowiadanie Suchenwirda na dworze Wilhelma Rakuskiego o Jadwidze i Jagielle“. Słuchacze, którym Suchenwird opowiada, mają oczy tak wylupiate, jak karasie, ale za to Suchenwird ma jeszcze wylupiastsze. Są to oczy, jak kartofle! Co za szczególna maniera! bo takie wycieńczone postacie i wytrzeszczone oczy w twarzach zawsze do siebie podobnych widzieliśmy już w innych obrazach pana Moniuszki. Co za szczególna chęć psucia podobnemi ekscentrycznościami swoich robót w człowieku, który jest na początku swego zawodu i który zresztą ma istotny talent.

Potrzeba mu tylko tego umiarkowania i prostoty, jaką posiada Owidzki. Jego obrazek „Przed dworkiem“, mimo pewnych wad wykonania i mimo, iż trawnik jest tak zielony, jak szpinak, sprawia nadzwyczaj miłe wrażenie. Przed dworkiem siedzi grupa ludzi: mężczyzn i kobiet, toczących jakąś pełną zajęcia rozmowę. Jest cichy wieczór letni. W takich

chwilach dobrze się gawędzi wśród ogólnego spokoju natury. Ten spokój doskonale uchwycony i odczuty. W sielance „siedzi dusza“ i prawda poetyczna, której trafnością uderzony widz nie myśli o niczem innem, jak tylko, że:

„Już miesiąc zaszedł,

„Psy się uśpiły...

*Słowo.* R. 1882. № 16.

---

## Kronika tygodniowa.

### V.

Szkice Klina. Wiele hałasu o nic. Odczyt pana Szolca-Rogozińskiego. Jasnowidzenie. Pomoce. Obecna moda. Przyszłość. Prawdopodobne spory. Początek roku. Zapowiedzi. Nowy objaw umiłowania literatury. Zamiłowanie i nienawiść. Dramata. Oktawiusz Feuillet. Historya jednej Paryżanki. Odgrzewania. Karnawał. Cisza. Maskarady. Korespondencya maskaradowa. Powaga myśli. Środek na biedy. Terminatorowie. Blau-montag. Wystawa p. Krywulta. Koniuszko. Krzesz Matejko.

Szkice Klina! część druga, zeszyt pierwszy! Mea culpa! nie znam części pierwszej i jej wszystkich zeszytów. Autor przytacza wprawdzie wyciąg z recenzji, umieszczonych w różnych pismach, ale istotnie dowiaduję się z nich: I-o że Klin ma talent, II-o że Klin nie ma talentu, III-o że włada wybornie językiem, IV-o że nie jest oryginalny. Razem: nie dowiaduję się niczego. Autor nie dodał ani słowa objaśnienia do tych sprawozdań, w nadziei za-

pewne, że czytelnik będzie wiedział, co o nich myśleć. Pewien filozof, wpadłszy w przepaścisty dół, wykrzyknął: „Boże, jakżem ja głęboki! Tymczasem nie on był głęboki, ale dół. Klin nie popełnia tej omyłki, daje tylko do zrozumienia, że ponieważ recenzje były płytkie, a zatem!... Tu autor rumieni się, spuszcza oczy i mówi: dokończcie! Niechaj to anioł harmonii w niebiosach i czuły słuchacz w swej duszy dośpiewa.

A zatem zaczynamy:

„Dla braku miejsca i czasu  
„W krótkości tylko opowiem,  
„Ale w sens zgodnie z przysłowiem:  
„Za dużo o nic hałasu.

Czyli „Trop de bruit pour une omelette!“ Ludzie za dużo mają klinów w głowie, żeby sobie pozwolili jeszcze nowy zabijać. Jeśli zaś nowy „Klin“ nie będzie kontent z powyższej piosenki, gotowiśmy ją umotywować właśnie drugą częścią Szkiców, których pierwszy zeszyt nosi tytuł: „U drogoskazu“. Stoją rzesze, a przed nimi Klin: rzesze nie wiedzą, gdzie iść, nowy prorok pokaże im drogę i w tym celu tak mówić poczyna:

— Drodzy moi, jesteście osły! Przede wszystkim tedy skończcie po pierwsze z mniemanem, że jesteście ludźmi, że wiecie, co jest samowiedza, filozofia, ostateczna przyczyna, po-



zytywizm, gospodarstwo społeczne, kacerstwo, snycerstwo i inne tym podobne idee, a powtóre...

— A powtóre?—przerywają zdętwiałe rzesze...

— Powtóre, jesteście osły. Czy myślicie, że macie jakich uczonych? Jest tam niby jakiś Kopernik,—w literaturze jakiś Mickiewicz, ale i ten nieszczególny. Słowackiemu czasem się może coś udało.—ale zresztą sałata. Głowy polskie, jak i cały kraj: płaskie. Przed każdą kwestyą cofacie się, jak rak. Jesteście ciemni, jak tabaka w rogu, a zresztą wszystko głupstwo i to jest właśnie, co miałem powtóre powiedzieć!

— A po trzecie?

— Po trzecie także jesteście osły.

— No, ależ gdzież mamy iść do tego drogoskazu?

— A cóż to ja jestem pastuchem? Może jaka Tytania w was się zakocha, ale cóż mnie to może obchodzić? W drugim zeszycie dowiodę wam z równą jasnością, żeście osły... a teraz bądźcie zdrowi.

Cóż dziwnego, że wobec takich wywodów zdania recenzentów są sprzeczne, bo gdy ludzie pokorniejszego ducha odrazu zgodzą się na trafność rozumowania Klina, inni śmielsi pomyślą, zgoła co innego. Co do mnie, więcej dziwię się różnicy zdań o języku Klina, przy-

pomina on bowiem stanowczo bruk na ulicy Kruczej. Wiadomo, że ten bruk, tworząc naturalne góry i przepaście, czyni miasto nasze niezdołytem, twierdzą nawet, że magistrat dla tego właśnie go nie naprawia, aby łącznie z cytadelą i Wisłą osłaniał gród od wszelkich przypuszczalnych inwazy zagranicznych. O wóz język Klina najeżony jest również trudnościami. Przeprawa przez „Szkice“ nie łatwa, dojazd jeszcze trudniejszy, a odkrycie myśli autora redukuje do wysokiego stopnia te przeszkody, na jakie natrafić może zamierzona wyprawa afrykańska. Zresztą wyłuszczenie należyte tych myśli pozostawiam do rubryki krytycznej.

Ale „trop de bruit!“ Co za szkoda, że kronikę na sobotę pisze się co piątek, inaczej zdałbym sprawę z dzisiejszego odczytu Rogozińskiego. Gdyby np. zamiast autora pojawił się wypadkiem na katedrze kto inny i gdyby z tego powodu słuchaczki okazały jakie niezadowolone, miałbym temat przynajmniej na dwie kroniki. Byłoby to bowiem dowodem, że czułym słuchaczkom więcej chodzi o Afrykanina niż o Afrykę. A nuż ten, który się nie lęka skwarnych promieni słońca Sudanu, nie zechce się narażać na palące promienie oczu Warszawianek? Mam co do tego jakieś jasnowidzenie. Będzie to jednak zawód. Jak miło jest popatrzeć na czło-

wieka, którego za kilka miesięcy może zjedzą. Murzynki mogą mieć także apetyt! — a to taki przystojny człowiek. Faktem jest, że odebrał już kilkanaście listów, których autorki pytają, czyby nie mogły wziąć udziału w wyprawie. Widocznie kobiety bardziej są przedsiębiorcze od mężczyzn — i nie lękają się dróg równie niepewnych, jak niebezpiecznych.

Nie mówiąc jednak o takich amatorkach, były i inne, które postanowiły przyjść z istotną pomocą przyszłej wyprawie. Słyszeliśmy, że pewna liczba dam wzięła na siebie sprzedaż map i planów przyszłej wyprawy,—projekt ten jednak nie mógł przyjść do skutku. Może w przyszłości znajdzie się inny sposób pomocy. Wyprawa zdołała już zainteresować ludzi,—nie do tego wprowadzie stopnia, by aż ktokolwiek ofiarował się z zasilkiem, ale stała się już „question du jour“. Jest obecnie moda w Warszawie nie mówić o niczem innem, napomykać w gronie dam o przypuszczalnych okropnościach, jakie mogą przytrafić się wyprawie i dawać do poznania, że dla nas, mężczyzn, te okropności są niczem — i że gdyby nie pewne okoliczności lub pewne obowiązki, nicby nas od uczestnictwa nie wstrzymało.

Prawdziwe jednak zajęcie zacznie się dopiero, gdy wyprawa pogrąży się już w głębinach sudańskich lasów. Jeżeli przytem odkryje na dobitkę jeziora Liba, wówczas napewno doj-

dziemy z czasem do przekonania, żeśmy dali potrzebne fundusze, będziem się kłócić na prawo i na lewo, że p. Rogoziński jest naszym ziomkiem — słowem przypomni się wiersz Słowackiego:

„A but twój prawy powieszą w Sybilli,

„A o znikniony lewy będą skargi...

Nim jednak to nastąpi, należy przyjść do porządku dziennego. W Warszawie na porządku dziennym same smutne sprawy i rzeczy. Nie można powiedzieć z Hamletem, że świat spocziwiął. Próżnośmy pochlebiali na najrozmaitsze sposoby Nowemu rokowi. Okazał on się miększym o tyle, o ile mamy ciąglą odwilż i błoto i zapachy uliczne, które bez skutku straszymy Lindleyem i kanalizacją. Do zanotowania mamy tylko jeden miły fakt. Oto zamilowanie do literatury wzrasta widocznie, nawet w najniższych warstwach społecznych, przed paru bowiem dniami okradziono kiosk Ungra ze szczętem. W drugim, zapewne także przez miłość do literatury, wybito szyby.

Trudno wytłumaczyć, wskutek jakiego zamilowania ukradziono w Łodzi całą ciężką i ogromną bramę domu. Ale być może, że to znowu z nienawiści do wszelkich bram, kluczów i zamków. I taka nienawiść wzrasta widocznie. Jest coś zbutwiałego w państwie Duńskiem, mówi Hamlet. Istotnie — dziwne czasy. Ludzie czubią się tak często, jak nigdy,

strzelają się tak często, jak nigdy, a w ostatnim tygodniu miały miejsce aż dwa samobójstwa. Ostatnie popełniła kobieta. Dotychczas zupełna tajemnica okrywa ten dramat i tylko plotkarstwo ludzkie haftuje na tej kanwie romantyczne wieści. Gdybyśmy mieli między sobą Oktawiusza Feuillet'a, napisałby zaraz sensacyjny romans. Ten autor, który się już uprzykrzył we Francyi, cieszy się u nas niezmiernem powodzeniem. Świeżo wyszedł przekład jego „Histoire d'une parisienne“, co przetłumaczono na polskie: *Historja jednej Paryżanki*.—Przypomina nam to słynny w swoim czasie dosłowny przekład: „Przez niebieskie! — krzyknął wice-hrabia i wychylił kieliszek świętego Juliana“.—Zresztą ta historia jednej Paryżanki jest stara i nudna nie tylko dlatego, że „w księdzu Kiefalińskim znika Szekspir“, ale dlatego, że wszystkie te powieściowe Paryżanki kończą tak samo: mąż, żona i kochanek, zemsta — i wiecznie to samo. We Francyi już się tem ludzie przesycili — my ciągle jeszcze odgrzewamy, a to takie niestrawne!...

Karnawał się nie klei, „J u d e n h e c a“ popsuła humory, składki wypróżniły kieszenie. Nawet maskarady, na których dawniej było równie mało dowcipu, jak wiele gorąca i równie ciasno, jak nudno, obecnie są mniej liczne. Ludzie nudzą się przestronno. Dawniej można

było tylko ziewać, teraz można się i przeciągnąć. Korespondencya maskaradowa również mało ożywiona. Zaledwie kilka wezwań: „Będę na następnej“ lub: „naprawdę cię szukałem“, — a ani razu nie czytaliśmy energicznej prośby: „przyjdź koniecznie!“

Terpsychora widocznie także okulała, bo zabaw i tańców niema. Rozmyślamy o sprawach poważnych, bo jeśli nie możemy nic na biedy poradzić, to rozmyślać wolno nam ad libitum. Czy przyszłość zrealizuje owe pobożne tęsknoty, nie wiem. Są rzeczy, które się udają, jak np. samowary uliczne. Zwyciężony barszcz nie śmie ani pisać. Herbata za to już się sprzedaje. Czy zapobiegnie ona pijaństwu? Jest jeden środek na pijaństwo, na próżniactwo, na judenhece, na zwiększającą się niemoralność — słowem, na wszystkie biedy społeczne, środkiem tym oświata. Gdyby ów dzielny zastęp, który burzył szynki, wiedział, że, wybijając szyby, krzywdzi właścicieli domów, a rozbijając beczki i wódkę — dystylatorów. — nie mielibyśmy judenhecy. Gdyby całe setki terminatorów rzemieślniczych nie rosły w błogim stanie niewiadomości złego i dobrego, pan Unger miałby całe szyby w swoich kioskach, a więzienia więcej lokalów wolnych. Jak Francuzi wypisują, gdzie mogą: égalité, fraternité etc., tak mądrzejsi od nich Amerykanie, knowledge is power—

wiedza to siła. My zaczynamy dochodzić do przekonania, że i ciemnota to siła, ale takiego rodzaju, że łatwo od niej w kark dostać.

Parę dni temu widzieliśmy obraz, zresztą bardzo piękny p. Koniuszki, zatytułowany „Blaumontag“. Siedzi pan majster i czyta gazetę — widocznie politykuje zawzięcie, przez ramie zaś jego zagląda do gazety mały terminator, który czasu nie traci, bo zarazem ma pełne usta jedzenia. Gdyby pan Koniuszko był Warszawianinem, inaczej pojałby swój obraz. Możeby ani pan majster nie czytał, ani terminator. Między majstrami jest niechybnie tyłu ludzi porządnych, którzy niekoniecznie krzyczą w poniedziałek: „werda, panie Szarucki!“ ale terminatorom brak opieki, brak bodźca innego do pracy, jak pociągiciel, brak oświaty, brak moralności, bo gdyby te przymioty mieli, musieliby je czerpać chyba z powietrza, a wiadomo, że warszawskie powietrze zgoła z innych składa się elementów.

Zawadziwszy o pana Koniuszkę, czujemy się w obowiązku powiedzieć kilka słów o wystawie Krywulta, zwłaszcza, żeśmy to w zeszłej kronice przyrzekli. Przedewszystkiem tedy sam p. Koniuszko zasługuje na bliższą uwagę. Jest to malarz zdolny i płodny. Miłuje on się w ciemnych barwach, mrokach, światełkach, połyskujących wśród ciemności i wo-

góle w głębokich cieniach. W swoim „Blau-montag“ okazał także wysoki dar obserwacyjny. Majster i chłopiec są to doskonałe i skończone typy. Akcja uchwycona wybornie. Znać, z jakim zajęciem majster czyta, co „jenteligeny“ piszą, i że po chwili sam będzie o tem rozprawał, choćby z własnym terminatorem. Obraz ten też znalazł już podobno amatora. Słyszeliśmy nawet, że zamówiono i drugi zmniejszony egzemplarz. Koniuszko jest, o ile wiemy, bardzo młodym człowiekiem i należy do tych, którzy nie wyrosli ani z soli, ani z roli, ale z własnej pracy i talentu. Mniej zalet ma obraz Krzesza: Powrót Kozaków z wyprawy na Turków. Na pierwszym planie łódź-czajka, a w niej ataman; obok zdobytej branki, na przodzie i z tyłu inne łodzie, wyteżone muskuły wiosłujących, poplątany las wioseł i t. d. Wszystko to jest efektowne, ale sztuczne. Koloryt porcelanowy, brak realnej prawdy. Widz ma przed sobą jakby scenę z opery, jakby ilustrację do rozbujającego poematu. A przytem w łodziach obok Kozaków i obok branek jada błędy rysunkowe i te są najrealniejsze. Obraz ogólnie podoba się, ale to sprawy nie przesądza.

Ze „Chrztem Władysława Warneńczyka“ Matejki i liczne sprawozdania obznajmiły już publiczność. Jest to wspaniała i poważna karta,



trzymana w stylu niemal surowym. Wkrótce ma nadejść Rzeczpospolita Babińska, o której Kraków cuda nam prawił. Obecnie ten obraz jest we Lwowie.

*Słowo.* Rok 1882. № 22.

---

## Kronika tygodniowa.

### VI.

Treść: Odkrycia. „Trzecia część“. Malkontenci. Dobre strony każdej sprawy i rzeczy. Na tysiąc jeden. O czem statystyka milczy. „Dla edukacyi dzieci“. Zadania obywatelskie. Historia pewnego tatusia, jego synów i córeczek. Pan Łojko. Głos wołającego na puszczy. Kawalerowie. Morawski. Edukacja i dukacya. Kilka słów o dawnych tradycjach i potrzebach dziejowych. Pretensye. Koniec historii. Strachy na Lachy. Doktor i pacjent. Gielda karnawałowa. Stare sposoby. Wujaszkanie. Testament hr. Kického. Zapowiedziana książka. Tow. osad rolnych. Odludek filantrop. Pobożne życzenie.

Mam się podzielić z czytelnikami nadzwyczaj radosną wiadomością. Oto odkrycia pójdą u nas tak śpiesznym krokiem, że wyprzedzimy wkrótce na sto mil całą Europę. Nie jest to żadna bajka, ani jedna z tych dziennikarskich kaczek, z których jajka wykluwa się wąż morski. Istnieje bowiem nowe prawidło na pocztach, na mocy którego urzędnik, który odkryje w liście pieniądze, przesyłane bez opła-

ty, staje się właścicielem trzeciej części tychże pieniędzy. Naturalna tedy rzecz, że odkryć mnoży się bez końca. Są wieczni malkontenci, którzy narzekają na to prawidło i twierdzą, że publiczność na niem straci, odkrycia bowiem wymagają uprzednich poszukiwań, a uprzednie poszukiwania uprzednich rozpieczętowań. Prawda. Ile jednak stracą jedni, tyle zyskają drudzy, i w ten sposób równowaga tak konieczna w stosunkach społecznych będzie zachowana. Co więcej: moralny obywatel nie lęka się, by odczytywano jego listy, a jeśli pewność, że każdy list będzie odczytany, położy tamę 1-o listom miłosnymi, częstokroć godzącym na słabość niewieścią, 2-o listom z prośbą o pożyczenie pieniędzy, 3-o listom wymyślającym — to nie bez racji będzie można twierdzić, że w życiu nie będzie nic sekretnego, że wszystko musi być jawnem, znanem i że zyska na tem nawet cała ludzkość. Poczta mogłaby to poprzeć następnym przykładem: Pan X. uchodzi za bogatego i ma córki na wydaniu. Oczywiście o córki te starają się młodzi ludzie, których hipoteki są tak ciemne, jak „Szkice“ Klina i starają się w nadziei właśnie rozproszczenia hipotecznych ciemności. Czeka więc ich zawód. Tymczasem ktoś szukający „trzeciej części“ otwiera list pisany do p. X. i znajduje stereotypowe słowa: „Dziwuję się bardzo, że pan żadnej raty obiecaney na weksel nie nade-

słał etc...” Wówczas odrazu robi się jasno i „komedia z pomyłek“ jest niemożliwą, bo przecie poczta od tego jest poczta, iżby trąbiła. Wobec takich korzyści dla opinii, o której pan Ehrenfeucht wypowiedział w dniu onegdajszym swoją opinię—deklamacye o tajemnicach życia prywatnego są niewłaściwe; nie będzie więc tajemnic, ale za to będzie spowiednik bez obowiązku dotrzymania sekretu.

W ostatnich czasach zrobiono także inne odkrycie, o którym donosiliśmy już w „Słowie“. Oto statystyka wykryła, że w ciągu roku na tysiąc mieszkańców Warszawy jeden musi być rozjechany przez dorożki, karety lub omnibusy. Powstały z tego powodu niemałe krzyki na nieostrożną jazdę; krzyki według nas również przesadzone, albowiem nie należy mniemać, żeby rozjechanie pociągało za sobą natychmiastową śmierć. W większości wypadków kończy się na połamaniu rąk, nóg lub na stłuczeniu głowy. Owóz ma to wszystko swoje strony dobre i moralne, albowiem: 1-o kto się lubi włóczyć po ulicach, ten w razie złamania nogi włóczyć się przestanie, a przez czas kuracyi może wejrzeć w siebie i poważniej spojrzeć na świat, 2-o kto nic nie robi, ten niewiele stracił na złamaniu ręki; a 3-o ten, komu stłuką głowę, zdoła przekonać ludzi w sposób stanowczy, że ją posiada, wiadomo zaś, że ludzi z głową nie mamy wielu.

Statystyka milczy, czy te wypadki złamania i stłuczenia spotykają najczęściej b. obywateli wiejskich, którzy przenoszą się stale do miasta dla t. zw. „edukacyi dzieci“—to tylko pewna, że kategoria wyżej wymienionych, przybyłych do Warszawy, jest coraz liczniejsza. Komu Pan Bóg dał na wsi więcej dzieci, niż rozumu i więcej chęci do wista w resursie kupieckiej, niż do pracy około roli, ten sprzedaje ojcowiznę w całości lub z pomocą parcelacyi, a sam osiada na stałe w mieście — „dla edukacyi dzieci“. Wprawdzie Jasio i Kazio, chodząc do gimnazyum wprost z rodzicielskiego domu, pozostają takimiż samymi osłami, jakimi byli poprzednio, ale za to tatuś „procul negotiis“—spędza czas wesoło i dobrze. Zrana odwiedza cukiernie i w gronie bliższych znajomych uprawia wielką politykę, wieczorem tnie wiścika do godziny drugiej w nocy — i w ten sposób toczy się mu życie, czas, pieniądze.

W samej Warszawie mnóstwo zadań oczekuje jeszcze rąk obywatelskich. Można w ostatnim razie być bodaj członkiem Dobroczynności, opiekować się ochronami lub czytelniami ludowemi, można przecie dalibóg! znaleźć jakie prywatne lub publiczne zajęcie, ale nasz tatuś nie ma na nic czasu, albowiem bawi on w Warszawie—dla edukacyi dzieci.

Dzieci więc rosną... Kizia i Mizia mają nauczycielkę z językami i uczą się fałszować

Szopena, skutkiem czego Szopen przewraca się w grobie, ale nikt zresztą krzywdy nie ponosi, chyba pan Łojko, który naprózno zakłada i jeszcze będzie zakładał rękodzielnicze instytucje dla kobiet, lub szkoły kucharstwa. Posłuchajmy go, jak się skarży. „Szkoła nauki kucharstwa — woła głosem wołającego na puszczy pan Łojko — powstała z inicjatywy założyciela zakładu rękodzielniczego, w dniu 15 października 1876. Przypuszczał on, że nowa instytucja zgromadzi znaczną liczbę uczennic, chcących korzystać ze sposobności praktycznego poznania sztuki kuchennej. Zawiódł się jednak, ogół bowiem naszych kobiet obojętnie przyjął i nie poparł nowootworzonego zakładu, pomimo możliwie dogodnych warunków nauki“.

„Nasze idealne panie widocznie nie chcą mieć nic wspólnego z taką prozą życia, jaką jest przysposabianie pokarmów“.

I w ten sam sposób płacze i dalej pan Łojko.—Zaiste zawiódł się on. Nasze idealne panie nie chciały słyszeć zupełnie o szkole kucharskiej, a niewiele o całym zakładzie. Pan Łojko nie mówi całej prawdy. Tak jest: cały zakład nie cieszy się wielkiem uznaniem naszych pań, mimo wykładu w języku krajowym „w celu praktycznego kształcenia kobiet“.

Głos jego długo jeszcze pozostanie głosem wołającego na puszczy. Ale czego też pan

chcesz, panie Łojko? Czy żeby na pańskie nawoływania odpowiedziały Kizia i Mizia, obie panny tak dystygowane, córki eks-obywatela ziemskiego, który dla „edukacyi dzieci“ przeniósł się wprawdzie do Warszawy, ale który, wierny tradycyi rodzinnej Osłowskich, nie splamił się nigdy niczem, chyba kredką w resursie kupieckiej? Siebie mógł on poświęcić, i właśnie dlatego przeniósł się dla edukacyi dzieci, ale nazwiska swego ustrzegł. Nie wymieniano go też po gazetach, jako jakiegoś członka jakiegoś komitetu i nie obwijano potem w jego nazwisko pieprzu w sklepikach.

A Jasio i Kazio?

W gimnazyum nazywano ich wprawdzie osłami, raz dla ich nazwiska, a powtóre, że z nauką wchodzili o tyle w stosunki, o ile odwracali się od niej tyłem i wierzyli w nią zacięcie. Wobec tak silnej woli wszelkie napaści na nich geografii, historyi, literatury okazały się bezsilne. Galilejczycy zwyciężyli.—Zahartowani w tej walce wyrosli zdrowi, jak rydze, czerwoni, jak buraki—i nie zapomnieli nigdy kim są. Nieraz w przerwach między lekcjami opowiadali kolegom o przodkach swoich:

„...Jak w sławę, znaczenie rosły,  
„Co to były za figury,  
„Co to były za osły!!

Słusznie więc: i „Lis“ z bajki Morawskiego mógł im odpowiedzieć:

„...jakżeś nierozsądny!  
„Ciągłe swoich chwalisz przodków,  
„I ty nie jesteś z wyrodków,  
„I z ciebie osił porządny“.

Gdy wreszcie zupełnie wyrosli, każdy z nich kazał sobie zrobić bilety z napisem: „Chevalier de Osłowo-Osłowski“ — i szukają obecnie żon w czasie karnawału. Do „Nieobecnych“ nie należą. Gdy korki raz po raz strzelają u Stępkowskiego—to oni. Gdy po maskaradzie huczy gdzie jaka rajska kolacyjka—to oni. O! dzieci rodziców przybyłych „dla edukacji“ do Warszawy! nie potrzebuję was szukać tam, gdzie sam nie bywam, bo gdy widzę pędzące dorożki pierwszej klasy i rozjeżdżające na tyśiąc mieszkańców Warszawy jednego — to wy jesteście.—Gdy spotykam młodzieńca, który całe życie szuka majątku do nabycia, a jakoś nigdy znaleźć nie może — poznaję jednego z was.

A co się staje z tatusiem przyjeżdżającym dla edukacji dzieci.

Życie się przetoczyło, pieniądze także. Dzieci, chowane pod osobistym dozorem, tracić pomogły—i tato na starość ma obcasy nieco wykrzywione. Stał się także wielkim pesymistą. Nie wierzy w poświęcenie. Oto ja — mó-



wi — poświęciłem się dla dzieci, sprzedałem majątek, przenieśliem się do miasta, nie robiłem nic innego—i jakżem wyszedł?

Gdy spotkacie ludzi starych, znużonych, rozczarowanych, skwaśniałych, z pretensją do całego świata i osłaniających pretensjami pustki w głowie i w kieszeni, mówiących ciągle o dawnych swoich majątkach ziemskich, to wiedźcie, że są to ojcowie, którzy w swoim czasie przenieśli się do Warszawy dla edukacji dzieci i „nie robili nic innego“.

Wszystko złe wypłynęło właśnie z tej przyczyny, że nie robili nic innego. W edukacji dzieci ważną jest rzeczą dozór, ważną wpływ rodzicielski, ważną bezpośrednio czuwanie, — ale z edukacji dzieci jeszcze ważniejszą rzeczą jest, by rodzice przekazali im tradycję pracy. Wy, co krzyczycie na brak poszanowania tradycyi, chceście wreszcie zrozumieć tych, co ją kochają szczerze, ale w jej jasnych i szacownych stronach. Tradycja może być złą i dobrą. Świętą jest tradycja miłości do kraju i tradycja pracy i tradycja zasługi, ale tradycja samowoli, bezkarności, teźyzny, zbytku i próżniactwa jest złą i należy ją wypędzić, należy wyświecić z miasta i kraju.

Dzieciom waszym trzeba przekazać tradycję pracy. Trzeba koniecznie! Inaczej nie może przyjeżdżać do Warszawy „dla educa-

cyi“. Są zapewne między nami ludzie, którzy przyjeżdżają zmuszeni okolicznościami—i przybywszy raz, pojmują poważnie swe zadanie, ale kto przyjeżdża „dla edukacyi dzieci“, a następnie edukuje je własnym przykładem na próżniaków, ten gubi przyszłość swoją i swojej rodziny.

Ludzie tacy, pomnąc o swoim eks-obywatelstwie, o swoich eks-majątkach i o swem pochodzeniu, zostawiają dzieciom tylko pretensye, to jest gubią je z góry, bo z góry stawiają je w niezgodzie ze światem, który owych pretensyi do eks, eks... uznać nie może, bo nie mają one żadnej realnej wartości. Musimy mówić prawdę i nie ukrywać światła pod korcem. Zasługi przodków, jeżeli nie odnawiają ich zasługi potomków, bledną, jak bledną karmazyn i purpura na starych kontuszach. Dawne korony rdzewieją, pokrywają się pleśnią, a rdzę i pleśń z nich może zetrzeć tylko praca i jeszcze praca, stała, ciągła, niezmodernowana, a czysta, jak łza i przedewszystkiem bonum publicum mająca na celu. Poeta ludowy, demokrata z krwi i kości powiedział w jednym ze swoich utworów:

„Wy będziecie na świecie potrzebni na  
[nowo,

„Nie z szablą i pancerzem, lecz z piórem  
[i głową...

Pretensyi świat uznać nie może i nie ma

słuszności! Te czasy, w których czczono je-  
miołę, minęły dawno i bezpowrotnie. Światu-  
szanowałby pochodzenie dopiero wówczas, gdy-  
by ci, którzy się niem szczycą, rozumieli, że  
pochodzenie—to obowiązek i ciężki obowiązek  
dawania przykładu, przechowywania tylko za-  
cnej i wysokiej tradycji — i przodowania gor-  
liwością w pracy społecznej.

Czy są to tylko pia desideria? Czy z per-  
gaminów korzystać będą tylko myszy? czy po-  
siadacze ich nie wyciągną z nich nauki o  
obowiązku? Być może, że się ma ku lepszemu.  
Nie należymy do niepocieszonych pesymistów.  
Na polu pracy spotyka się coraz większy zastęp  
rodzimych nazwisk. Słysząc o nich i w prze-  
myśle i w handlu. Może też ten drugi zastęp  
przybyłych „dla edukacji“ pracowitych pró-  
żniaków nie będzie się zasilał nowymi przyply-  
wami — i mniej głośno rzucał w oczy swoje  
eks, eks... Bo powtarzamy raz jeszcze, że tra-  
dycya rodowa jako ostroga do pracy ma swoją  
racyę bytu, jako pretensya do kogoś lub cze-  
goś, będzie karmić tylko próżność, ale w dzi-  
siejszych czasach nawet próżności nie nasy-  
ci...

---

Podobno też straszą nas trochę i niepotrze-  
bnie doniesieniami o różnych epidemiach w

Warszawie. W braku kanalizacyi i z powodu niezdrowej wody choroby panują wprawdzie, ale, jak zapewniali nas lekarze dobrze ze sprawą obeznani, zatrważającego charakteru epidemicznego nie przybierają. Najczęstsze są wypadki dyfterytis. Pewien warszawski obywatel, który zapadł na tę straszną chorobę, wezwał natychmiast swego sąsiada doktora i rzekł:

— Wszak mam dyfterytis?

— Tak jest.

— A więc nie pozostaje mi, jak zrobić testament?

— Wcale nie. Będiesz pan zdrow z pewnością. Na stu chorych na dyfterytis jeden wychodzi, a ponieważ dziewięćdziesięciu dziećwięciu moich pacjentów już umarło, zatem pan musisz wyzdrowieć.

Chory pocieszony w ten sposób nie wahał się dłużej i począł pisać tystament.

Pociechy podobnej moglibyśmy udzielić tym, których przestraszyła wiadomość, że na tysiąc mieszkańców tysięczny pierwszy musi być z powodu nieostrożnej jazdy rozjechany. Należy się tylko wystrzeżać, by nie być tysięcznym pierwszym.

Zresztą teraz nie pora się przerażać. Teraz jest czas zabaw, oświadczyn, małżeństw i tym podobnych uroczystości. Na giełdzie karnewałowej ruch poczyna się ożywiać, a ten-

dencya do stanu małżeńskiego wzmacnia się. Swoją drogą z końcem karnawału wiele nadziei i wyrachowań spotka krach nieunikniony. Spotka on przedewszystkiem tych młodych ludzi, którzy, jak wspomniałem wyżej, niby to szukają ciągle majątku do nabycia, a znaleźć go jakoś nie mogą. Na tak stare sposoby ryby się już nie łapia, również jak na amerykańskie spadki i na testamenta żyjących jeszcze wujaszków. Od czasu, jak wynaleziono filantropię i zapisy na cele publiczne, bezdzielni wujaszkwowie zgoła nie zasługują na przywiązanie i ufność siostrzeńców, którym czasem wcale niemiłe robią niespodzianki. A testamenta podobne mnożą się. O jednym z nich chcielibyśmy pomówić z czytelnikami.

Wkrótce ukaże się bowiem książka o zapisie hr. Kajetana Kickiego, należy więc poprzedzić ją kilkoma słowami objaśnienia, o co idzie. Kajetan Kicki zmarł w 1878 roku i zostawił ogromny majątek na rzecz Osad rolnych. Był to człowiek bardzo dziwny. Odludek, mizantrop i oszczędny do najwyższego stopnia, zbierał i podtrzymywał odziedziczone majątki z jakąś ponurą wytrwałością. Bóg wie, od jak dawna przed śmiercią przeznaczył je na cele publiczne i tą myślą tylko żył. Nad testamentem pracował podobno od trzydziestu kilku lat.—Gdy wreszcie testament został otworzony, pokazało się, że cała fortuna zapisana zo-

stała na rzecz Osad rolnych.—Fortuna zaś była znakomita, filantrop bowiem posiadał co następuje:

- 1) Dobra Orłów w Lubelskiem.
- 2) Dom w Warszawie na Królewskiej.
- 3) Dom na Pradze.
- 4) Dwie kolonie pod Jabłonną.
- 5) Szamocin i Blizocin w Siedleckiem.
- 6) Rzyczki w Galicyi.
- 7) Kapitały w Banku Polskim.

Wdowie swej zostawił ś. p. Kicki tylko dożywocie na Nr. 2, 4, 5 i 7. Resztę odziedziczyły Osady rolne nietylko dla siebie, ale i z obowiązkiem urządzenia wzorowych majątków ziemskich pod względem rolniczym i administracyjnym, szeregu dobroczynnych instytucyi dla miejscowej ludności, jako to: szkół, szkoły agronomicznej dla niższych oficyalistów, ochron, warsztatów przemysłowych i t. p.

Dopiero po spełnieniu tych zadań, mają być założone nowe osady rolne. Plan jest ogromny, testament obmyślany drobiazgowo. Towarzystwo zapis przyjęło. Rząd już go potwierdził. Tak dzięki ofiarodawcy powstanie mnóstwo wieczystych instytucyi nadzwyczaj potrzebnych i pożytecznych. Powoli też zapis zaczyna się wykonywać. Pod administracją Tow. Osad rolnych znajduje się już Orłów, Rzyczki i dom na Pradze, to jest te dobra, na których niema dożywocia. Dobra były wielce zrujnowane, bu-

dynki w nich podupadłe, ziemia zapuszczona. Nowa administracya ma się zająć przeprowadzeniem ich do stanu świetności. Tymczasem, by oświecić publiczność, pisze się książka o tem, jaki jest istotny stan rzeczy. Rada administracyjna wezwała Andriollego, by odrysował wszelkie budowle i ruiny, by potem ogół przez porównanie mógł ocenić działalność rady administracyjnej, do której weszli ludzie fachowi.

Rzecz jest podobno na zupełnie dobrej drodze—i można być pewnym, że pójdzie zupełnie pomyślnie, choć praca jest ogromna i trudna. Pierwszy to wielki zapis, który nie zmarnieje, jak inne, jak np. staszycowski, ale tymczasem trzeba było toczyć układy prawne, starać się o potwierdzenie, objąć administracyę, poprawiać, wznosić, fundować, słowem pracować nie żartem. Książka, która ukaże się w końcu marca, będzie nosić tytuł: „Objęcie zapisu hr. Kickiego w posiadanie przez Tow. Osad rolnych“,—dołączone będą do niej dokumenta o stanie rzeczy obecnym, inwentarze, plany działania, wyświetlenie kwestyi prawnej i wreszcie dwanaście rycin Andriollego. Towarzystwo widocznie poważnie pojmuje swoje zadanie. Dziś śmiało już liczyć można, że za parę lat ponure ruiny starego zamczyska, nad którymi unosi się jakaś legendowā groza, jakieś wieści o tragicznych losach, które jakoby

tam się miały rozegrywać, zabrzmiały odgłosem wesołej pracy ludzkiej. Puste, zabite deskami okna nieskończonego pałacu zapłonęły ogniami warsztatów, a w miejscowym kościele zaszechrze modlitwa za duszę tego posępnego odludka, który, jak się pokazało po jego śmierci, kochał jednak ludzkość mocniej i rozumniej, niż niejeden, co gotów jej służyć, ale pod warunkiem, żeby mu dawała „wikt“ i liberyę.

Takich odludków, jak ś. p. Kicki, racz nam dać, Panie!

*Słowo.* R. 1882. № 28.

---



## Kronika miejscowa i prowincjonalna.

### VII.

Teatr. Posąg, dramat w trzech odsłonach przez Wacława Szymanowskiego. Wystąpienie p. Modrzejewskiej.

W czasie, kiedy przedmioty do dramatu czerpano wyłącznie w historyi, kiedy lubowano się pięknym potoczystym wierszem, kiedy ceniono poprawność wyrażenia, a sztuka była rzeczą znawców i lubowników,—przedstawienie takiego Posągu byłoby uroczystością sceniczną. Przymioty bowiem, które zachwycaly dawniej miłośników sceny, „Posąg“ posiada w wysokim stopniu. Przedmiot, zaczerpnięty z czasów renesansowych we Włoszech, odczuty jest zgodnie z duchem owych dziejów, postaciom nie brak kolorytu epoki. Są tam mnisi, artyści, „brawi“, kondotierzy i wesolo hulająca szlachta — wszyscy zaś posiadają barwistość i indywidualność zgodną z barwą owych czasów. Miłość artysty-rzeźbiarza do zdradliwej kobiety, przebieg tej nieszczęśliwej

miłości, obłęd męża po ucieczce żony — i krwawe rozwiązanie, gdy mąż-waryat rozbija w chwili szalu swą posagową żonę młotem, — słowem perypeceye sztuki posiadają w sobie dość żywiołu dramatycznego. Nakoniec forma jest tak potoczysta i poprawna, że nie można jej zrobić żadnego niemal zarzutu. A jednak publiczność — pozostaje chłodna. Dzieje się to z dwóch powodów: raz, że sztuka pisana jest po akademicku. Autor zbyt panuje sam nad sobą, zbyt wiele ma świadomości własnych środków, a za mało oddaje się porywom natchnienia. Inaczej mówiąc: jest to dzieło sztuki, pisane przez miłośnika pięknej formy, który nie pozwala się unieść dramatowi zawartemu w treści — i ten spokój akademicki udziela się i widzom, którzy również mogą podziwiać formę, ale nie oddają się całkowicie bezpośredniemu wrażeniu, jakie sprawia akcja. Powtóre, czasy takie nadeszły, iż publiczność lubi na scenie życie dzisiejsze i że utwory z przeszłości mało nęcą i mało zajmują.

Czy jest to dobrze, czy źle, nie tu pora rozstrzygać, dość, że tak jest, każdy z widzów ma w sobie kryterium dla odczucia i rozumienia człowieka zwyczajnego. Do motywów zaś i sprzężyn działalności ludzi dawniejszych trzeba się dostrajać, trzeba się z pewnym trudem stawiać w ich świecie, ich sferze umysłowej, ich położeniu. Tego trudu, który zresztą wy-

maga przygotowania historycznego, publiczność nie lubi ani u nas, ani gdzieindziej. Darzy ona autorów „zaszczytnem uznaniem“ i rozchodzi się do domów obojętna. Tak stało się i z „Posagiem“. Pewne iskry zapалу wykrzesać może chyba w takich sztukach popisowa, efektowna rola, jeśli się ją powierza wielkiemu artyście lub artystce. Wczoraj widzieliśmy wprawdzie wielką artystkę, ale popisowej, efektownej roli niema w „Posagu“. Gra ma w nim polegać na dykcji, na akademickich pozach i na doskonałej całości. P. Modrzejewska wywiązała się z zadania właśnie w sposób, który tylko można nazwać doskonałym. Gra jej, mówiąc jednym słowem, była klasyczną, a postać posagową. Inni artyści dostrajali się do jej wysokiej skali, jak mogli. W grze p. Wolskiego znaleźliśmy dużo postępu. Dykcya jego nabiera szlachetności. Pan Ładnowski grał inteligentnie i w końcowych aktach porwał publiczność swym zapalem. Innym moglibyśmy tylko powiedzieć, że przydałoby się więcej sprawności w grze. Sztukę należy grać żywiej. W chwilach, w których nie było na scenie Modrzejewskiej i Ładnowskiego, przedstawienie wlokło się. Pani Modrzejewskiej należy się na koniec wysokie uznanie, że zrzeka się ról efektowniejszych, wywołujących pewny oklask, byle grać w sztukach polskich.

## Kronika tygodniowa.

### VIII.

Treść: Przykry sen i miłe przebudzenie. Letnie mieszkania. Spis jednodniowy. Delegaci. Jacy lepsi. Kto jest osobą. Rozumowanie staruszki. Żydożercy. Praktyczne sposoby. Pamiętaj, abyś dzień święty święcił. Tańcząca filantropia. Bal na studentów. Przytulisko Dom dla szwaczek. Kasy pożyczkowe. 150,000 rs. Dodatkowo rubryki. Nogi i głowa. Post. Książki i odczyty. „Biblioteka Warszawska“. Pośmiertny poemat Gustawa Zielińskiego. Dawne echa. Dawna i dzisiejsza poezya. „Książę Bismark jako mówca“ przez F. K. Kilka słów pro domo sua. Zrozumie, kto zechce.

Raz w wagonie miałem przykry sen, po którym jednak nastąpiło miłe przebudzenie, wracałem właśnie do kraju, ale śniło mi się, że od niego oddalał na długo. Marzyłem więc na temat: „Bywaj mi zdrowy, kraju kochany, już w mglistej nikt nieś pomroce“ i mówiłem sobie w duchu: już cię nie ujrzę więcej, Warszavo, ani twych urządzeń; już nie będę odbierał więcej uprzejmych wezwań o zgubioną

książeczkę legitymacyjną i „powiastek“ o niedopelnione meldunki, już nie będę więcej może nigdy w życiu widział judenhecy, już nie będę więcej oddychał świeżem powietrzem (we śnie się wszystko przeinacza) twoich ulic. Bądź zdrowa! Żal mi ścisnął serce! Już nie będę wskutek przesłanej mi przez kogoś tam prenumeraty chodził 1-o po świadectwo do rządu domu, że ja jestem ja, 2-o do cyrkułu po świadectwo, że rządca jest rządca, 3-o na pocztę, gdzie mimo dowodów, że ja jestem ja, rządca jest rządca, a komisarz jest komisarz, patrzano na mnie tak, jakby się namyślano, czy zamiast oddać mi prenumeratę nie lepiej będzie krzyknąć odrazu: łapaj! trzymaj!.. Inni nazwaliby to kłopotami, niedogodnościami... ja, wieczny optymista, przyzwyczaiłem się już do tego wszystkiego. Bądź co bądź to takie swoje! Niech tam gdzieindziej wymyślają sobie jakieś udogodnienia, my, Słowianie, lubimy stare zwyczaje; my mamy usposobienia sielankowe. Mamy wprawdzie jednocześnie trochę zawiele koniokradów, wypuszczanych dla braku świadków; mamy trochę od niejakiego czasu napadów nocnych, ale nie mamy za to szkół gminnych; małoletni Słowianie nasi, zamiast się dręczyć nad elementarzem, żyją sobie na łonie natury bez troski i bez spo... bez spożywania niezdrowych owoców pseudocywilizacji.

Gdzieindziej każdy czuwa chciwie, aby to, co jest jego, było naprawdę jego, a my mamy serwituty; u nas bliźni ma prawo pasać bydelko i owieczki na pastwisku drugiego bliźniego, słowem: „u nas inaczej, inaczej, inaczej!“ Gdym tedy we śnie pomyślał, że tego wszystkiego już nie ujrzę, ogarnął mnie żal i rozczulenie. Nagle pociąg się zatrzymał... otwieram oczy... gdzie jestem? do jakiego to kraju przyjechałem? Aha! otwierają się drzwi wagonu, pokazuje się jakaś twarz z wąsami i faworytami w półkole, a niski, basowy głos mówi:

— Pasport!...

Sen pierzchnął i począłem szukać paszportu z pośpiechem tak żywym, że radość moją mógłby ktoś obcy za strach poczytać.

Bądź co bądź jesteśmy jeszcze społeczeństwem idealnem. Gdy bowiem na zmateryalizowanym zachodzie do podróży wystarczają pieniądze, u nas potrzebne jest idealne czyste świadectwo moralności, lojalności i tożsamości. Ma ono przytem jeszcze te dobre strony, że się wymienia w niem stan i zajęcie podróżnika. Koniokradów, złodziei namnożyło się w ostatnich czasach tylu, że o ile, dla braku świadków lub dowodów nie siedzą w kozie, o tyle trudno odgadnąć, kto jest twym sąsiadem w wagonie. Jedynym sposobem przekonania się jest paszport. Gdy w nim wyczytasz: zaję-

cie: koniokrad! wtedy odrazu wiesz z kim masz do czynienia, choćby to był ktoś wypuszczony po raz dziesiąty dla braku dowodów.

Muszę też donieść czytelnikom, że obecnie i ci, którzy na lato wyjeżdżają na tak zwane letnie mieszkania, zobowiązani są zaopatrywać się w paszporty. Przedewszystkiem zmniejszy to liczbę wyjeżdżających, niejeden więc oszczędzi to, co byłby na letnie mieszkania wydał, powtóre zmniejszą się przesady, jakoby w Warszawie latem było takie powietrze, że oddychać niem nie można, po trzecie powiększy się zapotrzebowanie na papier, wiadomo zaś, że im gorzej stoi jakieś społeczeństwo, tem więcej spotrzebowywa papieru.

Inni twierdzą, że miarą cywilizacji jest ilość spotrzebowanego mydła. Falsz największy! Mydlić lada kto potrafi, ale pisać nie każdy, u nas zaś pisze się więcej, niż gdziekolwiek na świecie. Albowiem posłuchajcie. W Płockiem wiatr wywrócił dwa słupy graniczne, jeden od strony pruskiej, drugi od naszej. W Prusach postawiono następnego dnia inny i skończyło się. Z tej strony wzięto się do rzeczy daleko porządniej: poczęto pisać, pisać i pisać... Pisano przez rok; sprawdzono, że słupa niema, zbadano, że go przewrócił wiatr, zbadano dlaczego wiatr wiał na słup... upłynął rok, zaczął się drugi. Słupa wprawdzie dotąd niema, ale

papierni wyszło tyle, że na ten widok właściciele papierni wykonali z radości taniec dzikich,—ponieważ zaś konsumpcya papieru jest dowodem wyższości społecznej, zatem nieprzyjaciele Słowian mieli jeszcze dowód, żeśmy nie tacy owacy.

Spis jednodniowy nie jest dotąd ogłoszony, ale ukończony. Pisma humorystyczne przepełnione są epizodami z działalności delegatów. Podobno faktem jest, że młodsi i przystojniejsi delegaci zdołali zebrać daleko więcej i daleko dokładniejszych wiadomości. Przyjmowano ich i rozmawiano z nimi chętniej. Przypuszczają wszelako, że informacye, jakich im udzielały mieszkanki Warszawy o swoich latach, są stanowczo błędne. Ale podobno nie było sposobu wydobywania prawdy — i żadne zaklęcia nic nie pomagały.

Słyszałem także, że w niektórych moich kolegach budziło śmiech politowania następujące zestawienie rubryk: 1-o stan i zajęcie, 2-o czy umie pisać? Kto pod rubryką: zajęcie—napisał: literat—temu drugie pytanie wydawało się nonsensem, a jednak nie jest to tak głupie pytanie, jakby się mogło zdawać; nie chcę wszelako dłużej zatrzymywać się nad tym drażliwym przedmiotem, bo narobiłbym sobie nieprzyjaciół. Jeśli spis nie będzie tak dokładnym, jakby sobie należało życzyć, to z tej przyczyny, że jednak nieoświeconym klasom



ludności i żydkom nie można było wytłumaczyć, że nie idzie tu o podatki. Wiemy, że żydkowie np. ukrywali istnienie swych dzieci. Pewien delegat, przyszedłszy do mieszkania biednego izraelity, zadaje pytanie, ile osób w mieszkaniu? Odpowiadają mu trzy. Nazwiska? Icek, Siora i Ryfka. Niema nikogo więcej z osób? Niema. W tej chwili z drugiej izby daje się słyszeć płacz dziecka. A to co? pyta „delegat“.—To Lejbuś.—A cóżeście powiedzieli, że tylko trzy osoby?—Ny!—odpowiada stary Icek —co on za osobe! Pan rzadca to osobe, pan delegat—to osobe, pan rewirowy—to osobe,—a co za osobe Lejbuś?—on ma dwa lata. Napróżno następnie delegowany ofiarował w imieniu społeczeństwa Lejbusiowi tytuł osoby. Ojciec w imieniu syna odmawiał stale przyjęcia tego zaszczytu.

Loika nieoświeconych ludzi jest czasem dziwna. Pewna zgryźliwa staruszka mruczała na widok delegata: „po szpitalach nie przyjmują darmo, a spis to robią?“ Dobra staruszko! to rzecz inna, a to inna. Ale wprawdzie i nasi żydożercy rozumują w ten sposób; żydzi są bogaci i liczni —zatem zapędźmy ich do obozu naszych przyjaciół.

Po ostatniej judenhecy dużo mówiono o żydach, o potrzebie reformy chederów, o lichwie, o wyzyskiwaniu, o zagarnięciu przez żydów handlu i przemysłu i o środkach obro-

ny społecznej. Inaczej mówiąc: pisano wiele na wodzie. Środki prawodawcze nie od nas zależą,—wszystkie tedy reformy prawodawcze należą do sfery pobożnych tęsknot. Ale my i w praktyce, w sferze naszej możliwości nie umiemy się bronić. Oto np. mówią: żydzi zagarnęli handel. Chrześcijanin nie może z nimi współzawodnictwa wytrzymać. A czy przychodzi komu do głowy, że gdyby chrześcijanin dzień święty święcił tak, jak Żyd, to ten Żyd dwa dni w tygodniu musiałby trzymać sklep zamknięty: w sobotę, bo szabas, w niedzielę, bo niedziela. I wówczas chrześcijaninowi łatwiejby z nim było konkurować. Ale my na wsi i w mieście właśnie większość sprawunków robimy w niedzielę, w sklepach żydowskich. Robią zaś to tak samo ci, co rozprawiają o trudnej konkurencyi, jak i inni.

Takich pól praktycznych, na którychby można ograniczyć wyłączność żydowską, znalazłoby się może i więcej i zapewne lepiejby było odnajdywać je, niż czczemi słowami krzawić i podtrzymywać niechęć i nienawiść jednych przeciw drugim.

Ale to przedmiot, o którym już aż nadto pisano. Teraz na porządku dziennym jest tańcząca filantropia. Miasto nasze tak jest miłosierne, że co karnawał poci się na biednych, na niezamożnych, na wstydzących się zebrać, gotowe nawet tańczyć na wstydzących się

pracować. W dawnych czasach bywały także żywe obrazy na „Przytulisko“. Instytucya ta, o której cały rok było cicho, odmładza się w epoce widowisk, jak stara panna na karnawał, lub jak kwestya wschodnia na wiosnę. W ostatnich czasach przeszła przez rozmaite reformy, które jej wyszły podobno na zdrowie. W dniu, w którym to piszemy, jest wielki bal w resursie kupieckiej na niezamożnych studentów. Tańcząca filantropia umie, jak się pokazuje, być zarazem uczciwą i godną pochwały filantropią. Bal zapowiada się świetnie; gospodyń mnóstwo — macte animo!

Mówią także o mających się dokonać filantropijnych czynach bez pomocy nóg. Do tych należą: założenie domu dla czterystu szwaczek z mieszkaniami darmo i popieranie kas pożyczkowych. Ostatniem tem zadaniem mają się zająć pp. August Potocki, St. Skarżyński. Panowie ci zamierzili sobie doprowadzić kapitał kasy do 150,000 rb. I rzeczywiście, zmieniłyby się one wówczas niejako w banki rzemieślnicze z tanim kredytem i wyrwały raz na zawsze pracującą klasę ludności z rąk lichwiarzy.

To są dodatnie rubryki ostatnich rachunków. Karnawał zapewne ożywi się teraz niezmiernie, bo kto się wytańcował dla biednych, ten zechce potańcować i dla siebie. Ale, jak dawniej mówiono, że gdy Mars zaczyna

grzmieć, milkną muzy, tak dziś możnaby powiedzieć, gdy nogi w ruchu, głowa w spokoju. Post przyniesie zapewne na swych chudych ramionach całe serye odczytów i setki tomów nowych książek, dziś ruch umysłowy niewielki i wiązanka nowości mała. Biblioteka Warszawska wydrukowała w ostatnim numerze pośmiertny utwór Gustawa Zielińskiego, przesłany redakcyi przez syna zmarłego. Jest to fantazya p. t. „Pokusy“.—Jest w tym poemacie jakaś nuta rytmiczna, przypominająca Kirgiza, jakieś tchnienie od stepów, nad którymi lubił się duch zmarły unosić, jak „berkut“. Początek zaraz dźwięczy tą znajomą kirgiską nutą. Brzmi ona, jak następuje:

Pędzi jeździec przez stepy w noc ciemną,  
Jakaś żądzą trawiony tajemną —  
Czy ucieka, czy może w pogoni  
Za tabunem porwanych mu koni?...  
Czy go nuda w świat szeroki żenie?...  
Może miłość lub zemsty pragnienie?  
Myśl człowieka—to przepaść! Któż zga-  
[dnie,  
Jaki tam twór porusza się na dnie.

Noc stepową rozdziera światło meteoru. Przy jego blaskach jeździec spostrzega czterech innych, dążących ku sobie. Są to pokusy. Jedna z nich w postaci szkarłatnego rycerza mówi do jeźdźcy: „pójdź na wschód —

tam w odległym aule czeka cię najpiękniejsza  
dziewica wschodu; w jej objęciach zapomnisz  
o świecie całym. Drugi, złoty rycerz ofiaruje  
jeźdźcowi bogactwa. trzeci srebrny—władzę,  
czwarty:

.....ręką wskazał na pożary:

Tam walka—spór to dawny, jak świat  
[stary...

---

A nachylając się do jeźdźca ucha,  
Szepnął mu słowo—tym jednym wyrazem  
Tak rozpromienił młodzieńczego ducha,  
Że bez wahania wyrzekł: „jedźmy razem!“

Nie jest to najwyższy z utworów Zielińskiego. Zawiele w nim metafor: zwłaszcza trzy poprzednie postacie jeźdźców za mało rozumiały, i wogóle alegorya nie dość jasna. Ale jest w tej fantazyi wysoki polot. Jest to poezya, która wedle horacyuszowskiego wyrażenia lata jeszcze, „jak łabędź pod niebem“. Datuje ona z owych niedawnych jeszcze czasów, kiedy poeci nie wahali się kłaść palców na olbrzymie harfy i wyśpiewywać wielkich uczuć. Dziś się czasy zmieniły. Poezya, idąc w ślad za całą sztuką, zaczyna lubić „genre“. Będziemy może mieć wielkich poetów w tym rodzaju, ale rodzaj pozostanie mały. Dlatego mimo słabszych stron „Pokus“, które tej fantazyi nie po-

zwalają stanąć obok Kirgiza, oddycha się nie mi szeroko, jak oddycha się powietrzem stepowem, słyszy się w nich echo dawnych wielkich czasów,—echo tem cenniejsze, że zagrobowe, i że płynące z piersi, która umilkła na długo przed skonem.

W tymże numerze Biblioteki godny jest uwagi artykuł przez F. K. zatytułowany: „Książę Bismark jako mówca“.—Autor przechodzi szereg walk parlamentowych z czasów kulturkampfu i przytacza większość mów żelaznego człowieka. Gdy się czyta te mowy, zdaje się, tkwi w nich nie tylko gniew rozdrażnionego lwa, ale i najgłębsze przekonanie. Czytelnik przysiągłby, jak gotowi byli zapewne przysięgać i ówczesni słuchacze parlamentowi, że żelazny człowiek nie pójdzie do Kanossy. A jednak książę pójdzie, jeśli tego będzie potrzeba i znowu patrząc z pod krzaczastych brwi w oczy parlamentowi, powie:

Jeśli myślicie, że dla doktryny, dla teorii poświęcę praktykę, to jesteście... Tu wiadomo, jak zakończy książę, ale wiadomo, że bywa on w parlamencie nie parlamentarny i że teorią jego jest nie mieć teorii. Artykuł jest ciekawy, bo dobrze maluje tego gwałtownego praktyka w polityce. Przytem: takich ludzi można nienawidzić, lecz zastanawiać się nad nimi warto. Artykuł nie jest jeszcze skōń-

czony, czekamy zatem z ciekawością, co Fr. K. powie nam więcej w dalszych numerach.

Zakończylibyśmy na tem wzmiankę o numerze ostatnim, gdyby nie zawarte w nim sprawozdanie o „Słowie“. „Biblioteka“ jest dla nas prawdziwie „rara avis“, wita nas bowiem z przychylnością, zachętą i uznaniem. Inni niezbyt nas do tego przyzwyczaili, dlatego zaczęliśmy coraz więcej przywiązywać wiary do ła-cińskiego wyrażenia: „h o m o h o m i n i l u p u s“ i dlatego wdzięczni jesteśmy naprawdę „Bibliotece“ za jej pochwały i przychylność. Pi-sze jednak „Biblioteka“, że uznanie jej byłoby jeszcze zupełniejsze, gdyby nie zastrzeżenie w pierwszym numerze „Słowa“, które brzmi jak następuje: „Nie będziemy organem żadnej koteryi, ani nieupoważnionych przez ogół partyi“. Co do tego, nie mamy zamiaru być organem koteryi—no! tego nam nikt za złe wziąć nie może. Co do „nieupoważnionych przez ogół partyi“, winniśmy wyjaśnienie. Zgadza-my się zupełnie z szanownem pismem, że żaden o dobro kraju dbały publicysta krępować się nie może ideą jakiegoś specjalnego upo-ważnienia czyli mandatu. Zapewniamy również wszystkich, że gdy przyjdzie zabrać głos w jakiej sprawie społecznej, zabierzemy go tak, jak zabraliśmy z powodu ostatnich wypadków, a zatem bez zwoływania poprzednio plebiscy-

tu i pytania go, czy nam mówić pozwoli. Wyrażenie nasze o nieupoważnionych przez ogół partyach może dlatego wzbudziło nieporozumienie, że nie było dokładnie zredagowane, ale zredagowaniem dokładniej być nie mogło. Są jednakże pewne ideały, na których straż stoi cały ogół, które są naszym zdrowiem, naszym życiem, i które odczuwa każde serce. Są ideały tak proste, a zarazem tak wielkie, że odszczepieństwo względem nich ogół potępiłby z całą siłą i bez chwili wahania. Owoż pragnęliśmy tylko zapewnić, że od tych ideałów w piśmie naszym nie odstępimy i razem z „Biblioteką”—i razem z całą prasą będziemy ich strzegli. Sądziliśmy też, i podobno nie omyliliśmy się, że tak właśnie zrozumiał nas ogół naszych czytelników. Trzeba się koniecznie rozumieć, by nawet w dobrej wierze nie robić sobie niesłusznych zarzutów. Naturalnie, że kto chce działać, kto chce pracować dla dobra publicznego, ten nie potrzebuje od nikogo mandatu, raz dlatego, że każdy ma prawo postępować, jak mu sumienie i obywatelska powinność nakazuje, powtóre, że ogół nie ma prawa upoważniać. Nie należało tedy brać słów naszych o „nieupoważnionych partyach“ literalnie i jesteśmy przekonani, że odtąd „Biblioteka“ tak ich nie weźmie. Ale czy inni nie wezmą—kwestya! Bywają ludzie albo naprawdę głusi, albo



tacy, którzy nie chcą słyszeć, gdy im dogodniej. Na szczęście tylko, że prawda ma własność oliwy i wychodzi na wierzch sama przez się. A wtedy nie widać już infuzoryi, które się na dnie w łyżce wody kręcą.

*Słowo.* R. 1882 №. 34.

---

## Kronika tygodniowa.

### IX.

Treść: Prośba do potomności z powodu pp. Głaba i Cyrata. Historya pewnego lekarza, pewnego pacyenta i niezapłaconego honorarium. Nierozsądne pytania. Znikomość. Cnota. Filantrop i samowar. Kronika kradzieży. Wystawa w Amsterdamie i co możemy na nią wysłać, a czego wysłać nie możemy. Hollendrzy i my. Pedagogzy. Jednomyślność gmin. Co im nie smakuje. Ochrony i moralność ludu. Gazeta Świąteczna, wiersz w G. Świątecznej. p. Kowerska i p. Konopnicka. O poezyi w ogólności a p. Konopnickiej w szczególności.

W ostatnich czasach grano, jak wiadomo, w teatrze „Niewinnych“, a jednocześnie rozgrywał się w sądzie dramat pod tymże samym tytułem, gdyż panów Głaba i Cyrata, parobków księdza Mirowskiego, posądzonych o zabójstwo rzeczzonego plebana, uznano również za „Niewinnych“. Od pewnego czasu liczba „niewinnych“ tak się u nas mnoży, że postanowiłem umocować przy swoim łóżku żelaza na wilki i mam do społeczeństwa następującą proś-

bę: jeśli pewnego poranku nie obudzę się dla braku głowy, a złapany pan w żelaza, jaki p. Głab lub Cyrat, uznany zostanie dla braku dowodów za niewinnego, niechże przynajmniej odpowiada „za nieostrożne obchodzenie się z bronią“ i niech zaświadczy, że nie popełniłem samobójstwa z próżności. Życzyłbym sobie także, jeśli można, aby nie obierano go kuratorem pozostałej po mnie „massy“, bo, jakkolwiek nie mam nadziei doczekania się bezpośrednich spadkobierców, woleę, aby stała się raczej własnością ogółu, niż jego. Następnie życzyłbym sobie także, aby onego pana skazano na poniesienie kosztów pogrzebu i doktora, który będzie użyty do opatrywania zwłok moich. Czynię to z tego powodu, że niedawno zdarzył się następujący wypadek. Pewien pacjent, dosyć zresztą zamożny, umarł, jak się to zdarza wielu pacjentom, nie zdążywszy napisać testamentu. Ponieważ zabezpieczono natychmiast jego fundusze, przeto pozostały w nieutulonym żalu lekarz udał się do kogo należy, aby ten ktoś z pozostałych funduszków zapłacił mu honorarium. Ktoś oświadczył, że tego uczynić nie ma prawa, bo obowiązek ten należy do sukcesorów. Zdarzyło się, że sukcesorów nie było. Kto ma tedy zapłacić honorarium? Zapytany o to ktoś, nie wiedział, a doktor nie wie dołą, kto mu zapłaci, pozwala tylko sobie i in-

nym domyślać się, że nikt mu nie zapłaci; jakkolwiek chodził, leczył i dopomagał naturze, a nawet dopomógł jej, gdyż pacjent umarł.

W innych mniej więcej ucywilizowanych społeczeństwach są podobno odnośne przepisy i zwyczaje, że w podobnych wypadkach doktor, aptekarz i t. p. pierwsze mają prawa. U nas, jak widzimy, jest przeciwnie, i synom eskulapa nader podobno często przepadają należności, zwłaszcza zaś wówczas, gdy fundusze w braku sukcesorów bywają ubezpieczone zwykłą w podobnych razach drogą. Widzimy z tego jasno, jak na dłoni, że fundusze bywają u nas najlepiej ubezpieczone, bo tak dobrze, że już nikt do nich dobrać się nie może.

W Warszawie jest mnóstwo ludzi, których celem zajęciem bywa odgadywanie zagadek. Pożytku stąd żadnego, a głowa się napróżno moli. Są np. teraz tacy, którzy łamią sobie głowy, kto zwróci fundusze, zmarnowane przez sędziego Koniego. Wiadomo, że iudex ów stracił dwadzieścia kilka tysięcy z powierzonych mu pieniędzy depozytowych. Kto je tedy wróci? Pytanie to przypomina mi inne. Gdzie się wróble podzieją, jak się stodoła spali?—Cóż to kogo może obchodzić? Rozum zda się według mego zdania na to, by nie odpowiadać na głupie pytania. Właściwie mówiąc, jest to rzecz tych, którzy pieniądze stracili. Powinni oni po-

znać się z owym doktorem, któremu nie zapłacono honorarium, i oddać się rozmyślaniom o znikomościach rzeczy ludzkich.

Wszystko bowiem na świecie jest znikome. Sama tylko niewinność tryumfuje, „czego dowodem są pp. Głęb i Cyrat et comp. i wiele innych niewinności, uwolnionych dla braku świadków i dowodów. Od czasu, jak oszustwa i złodziejstwa spospolicziały, cnota poczyna iść w cenę i wkrótce będzie należała do najpewniejszych interesów. To też coraz więcej spotykamy poświęceń i objawów dbałości o dobro bliźnich. Pewien samowar wydawał z siebie czad, więc wyniesiono go na schody. Przechodzący filantrop zwietrzył czad i obawiając się, by kto nie zaczadził, z dbałości o dobro ludzkie wziął samowar, poszedł i... więcej nie wrócił. Skromność, właściwa wielkim sercom, nakazała mu się ukryć tak dobrze, że nikt dotąd nie zdołał odnaleźć... samowara. Skradziono również około trzech tysięcy rubli jakiejś damie, mieszkającej na Nowym Świecie. Dodawszy do tego operacye prowincjonalne amatorów koni i bydła, dochodzimy do przekonania, że na przyszłą wystawę amsterdamską będziemy mogli wysłać specimeny, jakich cała Europa nie posiada. Właśnie ogłoszenie konsula o tej wystawie czytaliśmy we wczorajszych dziennikach. Odezwa wzywa mieszkańców, by wysłali na wystawę przedstawicieli w liczbie odpowied-

niej bogatym siłom produkcyjnym kraju. Wystawa zaś zawierać będzie:

- 1) produkta kolonialne,
- 2) przedmioty ogólnego wywozu,
- 3) dzieła sztuk i starożytności.

Co do produktów kolonialnych, wiemy, że cukier podrożał, a zresztą widujemy je przez szyby sklepowe; przedmiotem ogólnego wywozu są z naszego miasta zdechłe konie doróżkarskie i błoto, o ile pan Apfelbaum nie czeka, by mu je deszcz spłukał z ulic bez pomocy wozów, koni i ludzi, gdyż o furmanki teraz trudno. Czasy ogólnego wywozu miały wprawdzie u nas miejsce przed laty kilkudziesięciu, obecnie jednak większość wywiezionych wróciła. Starożytności nasze mało mają związku ze sztukami pięknymi, posiadamy tylko archeologiczne urządzenia pod względem 1-o komunikacyi, 2-o pod względem urządzeń miejskich, 3-o pod względem zdrowia publicznego. Na drogach naszych są takie wyboje, a w mieście takie bruki, że w Holandyi mogłyby zrobić furorę. Posiadamy mosty, jakich żaden kraj w świecie nie posiada, bo „takie co ich niema“. Posiadamy kanały w mieście, takie, jak i Amsterdam, bo ulice nasze bardzo często stoją pod wodą. Mamy także szpital Dzieciątka Jezus, za którego murem słyhać w nocy wrzask waryatek, a z którego we dnie i w

nocy wychodzą wyziewy, jakich żaden nos holenderski nigdy nie wachał. Szkoda tylko, że wszystko to nie bardzo daje się wywieźć, bo przekonalibyśmy z pewnością Holendrów, że jeśli nie bawimy się w jakieś ulepszenia, cywilizacye i t. p., to natomiast jesteśmy w prostocie naszej słowiańskiej krajem oryginalnym i cieszącym się pomyślnością. Moglibyśmy także Holendrom posłać takich frantów, że dosyć na którego spojrzeć, żeby się złapać za kieszeń. Wy, Holendrzy, zarazbyście takiego wsadzili do kozy, a widzicie! A u nas chodzi sobie spokojnie dla braku dowodów i dlatego, że my jesteśmy społeczeństwem bardziej od was humanitarnem.

Spółeczeństwo holenderskie jest istotnie mniej od naszego pod wieloma względami rozwinięte. Nie mają oni w miastach tych wszystkich dogodności, o których mówiłem wyżej, po wsiach nie mają serwitutów, pisarzy gminnych, a i takich pedagogów elementarnych, jak nasi. Ich pedagodzy są to ludzie pozytywni, nasi przeważnie spirytualiści, co dowodzi wysoce idealnego nastroju ich dusz.

O tamtych niewiadamo, czy kochają lud, że zaś nasi kochają, dowodem wszystkie Kaški i Maryški wiejskie oraz zwiększająca się liczba uczniów, których matki pewniejsze są od ojców. Nakoniec jest dowód, że kochają i oświatę, bo właśnie słyshałem, że świeżo zginę-

ła w jednym domu beczułka oleju, którą znaleziono w szkole...

Zadziwiającą też jest jednomyślność naszych gmin w sprawach, dotyczących oświaty. Kto słyszał, jak gmina, zapytana, czy chce płacić za szkołę, odpowiada bez wahania, bez namysłu: „nie chcęwa!“ ten przyzna, że w dziejach parlamentarnych nigdy nie słyszano o tak imponującej zgodzie. Ale bo też jest tak: istnieje potrawa—istnieje i sos, od którego często smak zależy. Istnieje prawo, istnieją komentarze. Gminom właśnie nie smakuje sos.

Bo zresztą nie posądzajcie naszych gmin o niechęć do nauki. Niedawno wspominał nasz korespondent z Podlasia, że niejednen z tych, co najgorliwiej głosują przeciw szkole, szuka z trudem i płaci z wysileniem nauczyciela dla swego dziecka. Dość wreszcie pomyśleć, w jak ogromnych ilościach rozchodzą się elementarze, żeby się przekonać, iż popęd do nauki wzrasta z każdym rokiem. Popęd ten wydałby z pewnością jak najlepsze owoce, gdyby nie sos, to jest gdyby regulowała go szkoła, mająca jedynie oświatę na celu. Ale my nie tylko mosty, lecz i szkoły mamy takie, „co to ich niema“.

Nie mogąc jednak zająć się sprawą oświaty, tembardziej powinniśmy zająć się sprawą moralności ludu. Twierdzą podobno niebezsadnie, że moralność ludu zmniejsza się. Młode



pokolenie nie odbiera żadnego wychowania. Na dwadzieścia tysięcy wsi istnieje 2,000 szkół na papierze, większość dzieci rośnie tedy na łonie natury, wśród nieustających zamachów na cudzy groch, cudze ogrody i cudzą rzepeę. Zapobiedz temu próżniactwu i zdziczeniu mogą tylko ochrony, które jeśli nie dają nauki, czytania i pisania, to przynajmniej czuwać mogą nad moralnością. Dlatego jakkolwiek wiemy, z iloma trudnościami mają do walczenia ochrony, należy je zakładać i popierać wszelkimi siłami i nie zrażać się niczem. Prawda, że domek z kart przewraca się, gdy kto dmuchnie, ale od czego wytrwałość. Ochrony mogą naprawdę jedynie ochronić moralność przyszłych pokoleń, czego sobie i wam życzę.

Życzę także wszystkim prenumerować Gazetę Świąteczną. Nigdy nie zdarzyło mi się pisać komuś pochwały z lepszym sercem, jak temu dzielnemu i uczciwemu pismu. Kuryer Warszawski w sobotnim numerze przedrukował z tejże Gazety Świątecznej śliczny wiersz p. Konopnickiej p. t. „Nie sprzedam ci ziemi“. Ponieważ nie wszyscy prawdopodobnie czytelnicy nasi trzymają Gazetę Świąteczną, pozwalamy tu sobie powtórzyć kilka ustępów owego wiersza. Brzmia one, jak następuje:

#### I.

Chodziły tu Niemce,  
Chodziły odmieńce:

„Sprzedaj, chłopie, rolę,  
Będziesz miał czerwienie“.

Zapłacimy chatę,  
Zapłacimy rolę,  
Będziesz miał talarów  
Na caluśkim stole.

— A mój Niemcze miły  
Idźże, kędy raczysz,  
Ale mojej roli  
Równo nie obaczysz!

Schowaj se czerwienie  
I białe talary!  
Kto sprzedaje ziemię,  
Ten nie naszej wiary.

Bogatyś ty, Niemcze,  
I kraj twój chędogi;  
Ale na tę ziemię  
Jeszcześ za ubogi.

## II.

Pójdą twe talary  
Za rolę za ploty,  
A kto mi zapłaci  
Za miesięczek złoty?

A kto mi zapłaci  
Za tę jasność bożą,  
Co w moje okienko  
Idzie z każdą zorzą.

Za ten dach słomiany,  
Co mi głowy strzeże,  
Za ten dzwon, co woła  
Rankiem na pacierze?

.....  
A kto mi zapłaci  
Za te jasne rosy,

Co się srebrem sypią  
Na łąki na wrzosa.

Za cmentarz rozkwitły  
W głóg dziki, jak sady  
Gdzie leżą w mogiłach  
Ojcowie i dziady?

### III.

A toćże i mnie tam  
Gospody potrzeba,  
Gdy Pan Bóg zawoła  
„Chodź, chłopie, do nieba“.

A toćby mi dzieci  
Po nocach tęskniły,  
Nie wiedząc gdzie szukać  
Ojcowskiej mogiły i t. d.

A propos gospód—podobno dobrze się one rozwijają tam, gdzie ich nie zwijają. Podobno byłby to jeden z najlepszych środków zapobieżenia pijaństwu. Nie wiemy tylko, czy komisya obradująca nad pijaństwem wzmocniła ich podstawę, w wielu bowiem miejscach zależą od dobrego humoru, który zawsze wtedy bywa złym, kiedy nie jest dobrym. Wróćmy jednak do p. Konopnickiej. Utalentowanej tej autorce powiedziała niedawno verba veritatis pani Kowerska w Gazecie Polskiej—za co znowu pani Kowerskiej uczyniono kilka wymówek w Prawdzie. Według naszego zdania, pani Kowerska miała z wielu względów słuszość. Ko-

nopnicka posiada niepospolity talent poetycki; kiedy pisze o rzeczach wiejskich, umie mówić tak, że często zdaje się, że się słyszy fujarki i ligawki, ale również często fujarki i ligawki te grają na nieprawdziwą nutę. P. Konopnicka gwoli sentymentowi i antytezom poetycznym tworzy sztuczny świat chłopski, pełen nieszczęść, niedoli i ucisku — w przeciwieństwie do dworów. Owóż te czasy minęły, tego niema i być nie może. Dwory mogą co najwięcej grzeszyć obojętnością na sprawy gminne i zamknięciem się w sobie i swojej sferze interesów; ale niczem więcej, a i pod tym względem nastął zwrot ku lepszemu, gdyż większość sędziów i znaczna część wójtów składa się właśnie z przedstawicieli dworów. Że zaś na tych urzędach nie sypia się na różach, o tem wie każdy, kto się tego dotknął, sędzia ma bowiem nad sobą zjazd i prezesa, a wójt—naczelnika powiatu. Poezyi wprawdzie wolno przynajmniej tyle, ile naczelnikom powiatów, a poetkom tyle, ile poezyi, jednakże w interesie artyzmu leży, by, jeśli poezya mówi o stosunkach rzeczywistych, znać było pod słowami prawdę. Dodaje to samym utworom siły i życia, w przeciwnym zaś razie z pod szumu słów przegląda nicość. Zdanie to możemy tem śmieiej wypowiedzieć, że uznajemy talent Konopnickiej i uznaliśmy go jedni z pierwszych, za co w

pismach, najgorliwiej dziś stojących w jej obronie, niezczędzono nam w swoim czasie wymówek, również jak talentowi p. Konopnickiej przymówek.

*Słowo.* R. 1882. № 40.

---

Odczyt na dochód Osad rolnych. Wczoraj prof. Stanisław Tarnowski miał w sali ratuszowej odczyt „O dalszym rozwoju poezji romantycznej polskiej“. Ponieważ obszerniejsze sprawozdanie odkładamy do rubryki „mieszanin artystycznych i literackich“, obecnie zatem poprzestajemy na wzmiance, że profesor krakowski mówił, jak zwykle, w sali, przepelnionej publicznością. Następny odczyt odbędzie się w piątek, to jest jutro, o godzinie piątej po południu.

*Słowo.* R. 1882. № 43.

---

## Kronika tygodniowa.

### X.

List pana Z. G. do prawników. Łamigłówka. Milczenie. Pocięcha filozoficzna i sposoby używane prywatnie. Smutne żarty. Tragikomedia w Miechowie. Wójt i sąd. Spór o kancelaryę. Pojedyncze akta tragikomedyi. Uroczyste wystąpienie. Skutki wymowy. Ustąpienie. Posepna karawana. Koniec legendy. Obiad składkowy. Ilość jarmarków. Zagadki. Ptaki przelotne. Modrzejewska. Szole Rogoziński. Pożegnálny odczyt. Wrażenia. Julian Brun. Mój sekretarz. Pobłażliwość czytelników. Co było ciekawego w „Niwie“. Dziwne zestawienia p. Kasznicy. „Słowo“ i oportunizm. „Niwa“ i oportunizm. Nasze przekonania. Wyjaśniona sprawa, w czem „Niwa“ czyni krzywdę panie Czaki. Sława Merkucya. Poważniejsze zadania. Ideał dziennika. Zdanie, na które mogą się zgodzić zachowawcy i postępowcy.

Pan Z. G. zamieszcza w jednym z pism tutejszych list następujący:

„Zapytanie do panów prawników. Ponieważ nieraz ostrzegany byłem przez sąd gminny, że podług prawa niewolno jest brać żadnego fantu od szkodnika lub złodzieja, czyli że np. kradnącemu drzewo w lesie nie mo-

zna zafantować jego siekiery, pasącemu bydłę w cudzem zbożu nie można tem samem przytrzymać jego bydłęcia, ładującemu cudze zboże na wóz nie można zafantować tymczasowo wozu,—zapytuję zatem panów prawników, których dobro społeczne i egzystencya rolnictwa obchodzi: Jak postępować w wypadkach najczęściej się zdarzających, gdy leśnik napotka w boru złodzieja, ścinającego drzewo, a nieznanego mu z nazwiska, lub polowy dostrzega nieznanego człowieka, zbierającego w polu skoszoną koniczynę, siano lub zboże. Co winien uczynić rolnik, gdy widzi obcego człowieka, pasącego bydłę w jego pszenicy lub łące, albo zabierającego bez ceremonii żerdzie zplotu? O świadkach mowy być nie może, gdyż rzecz dzieje się zawsze na odosobnieniu, w polach, łąkach, lasach, a nie na wsi czy w mieście, gdzie łatwo o takowych, i mowa tu o rolnikach, których pół miliona w Królestwie nie posiada pilnowaczów i czeladzi, mowa o folwarkach, gdzie zwykle strzeże od szkody jeden polowy i leśnik; zabrać tymczasowo fantu, co doprowadziłoby do wyjawienia nazwiska, nie mają prawa? Kwestya, którą poruszyłem, posiada niepospolitą doniosłość, bo od niej zależy prawie możliwość lub niemożliwość postępu rolniczego i rozwoju kultury, czyli materyalna i duchowa przyszłość kraju. Odwołujemy się przeto do panów pra-



wników z prośbą o radę i odpowiedź: co zrobić ze spotkanym, a nieznanym złodziejem lub szkodnikiem w lesie lub polu? w jaki sposób otrzymać wynagrodzenie zrządzonej przez niego szkody? Wszak w kraju, którego podstawę bytu stanowi rolnictwo, muszą być prawa, zastosowane do rolników“.

Na tem kończy p. Z. G. Zadał on prawnikom łamigłówkę nielada, to też, o ile wiemy, żaden z nich nie dał odpowiedzi. Orzech to twardy do zgryzienia, bo istotnie, co zrobić z nieznanym złodziejem, jeśli nie można zatrzymać jego siekiery, wozu lub bydłęcia? Czy przedstawić mu się, czekając, by z kolei wymienił własne nazwisko? czy prosić go na obiad i między pieczeniem a deserem spytać: kogo mam przyjemność mieć u siebie? czy przemawiać do jego uczuć słowiańskich, czy nakoniec nosić ze sobą przenośny aparat fotograficzny—i fotografować na poczekaniu? Ten ostatni sposób zapewniłby niewątpliwie fizyognomiami pełnymi wyrazu albumy szlacheckie, ale prawdopodobnie okazałby się nie dość skutecznym, jako ochrona lasów, zbóż i płotów. Wszystkie zresztą pożywne środki nie mają nic wspólnego ze sferą prawniczą, widocznie zaś osobiste sposoby nie wystarczają, skoro pan Z. G., pukając do podwoi prawa, mówi: „U drzwi twoich stoję, panie—czekam na twe zmiłowanie“. Ciekawiśmy tylko, jak długo będzie

p. Z. G. czekał na odpowiedź i radę skuteczną—i czy zanim ją dostanie, nie porozbie-  
rają mu płotów, nie wytną drzewa, nie spasa-  
koniczyny. Utinam sim falsus vates! —  
bo dotychczas prawnicy milczą, choć wogóle  
lubią mówić. Nam się wydaje, że, jak niegdyś  
„miasto zostawiono miastu“, tak obecnie gmina  
fara da se... Z naszej strony moglibyśmy u-  
dzielić i pytającemu i innym poszkodowanym  
pociechy tylko filozoficznej, to jest polecić im  
rozmyślanie nad znikomością rzeczy docze-  
snych. Na szczęście jednak odebraliśmy pe-  
wien list z Lubartowskiego, który nam ukazu-  
je skuteczne sposoby w świetle właściwym.  
Co to jest wójt? Ktoś odpowiedział dawno, że  
jest to dodatek do łańcucha i medalu, czyli  
istota bierna. A co to jest istota bier-  
na? Autor listu odpowiada: jest to isto-  
ta, która bierze. Jeżeli złodzieje po cudzych,  
mokrych łąkach przechodzą suchą nogą, to za-  
pewne dlatego, że umieją posmarować wiejską  
władzę wykonawczą, a wiejska władza wy-  
konawcza smaruje im buty. W ten sposób ręka  
rękę myje, noga nogę wspiera. Czy więc nie  
nie mogliby z jednej strony szkodnicy, a z  
drugiej poszkodowani urządzić małej licytacji  
in plus na względy wójtowskie. Ktoby kogo  
przelicytował, tenby względów używał. Wów-  
czas także niektóre urzędy stałyby się prawdzi-  
wie obywatelskie, bo opłacaliby je obywatele.

Mają jednak te żarty smutną stronę, bo zaiste na pytanie p. Z. G. niema odpowiedzi. Między sędziami gminnymi są ludzie oświeceni, pełniący ciężkie obowiązki z wytrwałością godną tak ważnej sprawy, ale pytam, co zrobi najlepszy i najsprawiedliwszy sędzia, jeśli ktoś, przyszedłszy do niego, powie mu: Sędzio! Oto pewien człowiek kradł mi drzewo w lesie, nie znam go i siekiery mu zabrać nie mogłem, nie wiem także, jak się nazywa,—domyślam się tylko, że musi to być Słowianin, ze wsi, leżącej na prawo, ale może i na lewo, albo może i z miasta! Prawdopodobnie wówczas on sprawiedliwy sędzia odpowie, że skarga taka nie jest z tego świata, gdyż złodziej jest idealny, a poszkodowany pójdzie do domu nietylko bez satysfakcyi, ale jeszcze z sęką w głowie: jak idealny złodziej mógł kraść realnie... Tak to łączą się ze sobą niepodobieństwa, a w gminach dzieją się rzeczy, o których naprawdę nie śniło się filozofom.

Zresztą i sądy gminne nie sypiają na różach. Za dowód niech posłuży ten sam list z Lubartowskiego. Tragikomedia rozpoczyna się w sposób następujący: „Sąd gminny 2-go okręgu, pow. Lubartowskiego, mając do rozpatrzenia kilkadziesiąt spraw z gmin Chuda Wola, Rudno, Wielkie i innych sąsiednich wsi, nie chcąc dla złej drogi ściągnąć kilkuset ludzi do swej rezydencyi, na mocy służącego mu prawa

postanowił odbyć parę posiedzeń w Michowie, jako mniej więcej środkowym punkcie wspomnianych gmin. Ponieważ jednak na kilkanaście godzin trudno byłoby wynaleźć mieszkania, a w Michowie jest duży dom, będący własnością gminy Chuda Wola, w której mieści się wójtowska kancelarya, sąd więc postanowił odbyć posiedzenia w tym właśnie domu i zawiadomił o tem wójta“. Tak odbył się prolog. W akcie pierwszym oznaczają tedy termin spraw, wzywają strony, skarżących, poszkodowanych, obwinionych, świadków, biegłych, wydają polecenie, by policya dostawiła oskarżonych o kradzież i szkody — słowem: przygotowują wszystko, co jest potrzebne do odbycia posiedzeń w Michowie. Tymczasem cóż się dzieje? Oto wójt zawiadamia, że „pan naczelnik“ nie pozwala mu udzielić kancelaryi na posiedzenie sądu. Zapytany naczelnik odpowiada, że o niczem nie słyszał i że nie ma nic przeciw temu. Sąd tryumfuje. Na tem kończy się akt pierwszy.

Akt II. Przygotowania. W wigilię spraw zjeżdża do Michowa sekretarz sądu, z woźnym, ze stróżem i z „całą bryką utensylii sądowych“, „a więc — pisze autor listu — przywieziono ukaz Piotra W. (zieniecha), ustawy sądowe, kodeksy, akta spraw, druki i t. p., skończywszy na zielonem suknie i dzwonku. Na drugim wozie mieściły się skradzione przed-

mioty, jako *corpus delicti* do spraw; przybyli też i ludzie z dalszych stron i oskarżeni pod konwojem. Widok wspaniały i nauczający. Nazajutrz (28-go lutego) przybywa sąd, zbierają się gromady ludzi, sprawiedliwi się cieszą, niesprawiedliwi drżą—dzwonek się odzywa, posiedzenie rozpoczęte, gdy nagle...

Nagle rozpoczyna się akt III. Drzwi otwierają się narozcież i do sali wkracza wójt na czele ciała prawodawczego Chudej Woli. Kronika milczy, czy w tej chwili za oknem ozwała się posepna fanfara na nutę: „ach, wybiła godzina!“—ale choćby się taka muzyka ozwała, musiałaby zapewne umilknąć, gdyż wójt zaczął do sądu świetną i pełną godności przemowę od słów: „Pocošta się tu przywlekli!“

Następnie w kilkunastu okresach, nie pozostawiających pod względem stylu nic do życzenia, wójt wytłumaczył sądowi, że w Michowie jest jarmark, że zatem kancelarya będzie potrzebna, i zakończył praktyczną uwagą, że wprawdzie nie może odstąpić kancelarii michowskiej, ale natomiast posiedzenie może pójść... do kaduka.

Wiemy, co to jest prawdziwa wymowa, zwłaszcza przy dodatku i innych argumentów, łatwo zatem zgadniemy, co się stało... Oto tegoż samego dnia widziano na drodze, prowadzącej z Michowa w inne strony Europy, długą karawanę, opuszczającą niewdzięczne miasto. Jeżdż-

cy mieli głowy pospuszczane... Nie potrzebuje objaśniać, że byli to: sędzia, pisarz, woźny, stróż, oskarżyciele, świadkowie, utensylia etc.

Co się z nimi stało dalej, nie wiem. Starosłowiańskim obyczajem złożonoby może roki pod cieniem jakiego olbrzymiego dębu, gdyby nie to, że dębów niema, bo je posprzedawali Żydzi, a choćby dęby były, to w zimie nie dają cienia....

W Michowie za to wspaniała radość. Jarmark trwał. Dokonywano poważnych obrotów handlowych, bito się w łapy przy układach, przytem, że użyję stylu handlowego: tendencya zwłaszcza w kierunku okowity była nader mocna. Legenda mówi jeszcze, że oskarżeni, których większość spodziewała się pójść do kozy, a których odjazd sądu uwolnił od kłopotów, wydali sobie obiad składkowy, na którym spełniano liczne toasty na cześć wójta i miejscowego parlamentu.

Koniec. Należy to już nie do bajek, ale do faktów, że Michów ma dwadzieścia sześć jarmarków rocznie. Dlaczego jednak ma dwadzieścia sześć jarmarków, skoro ma pozwolenie na sześć, to znowu jest zagadką, podobną do tej, jaką zadał prawnikom pan Z. G... Ale, zaiste, w naszym poczciwym świecie tyle jest zagadek, tyle rozmaitych: dlaczego? że „ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić“.... Dalej wiecie.

Trzeba nam teraz pozostawić „gminę gminie“ i od tych spraw wiejskich wrócić na grunt warszawski. Chcę mówić o ptakach przelotnych. Najpotężniejszy z tych ptaków—Modrzejewska—bawi jeszcze w Warszawie, ale małowczko, a nie ujrzymy jej. Z pod naszego nieba, które od pewnego czasu dziwnie jest pogodne, ulatuje ten ptak we mgły londyńskie, a potem otrząśnie świetne pióra na pociechę Amerykanów aż za oceanem. Drugi ptak—Szolc-Rogosiński—odleciał już z Warszawy i wkrótce poszybuje do Afryki, szukać jezior i... sławy. Bodaj nie znalazł nic innego... W piątek odbył się jego pożegnalny odczyt, który wkrótce czytelnicy nasi znajdą w Słowie. Odczyt zaczyna się od geografii, przechodzi do wspomnień podróźniczych, a kończy się serdecznem: bądźcie zdrowi i pamiętajcie!... Młodego podróźnika, gdy to mówił, wzruszenie ścisnęło za gardło, głos mu drżał... Może za parę miesięcy, wśród jakiejś bezsennej nocy w lasach afrykańskich przypomni mu się ta sala zalana światłem i te zasłuchane spokojne twarze, które wydadzą mu się kochane bardzo. Żegnano go, wołając: do widzenia! do widzenia!... Trochę go było żal, może gdzie spadła jaka cicha łza, może pod niejednym kapelusikiem przesunęła się myśl, że są inne nie tak odległe kraje, których prelegent nie widział—kraje hymenu, gdzie niema ani lasów, ani lampartów, ale co najwięcej małeńie boba, które nie kasaają, bo nie mają ząbków... dziwny

ten jednak człowiek woli widać zęby lamparcie. De gustibus non est disputandum. Przykładem tego p. Julian Brun, który wczoraj miał francuski odczyt o Wiktorze Hugo. Pan Brun nosi grzywkę, jest sekretarzem Mario Ucharda i ładnie deklamuje, twierdzi zaś, że niezbyt podoba się mężczyznom, ale natomiast miewał „sukcesy“ między kobietami. Nie myślimy temu przeczyć, bo przychodzi nam do głowy co innego. Oto czy Mario Uchard jest ślepy, czy też literaci francuscy są tak szczęśliwi, że mogą mieć swoich sekretarzy. Co do mnie, mam wprawdzie sekretarza, którego pseudonim znajduje czytelnicy na końcu niniejszej kroniki, ale tak leniwego, tak opieszalego w spisywaniu tego, co moja literacka głowa obmyśli, że chętniebym go zmienił na innego, gdyby moje środki na to pozwalały. Muszę jednak wyznać, że jestem nader pobłażliwy dla jego lenistwa i że wogóle mam dla niego pewną słabość, której nie radzę podzielać czytelnikom.

Albowiem i czytelnicy są pobłażliwi. Znajdują się, naprzykład, ludzie, utrzymujący, że „Niwa“ nie jest nudna. Co do mnie, nie zgodziłbym się nigdy na zdanie tak ryzykowne, gdyby nie to, że w ostatnim jej numerze znalazł coś, co mnie jednak nieco zainteresowało. Oto p. Kasznica umieścił tam artykuł pod tytułem „Nasi oportuniści“, w którym rozbiera broszurę p. t. „Dziennikarstwo warszawskie“, w końcu zaś obrzuca zarzutami oportunistów i



„Słowo“, twierdząc, że się w niem program autora broszury odbija. Przedewszystkiem broszura jest bezimienna i wyszła w Krakowie, skądże więc domysł o łączności między broszurą i „Słowem“, które według p. Kasznicy ma być „jakoby urzeczywistnieniem ostatniego słowa“ autora broszury. Zaiste przenikliwość dziwna. Na granicy jej rozpoczyna się kraina insynuacji, ale człowiek tak poważny, jak p. Kasznica, nie powinien tej granicy przekraczać i robić tak dziwnych zestawień. Nasze pismo, tak jak wszystkie inne, podpisują: redaktor i wydawca i są za nie odpowiedzialni; naszym współpracownikom wolno pisywać, gdzie chcą i jak chcą, to pisma naszego nie obchodzi. Wszakże wolno było i panu Kasznicy w różnym czasie pisać i podpisywać różne artykuły i nie-artykuły, co bynajmniej nie obowiązuje „Niwy“ i nie obarcza jej żadną odpowiedzialnością.

Co do nas, w miarę możliwości nie taimy naszych przekonań. Wypowiedzieliśmy je z powodu ostatnich wypadków, z powodu walki kulturalnej w Niemczech i z powodu stanowiska Polaków i centrum, z powodu kwestyi irlandzkiej itd. itd. Zapewniamy przytem p. Kasznicę i „Niwę“, że wypowiadać je będziemy i na przyszłość z równą otwartością, nie powodując się nigdy osobistymi powodami, ani obrażoną miłością własną, ani „szarą pyszką“, na którą narzekał już wielki Skarga.

Zaiste zarzut oportunistycznego z „Niwy“ jest trochę za ryzykowny, bo pozwólcie sobie powiedzieć, moi panowie, że jednym z bardziej oportunistycznych dzienników była i jest „Niwa“, a jednym z bardziej oportunistycznych publicystów — p. Kasznica. A przytem... nie zmuszajcie mnie, bym wypowiedział wyraźniej skąd „irae“ do „Słowa“, bo mogłoby się okazać, że są one natury więcej prywatnej, niż publicznej i więcej oportunistycznej, niż się może wydawać osobom trzecim.

Szanowny autor robi nam jeszcze zarzut, że w programie „Słowa“ mieszczą się zdania, które mogłyby być podpisane „przez t. zw. zachowawców i t. zw. postępowców“.

I to ma być zarzut?

Ależ mógłbym sz. autorowi przytoczyć całe dziesiątki takich zdań, na które podpiszą się wszyscy postępowcy i zachowawcy, tacy nawet, którzy jak najmniej podpisywali w swoim życiu.

Czyby np. cała „Niwa“ nie podpisała zdania, że, gdy idzie o sprawę publiczną, należy stłumić niechęci prywatne? Ja pierwszy namawiałbym ją do podpisania...

Jest jeszcze wzmianka w artykule p. Kasznicy „o nieupoważnionych przez ogół partjach“. W swoim czasie sprawę tę poruszała w sposób nadzwyczaj szczery i szlachetny „Biblioteka Warszawska“, dodaliśmy też jej równie szczere objaśnienie, po którym kwestya ta sta-

ła się jasną. Teraz, gdy p. Kasznica na nowo ją poruszył, doprawdy moglibyśmy tylko odpowiedzieć jemu i „Niwie“, że naiwne role należy pozostawić pannie Czaki.

Wogóle o zarzutach, którymi nas obarczono, powiemy, że jeśli nie są—według słów Merkucya—tak głębokie, jak studnia, ani tak szerokie, jak drzwi kościoła, to jednakże dowodzą pewnego rozdrażnienia, któremu ze względu na sprawę publiczną radzibyśmy koniec położyć.

Zapewniamy, że potrafimy się bronić i nie oszczędzać napadających, jeśli nas do tego zmuszą, ale sądzymy, że i my i „Niwa“ i każde inne pismo ma przed sobą o wiele podnioślejsze zadania, które winny być syntezą wszelkich różnic, niechęci i niesnasek. Nie walka o prenumeratorów, nie forytowanie miłych na koszt niemiłych, nie prywatne sympatyje lub antypatyje mają nam być gwiazdą przewodnią. Ma nią być dobro publiczne. To, co mówię, jest zarówno proste, jak obowiązujące. Jest także dobrze znane, ale na nieszczęście ludzie o tem zapominają. Dla mnie ideałem byłoby pismo, któreby potrafiło zostać, według słów poety: „arką przymierza między dawnymi a nowymi laty“, i spodziewam się, że na taki kierunek zgodziłyby się mogli zachowawcy z p. Kasznicą, jak i postępowcy bez niego.

## Kronika tygodniowa.

### XI.

Jubileusz profesora Przyborowskiego. Wspomnienia uniwersyteckie. Literatury słowiańskie. Autorowie piśmienni. Katedra literatury polskiej. Lublin i Pińczów. Mały udział społeczeństwa w zmianach muzycznych. Właściwości muzyczne. Prawo. Drogoskaz. Związek między zakładami naukowymi i społeczeństwem. Zdanie filozofa. Eufonia i generał v. Stiehle. Moje wspomnienia. Pierwsze kroki na niwie kronikarskiej. Czego chciał mój pierwszy redaktor. Wspólny los. Jestem pomszczony. Bijesz ty moich Żydów. Przeróbka Lama. Jeszcze o oportunizmie i o p. Kasznicy. Otwarta przyłbica i nienasunięta czapka. Wzajemność komplementów. Czego wymaga sprawiedliwość. Wyznania i nieporozumienia. Odczyty w Warszawie. Dopelnienia. Na coby się zgodzili pan Z. G. i pan Piskorski. Statystyka. Rozumowanie Zulusa. Podobieństwo. Projektowany konkurs. Teatr. „Nasze nieobiecane“. Oszczędności. Stan rzeczy obecny. Wieża Babel.

Wśród jubileuszów, jakie odbywały się w ostatnich czasach, był jeden, cichszy od innych, obchodzony tylko w gronie najbliższych przyjaciół, jubileusz profesora Józefa Przybo-

rowskiego. Obchodzono prywatnie dwudziestopięcioletnią rocznicę pracy publicznej i publicznej zasługi na polu piśmiennictwa i nauki. Do życzeń, które jubilatowi składano, dołączamy i nasze, spóźnione może, ale serdeczne, by pięćdziesięcioletnia rocznica jego pracy, skoro nadejdzie, zastała go znowu na katedrze, wśród słuchaczy ożywionych takim zapalem i zamiłowaniem do języka polskiego, jakimi dawniejszych swoich umiał natchnąć. Należeliśmy osobiście do uczniów prof. Przyborowskiego i przypominamy sobie dokładnie jego działalność. Było to w ostatnich latach Szkoły Głównej. Na wykłady prof. Przyborowskiego chodzono ze zdwojoną gorliwością. Profesor czytał fonologię, morfologię i etymologię języka polskiego. Wykład był jasny, prosty, spokojny, ściśle naukowy, nie zabarwiony stylem, ni żadnemi apostrofami. Był to wykład uczonego profesora niemieckiego, mający na celu samą naukę—i nic więcej. Ale właśnie ta naukowa podstawa, ta ścisłość, niedopuszczająca żadnych zboczeń, otoczyła wykłady, profesora i katedrę niezwykłą powagą. Czuliśmy, że to, co słyszemy, jest nauką w europejskim znaczeniu tego wyrazu, że to i na nas, słuchaczy, rzuca pewien odbłysek uczoności, że to jest coś prawdziwie uniwersyteckiego, więc, gdy i sam przedmiot pociągał nas niewymownie, pracowaliśmy z zapalem. Z tej garści filologów, która zapisana

była wówczas do Szkoły Głównej, nie brakło na lekcji Przyborowskiego nigdy nikogo. Lekcje odbywały się wieczorem przy świetle gazu—i pamiętam, jak dziś, twarze nielicznych moich kolegów, którzy, schyleni nad zeszytami, notowali skwapliwie—i profesora na katedrze czytającego głosem spokojnym, jednostajnym... W audytorium panowała prawdziwie filologiczna powaga. Korzystaliśmy niezmiernie wiele, dwóch dawnych uczniów Przyborowskiego zajmuje dziś katedry uniwersyteckie, większość zaś to, co wie, ze stanowiska nauki o języku polskim, zawdzięcza wyłącznie profesorowi. Dziwna rzecz: wykład, zwłaszcza etymologii, bywał nieraz dość suchy, a jednak żadne inne prelekcyjne nie budziły w nas takiego zajęcia. Przychodzili następnie na nie i słuchacze innych fakultetów, a ponieważ profesor wykladał porównawczo, więc nawet i niektórzy świeżo przybyli profesorowie, którzy, zmierzwszy się raz i drugi z trudnościami uniwersyteckich wykładów, poznali, że jednak wypada dopełnić poprzednich studyów. Dziś, jak wiadomo, katedra języka polskiego na uniwersytecie warszawskim nie istnieje. Znany z licznych rozpraw naukowych profesor jest tylko lektorem. Ale właśnie dlatego tem serdeczniej łączymy nasz głos z głosami tych, którzy zacnemu profesorowi składali życzenia w rocznicę jego 25-letniej pracy około języka i literatury polskiej.

W owych czasach Tyszyński i Bełcikowski wykładali literaturę polską, później zastąpiono ją rozmaitemi słowiańskimi. Zaczynało się to od św. Cyrylla i Metodego, kończyło się zaś, a przynajmniej my kończyliśmy na przekonaniu, że niektórzy nasi młodszy bracia mają poezję ludową, którą zresztą mają i Hawajczycy, ale wcale nie posiadają literatury w ścisłym znaczeniu tego wyrazu.

Wobec tego byłoby w interesie literatury słowiańskiej rzeczą dziś pożądaną, by słuchacze uniwersytetów słowiańskich mogli dowiedzieć się, że literatura owa miała także Mickiewiczów, Słowackich, Krasieńskich i różnych innych piśmiennych autorów. Na nieszczęście jednak, otwarcie katedry, z którejby i o takich autorach mówiono, jakoś się zwłóczy i zwłóczy. Mówimy o wykładach Chmielowskiego.

W bieżącym roku uniwersyteckim podobno się już one nie zaczną. We Włoszech i Anglii okazano pod tym względem wiele więcej gorliwości, gdy w tamtejszych uniwersytetach wykładają i literaturę i język polski.

Co do zakładów naukowych wogóle, nader pożądanym byłby bliższy związek między nimi a społeczeństwem. Pewien filozof zachodni powiedział, że szkoła ma być emanacją społeczeństwa, czyli bezpośrednim jego wpływem, nie może więc mieć odmiennego charakteru.

Szkoła przystem winna w przyszłości uła-

twiać swym wychowanicom życie, jeśli zaś po jej ukończeniu czują się wśród swego własnego ogółu obcymi, to tracą, zamiast zyskiwać. Prawdy te nie potrzebują dla dowiedzenia swej oczywistości czekać, aż je wypowie jakiś generał v. Stiehle, który — jak wiadomo — w ostatnich czasach znalazł, że język polski jest pięknie brzmiący, że landwera może być złotym mostem i że każdy Niemiec wpada wobec dziejów polskich w stan zachwyty, graniczący z hypnotyzmem...

Jeśli chodzi o eufonię, zwracając komplement za komplement, musimy zauważyć, że to właśnie słowa generała v. Stiehle były piękno-brzmiące.

W swoim czasie pisywałem kroniki dla jednego z redaktorów, który całą swą postacią uosabiał bóstwo zwane w starożytności: Jupiter tonans...

Byłem młodszy znacznie i pisywałem — Bóg widzi — jak umiałem najlepiej... Co sobota przelewałem cały liryzm mej młodej duszy w czterysta wierszy kroniki, w piątek odczytywałem te liryczne kroniki na sesyi, ... i cóż powiecie: oczy mojego redaktora zachodziły krwią, broda rozwiewała się na pół horyzontu, a z głębi tej brody wychodził grzmiący głos:

— Mój panie! — ja nie proszę pana o poezye! — mnie trzeba faktów!...



— Panie — odpowiedziałem — skądże ich wezmę, przecie to nie ode mnie zależy!

— Mnie trzeba faktów! — grzmiał redaktor—ja się nie łapię na pięknobrzmiące frazesy...

Czułem się bardzo nieszczęśliwy, dziś czuję się pomszczony. Pokazuje się, że nietylko ode mnie żądano faktów... Oto zaledwo przebrzmiał śpiew o pięknym języku, pięknych dziejach i złotych mostach, aż tu zewsząd brzmi odpowiedź, przypominająca wiersz Słowackiego:

Dziś mnie już niezabudka nie wywiedzie w  
[pole,

Dzisiaj—trzeba mi posag położyć na stole.

Posag—to znaczy: fakta... Stanowczo jestem pomszczony. Znaną jest anegdota o dwóch Mazurach, którzy wieźli dwie fury, pełne Żydów. Zawadziwszy wozami, pokłócili się. Jeden porwał za kłonicę i dalejże okładać Żydów, siedzących na wozie przeciwnika; na to drugi Mazur powiada: bijesz ty moich Żydów, to ja będę twoich bił.—Lam w swojej korespondencji do „Nowin“ zauważył, że może i z miłością się tak zdarzyć. *Lobst du deinen Polen, lob ich meinen Polen...* Jest jednak wielka różnica w tem, że Żydzi nie wołali zapewne o fakta... Za pozwoleniem! różnica nie tak wielka. Takich faktów nikt nie pragnie... Gdy chodzi o miłość, to co innego... Wówczas

dziewica lub młodzieniec, słysząc wyznanie, mogą słusznie powiedzieć:

„Dziś mnie już niezabudką nie wywiedzie  
[w pole.“

Świat bowiem stał się pozytywny i oportunistyczny, jakkolwiek ludzie tego się wypierają. Dowodem, że się wypierają, jest p. Kasznica, który niedawno podrapał w oportunizm „Słowo“. Gdy mu poradziłem, by tę czynność zwrócił przede wszystkim na siebie samego, dostałem odpowiedź na odpowiedź, oraz kilka rad, na które wdzięczność nakazuje mi również radami odpowiedzieć. Radzę więc panu Kasznicy, aby w najbliższym swoim otoczeniu zapytał się: 1) czy wypada rzucać domysł, że pismo, wychodzące w Warszawie, urzeczywistnia program broszury, wydanej w Krakowie, 2) czy z tego nie może się zrodzić drugi domysł, że ktokolwiek z podpisanych na dzienniku jest autorem niepodpisanej broszury i 3) czy ze względu na to, że broszura ta, wydana w Krakowie, nie ma u nas debitu, nie mogły wyniknąć niezасłużone nieprzyjemności dla wydawcy lub redaktora pisma, gdyby rozszerzyło się mniemanie, że który z nich jest autorem broszury. Pan Kasznica wie najlepiej, że tak nie jest, nie powinien był zatem pisać w ten sposób, by zostawiać pole do nieuzasadnionych domysłów. Albowiem człowiek domyslny powinien być zawsze domyslnym—i nie lekkomyślnym, ale

rozważnym i ostrożnym,—pan Kasznica zaś był nieostrożnym. Tę to nieostrożność pragnąłem mu wytknąć. To raz. Powtóre. Kierunek pismu nadaje redaktor, ponieważ zaś p. Kasznica wie dobrze, że nie redaktor „Słowa“ jest autorem broszury o dziennikarstwie, nie powinien był zatem żenić broszury ze „Słowem“, choćby ze względu i na to jeszcze, że jakkolwiek wykłada prawo kanoniczne, nie ma prawa dawania słubów. Jeżeli przypuszczał jakiewpływy, a nie mógł ich po imieniu nazwać, to ponieważ sam oświadczył, że nie lubi bezimienności, powinien był swój domysł zachować dla siebie aż do chwili, w której jego szczerłość nie będzie miała potrzeby rachowania się z warunkami znanymi. Oświadcza dalej sz. p. Kasznica, że występuje z otwartą przyłbicą, ale ponieważ nie nasuwałem także czapki na oczy, dziwię się, że p. Kasznica wyczytał na mojem obliczu gniew, podczas gdy była na niem zupełna pogoda. Bo o oportunizm, mający moją własną osobę na celu, p. Kasznica mógł mnie posadzić doprawdy z mniejszą zasadą, niż ja jego, gdyż on musi się liczyć ze swoją pozycją, ja zaś, wyznaję ze smutkiem, innej pozycyi, jak tej, którą daje pióro, nie miałem,—piórem zaś, byle zdrowie służyło, można wszędzie i zawsze prowadzić po papierze. Dziennik, w którym pracuję, nie jest oportunistycznym dlatego właśnie, że jego redaktor nie jest i nie potrzebuje być oportuni-

stą. Ale może nie porozumieliśmy się co do wyrazu, może o innym oportunizmie mówi p. Kasznica. Może on przypuszcza, że „Słowo“ o tyle jest oportunistyczne, o ile gotowe jest podporządkować wszystko dobru społeczeństwu. W takim razie nasza wina—i pozwoli sz. p. Kasznica, że płacąc komplementem za komplement, gotów jestem posadzić i jego o podobny oportunizm.

Przypuszczam, że jeśli o to chodzi, to może się jeszcze zdarzyć, że i p. Kasznica zacznie urzeczywistniać program autora inkryminowanej broszury, jeśli z czasem przekona się, że ów autor jest także tego pokroju oportunistą. Ostatecznie przykro mi tylko, że nie zrozumiałem, iż p. Kasznica miał właśnie na celu poparcie „Słowa“, że chciał je zachęcić, utrwalić. A przecie taka rola była najodpowiedniejszą dla człowieka starszego, którego powinna cieszyć praca nowych pokoleń, praca, podjęta dla społeczeństwa. Jeżeli redaktor „Słowa“ zapomniał prosić p. Kasznicy o współpracownictwo, do czego, mówiąc nawiasem, według brzmienia kontraktu, sam jeden miał tylko prawo, to tembardziej w pochwałach dla „Słowa“ okazuje się, jak p. Kasznica umiał być bezinteresownym i podporządkować miłość własną sprawie ogólniejszej. Okazuje się także, że wieści, które z najbliższego otoczenia p. Kasznicy mnie dochodziły, jakoby Sz. profesor czuł się dotkniętym, były nieprawdziwe. Boć prze-

cież, zaiste, pisma nie na to istnieją, byśmy ich szpaltami łatali nasze miłości własne. Wszakże sapienti sat.

Od profesora do odczytów niedaleko, mamy ich tedy mnóstwo. Goście lwowscy i krakowscy kolejno występują na katedrze w sali ratuszowej. Odczyty stały się nie objawem mody, ale potrzebą umysłową naszego miasta. Oddają one rzeczywistą usługę nie tylko instytucjom, w imię których są podejmowane, ale umysłowości naszej. Podnoszą one jej poziom, podtrzymują zamiłowanie do nauki, wyrabiają dojrzałszy sąd, wyganiają obskurantyzm. Ponieważ większość słuchaczy stanowią zawsze kobiety, więc owe lekcye ratuszowe dopełniają ich wykształcenia, a potrzeba takich dopełnień jest rzeczywista, bo nasze zakłady naukowe żeńskie... O Ryczywole zamilczcie wołę.

Może w przyszłych kronikach wrócimy jeszcze do tego przedmiotu, również jak i do szkół wiejskich. Wogóle, czy to pomimo szkół, czy wobec szkół, wracamy do dawnej starosłowiańskiej prostoty. Statystyka wykazuje, że od lat kilkunastu zmniejsza się znacznie liczba umiejących czytać i pisać. Oczywiście liczba wzrasta w stosunku prostym. Niedawno p. Z. G. pytał, co robić ze szkodnikiem w lesie, na polu,—odpowiadał mu p. Piskorski, na co znowu p. Z. G. dawał replikę. Sądzę jednak, że obaj ci panowie, roztrząsając, co robić ze szkodni-

kiem, zgodziliby się na jedną odpowiedź: uczyc go czyta, dać mu oświatę i rozeznanie tego, co jest dobre, od tego, co jest złe. Pewien Zulus czy Hotentot, proszony przez misjonarza, żeby dał przykład, co jest złe, odpowiedział:

— Złe jest, jak mi kto żonę ukradnie.

— A dobre? — pytał dalej ksiądz, ucieszony pojętnością dzikiego wychowanka.

— Dobre, to jak ja komu ukradnę.

Owóż dotychczas nasi prowincjonalni Słowianie mają pojęcie złego i dobrego nader zbliżone do pojęcia owego Zulusa—i pojęcie to utrzyma się dopóty, dopóki usiłowaniom duchowieństwa i ludzi prywatnych nie przyjdzie w pomoc szkoła.

Inaczej wychowawcy natury muszą dziczeć, jakkolwiek drogą inicjatywy prywatnej robi się u nas dość wiele. Obecnie jest znowu projekt konkursu na napisanie żywotów świętych, jakich wydał kraj tutejszy.

Mówiąc o tym konkursie, popełniam pewną niedyskrecję, ale to ogólna wada dziennikarzy. Bliższy projekt konkursu ogłosi w przyszłym numerze „Biblioteka Warszawska“, do niej więc odsyłam czytelników. Tymczasem pozwolę sobie tylko zauważyć, że rzecz jest dobra i chwalebna. Celem „Żywotów“ będzie 1-o zbudowanie moralne czytelników i 2-o poznanie i z czasami, w których żyli św. Wojciech, św. Stanisław, św. Kinga, św. Kazi-

mierz i inni.—Ach! żeby tylko ci czytelnicy lepiej umieli czytać!... O ileż to mniej rozegrywałoby się na całej przestrzeni kraju dramatów ludowych...

A propos dramatów: grano w ostatnich czasach „Emigracyę chłopską“ Anczyca. Zresztą w teatrze cisza. Ciszę tę sprowadziły „nasze nieobecne“, z których jedna może w tej chwili wyjeżdża już do Londynu, od drugiej zaś, jak wiadomo, dyrekcyja w swoim czasie poczęła robić oszczędności... Pomysł był nader szczęśliwy, zaoszczędzono bowiem publiczności wiele pieniędzy, które inaczej byłyby przeszły do kasy teatralnej... Mamy natomiast operę włoską, podobno bardzo niezłą, mniej mówią o projektowanem przebyciu manheimskiej trupy niemieckiej, ale za to w niektórych salonach grywają komedyjki francuskie.—Allright! — dodajemy po angielsku.

## Ballady prozą

przez

**Alfonsa Daudet'a.**

Śmierć Delfina.

Mały Delfin jest chory, mały Delfin umiera. We wszystkich kościołach królestwa Najświętszy Sakrament dzień i noc stoi wystawiony i wielkie świece płoną za wyzdrowienie królewskiego dziecka. Ulice obok starej rezydencji smutne są i milczące, dzwony nie dzwonią, powozy idą noga za nogą. Przed dziedzińcem pałacowym ciekawi mieszczanie patrzą przez kraty na szwajcarów w złocistych kamizelach, którzy rozmawiają w dziedzińcu, a twarze mają poważne.

Cały zamek w ruchu. Szambelanowie, majordomowie biegają w górę i na dół po marmurowych schodach. Galerye pełne są panów i dworzan w jedwabnej odzieży; ci chodzą od gromadki do gromadki, by jaką uchwycić no-



winę. Na tarasach zapłakane damy honqrowe ocierają sobie oczy haftowanemi chustkami.

W oranżeryi zebrali się doktorzy w togach. Widać przez szyby, jak poruszają się ich długie, czarne rękawy, a głowy w perukach kiwają się poważnie. Guwerner i koniuszy małego Delfina przechadzają się przed bramą, czekając, co powie konsylium. Pan koniuszy klnie, jak poganin, guwerner recytuje wiersze Horacyusza. Tymczasem ze stajni dochodzi rzenie żalosne: to bułanek Delfina, o którym zapomnieli dziś masztalerze i który się odzywa przed swoim pustym żłobem.

A król? Gdzie jest król jegomość? Król zamknął się w swoim pokoju, na krańcu zamku. Monarchowie nie lubią, by ich widziano płaczących. Co do królowej, rzecz inna. Siedzi ona u wezglowia małego Delfina z piękną twarzą, zalaną łzami i szłocha, jak prosta mieszczanka.

Na swem posłaniu z koronek mały Delfin, bielszy od poduszek, na których się wspiera, spoczywa z zamkniętymi oczyma. Myślałby kto, że śpi, lecz nie. Mały Delfin nie śpi. Zwraca się on ku matce i, widząc, że płacze, tak do niej mówi: Czego płacze wasza wysokość? Czy myślisz, matko, że ja tak sobie umrę, jak inni? Królowa chce odpowiedzieć. Łzy przeszkadzają jej mówić.

— Niech nie płacze wasza wysokość, nie

placz, mamó. Pamiętaj, że jestem Delfinem, a Delfin nie może tak umrzeć... Królowa szlocha jeszcze głośniej—i mały Delfin przestraszać się zaczyna. „Hola! — mówi — nie chcę, by śmierć przyszła mnie zabrać, i będę się umiał jej bronić. Niech tu zaraz przyjdzie czterdziestu drabantów, niech trzymają straż około naszego łóżka. Niech sto armat—lonty zapalone!—czuwa pod naszymi oknami. I biada śmierci, jeśli się ośmieli zbliżyć do nas!”

By się nie sprzeciwiać królewskiemu dziecku, królowa znać daje: natychmiast słychać hurkot stu wielkich armat w dziedzińcu i czterdziestu drabantów, z rohatynami w ręku, zaciąga wartę w pokoju. Stare to wiarusy z siwymi wąsami. Mały Delfin klaszcze w ręce, mały Delfin ich zna i umie nazwać po imieniu. Poznaje jednego i woła: „Loren! Loren!” Wiarus się zbliża do łóżka: „Mój stary Loren, jak ja cię kocham! Pokaż-no swoje szablisko! Jeśli śmierć zechce mnie zabrać, ty śmierć zabijesz, nie prawda?—„Według rozkazu, wasza wysokość!”—odpowiada Loren i dwie ciężkie łzy spływają mu po zwiędłej twarzy. W tej chwili ojciec-jałmużnik zbliża się do małego Delfina i cichym głosem mówi mu coś długo i pokazuje krucyfiks. Mały Delfin słucha z twarzą zdziwioną i nagle przerywa: „Rozumiem dobrze — powiada — co mówisz, ojcze, ale czyby mój mały przyjaciel Beppo

nie mógł umrzeć za mnie, gdyby mu dać dużo pieniędzy? Jałmużnik znowu zaczyna mówić cichym głosem, a mały Delfin dziwi się coraz bardziej.

A gdy jałmużnik skończył, mały Delfin tak mówi z ciężkiem westchnieniem: „Oj, smutne to, ojcze, co mówisz, i to mnie tylko pociesza, że tam wysoko, w raju, między gwiazdami, zawsze będę Delfinem. Wiem, że Bożia mój kuzyn i że mnie przyjmie według godności mojej“. A potem mały Delfin zwraca się do matki i rzecze: „Niech tu przyniosą moje najpiękniejsze odzienie, mój płaszcz z gronostajów i aksamitne trzewiki. Chcę ładnie wyglądać między aniołkami i wejść do raju w ubiorze Delfina“.

Po raz trzeci jałmużnik schyla się nad małym Delfinem i coś długo mu prawi cichym głosem. Aż w środku dziecko królewskie przerywa mu nagle z gniewem: „Więc być Delfinem — woła — to nic nie znaczy?“—I nie chcąc już więcej słyszeć o niczem, mały Delfin odwraca się do ściany i płacze gorzko.

## V. Mieszaniny artystyczne i literackie.

### I.

Treść: („Rzeczpospolita Babińska“ Jana Matejki.) Antologia polska. „Z różnych sfer“ Elizy Orzeszkowej. „Woły robocze“ Wilczyńskiego.

Od paru dni Warszawa podziwia już w salonie artystycznym Krywulta obraz Matejki „Rzeczpospolita Babińska“. Jest to jedno z najznakomitszych dzieł krakowskiego mistrza. W surowym trzymanym stylu „Chrzest Warneńczyka“, znajdujący się w tymże salonie, jakkolwiek wspaniały i poważny, wygląda niemal urzędowo wobec tego nowego malowidła, kipiącego życiem, humorem, swobodą. Do podobnych wrażeń, jakich doznajemy, patrząc na Rzeczpospolitą Babińską, nie przyzwyczaił nas dotąd Matejko. Z poprzednich jego płócien biła jakaś ogromna powaga i majestat dziejów, a często przemawiała ich tragedia. Odchodziło się od nich z pochyloną głową, jak się wychodzi z wysokich, a posepnych naw gotyc-

kich, w których ogrom, pomroka i tajemniczość światel barwnych przejmują duszę uroczystością. Przytem w dzisiejszych piersiach skarłatych i nieżyjących ani życiem takim, ani podobnem do dawnego, nie było prawie miary do mierzenia tych postaci tak wielkich, tak lapidarnych. To byli inni ludzie, równie jak innymi są homeryczni równie jak innymi są rzeźbieni dłotem Michała Anioła — za wielcy, za surowi, tembardziej, że widziani z jednej dziejowej tylko strony swego żywota. Teraz mistrz postanowił ukazać to życie i z innej strony — nie na koturnach dziejowych, ale w swobodzie prywatnej — i widz odchodzi od obrazu z pogodnym uśmiechem, z tąż samą prawie próżną wszelkiej troski wesołością, jaką kipi cały obraz i wszystkie jego postacie. Rzeczpospolita Babińska! Któż nie wie, co to jest? Kto nie słyszał o wesołym panu Pszonce i jego państwie, w którym tchórz bywał hetmanem, niedowiaręk kapłanem, pijak piwnicznym, jakała mówcą, a królem?...

Pytał o to ciekawie i Zygmunt August, kto będzie królem w takiej Rzeczypospolitej, na co mu pan Pszonka odpowiedział:

— Boże uchowaj, byśmy za życia twego, miłościwy panie, mieli obierać innego króla. Panujesz nad Polską, panujże i w Babinie.

Król się śmiał, a za nim dwie Rzeczypospolite.

Któżby nie należał do tego Babińskiego państwa! Wszelkie znakomitości i wszyscy dygnitarze składali u granic jego urzędową powagę, by wśród jabłoni, w sadach pana Pszonki wypocząć, pożartować i spędzić czas w najwykwintniejszym towarzystwie, któremu równego dostarczyć mogły chyba Włochy same.

Oto na obrazie prymas Dzierzgowski siedzi na środku w fioletach i purpurze, koło niego kupi się działalność większej części osób. Pan Pszonka niesie księciu kościoła dyplom na obywatela Rzeczypospolitej i śmieje się sam tak szczerze, tak wesoło, że aż miło na niego patrzeć. Obok niego Trzeciecki, dalej doktor Montana, Firlej i Myszkowski. Za Modrzewskim pan Kaszowski, sędzia lubelski, znany z humoru i dowcipu, patrzy z pod okularów na prymasa. Wszyscy się śmieją i widocznie baczają, jak też arcybiskup przyjmie dyplom. Może w nim będzie jaka przymówka, że prymas nie dość gorliwy był w wierze, że trochę kręcił w swoim czasie z Boną, że chciał sejm zwoływać wbrew woli Zygmunta Augusta, że był przeciw Barbarze, a później ją koronował. Podobno w życiu prymasa było wiele rzeczy, do których możnaby się przyczepić, ale książe kościoła zna się widocznie na żartach, głowę w tył przegiął, ręce rozłożył, jakby klaskać zamierzał. Zresztą widocznie jest w dobrym

humorze. Bo też i miejsce i czas wyborne. Lato, niebo błękitne, pogoda przepyszna! Nokoło sad pełen jabłoni, złoty owoc błyszczy wśród liści. Sama natura usposabia do wesołości, a przytem i puhary krążą. Oto Mikołaj Rej musiał już nie jeden wychylić, bo rozsiadł się godnie, nogę założył na nogę, rękoma ułapił się za kolano i jowialną tłustą twarz zwrócił z trochę złośliwym uśmiechem w stronę, gdzie siedzi ksiądz Orzechowski z żoną. Orzechowski patrzy, jak w tęczę, w prymasa, ale może chce tylko kłopot pokryć, bo Rej robi jakieś przymówki do jego sukni i żony, a wyżej między gałęziami, nad Orzechowskimi, kołysze się na huśtawce błazen Gąska. Nogi zadarł do góry, głowę zaś zwraca na dół i podaje pani Orzechowskiej jabłko, jakby chciał mówić: Ewa skusiła niem Adama, a tyś jeszcze lepsza, boś skusiła księdza... Za tą przepyszną grupą Oleśnicki, Lupa Podlodoski i inni wychylają kielichy, śmieją się i krzyczą.

Po drugiej stronie obrazu za prymasem— pani Pszonkowa i kilka innych kobiet, niżej Patrycy, Bekwark z lutnią w rękę, Bartosz Paprocki, nakoniec Kochanowski i Marcin Bielski leżą na ziemi i grają w szachy.

Co jest znakomitszego w całej Rzeczypospolitej polskiej, to zebrało się w ogrodach pana Pszonki: tatyści, poeci, historycy, najwy-

kształceńsi ludzie nietylko kraju, ale niemal czasu swego. Zabawa nie zakrawa bynajmniej na orgię. Jest to wybryk wesołego humoru przepysznych renesansowych czasów —wysokiej cywilizacji, która poczyna już być wykwinną, ale jest jeszcze młodą, pełną życia, siłą, barwy i zapału. Jest ona zarazem swobodną i pełną tolerancyi. Oto tam bawią się i weselą ludzie najróżnorodniejszych wiar. Będą oni na katedrach wiedli z sobą dysputy, będą się zwalczać pismem, ale w sadybie jabłonkowym pana Pszonki podają sobie ręce z wyrozumiałością. Ludzie tych czasów będą także nie później, przybywszy w poselstwie do Paryża, zawstydzają nieuctwo francuskich panów... Rządy łagodne, sumienie swobodne, stąd ta werwa, ten humor, ta swoboda, którą tak po mistrzowsku odczuł i oddał Matejko. Widz odchodzi od tego obrazu z pogodnym uśmiechem, ale i z pewnem zadowoleniem, pokrewnem dumie. Bo jakie to jednak świetne dzieje cała tamta epoka! Pomyśleć tylko, co w tych samych czasach, gdy w Krakowie, na akademii słuchacze liczyli się na tysiące, a szkoły w całym kraju na dziesiątki tysięcy, co w tych samych czasach działo się gdzieindziej. A choćby i ta zabawa w pszonkowych sadybach, co za przepyszny odbłask włoskiego renesansu! Wrażenie pogody, jakie otrzymuje się na widok tego obrazu, trudno prawie opisać; zwłaszcza, że z obrazów Ma-



tejki otrzymujemy je tak rzadko. Jest to jakiś nowy ton w tonach mistrza, niespodziewany uśmiech przeszłości, która właśnie dlatego, że nie przedstawia się nam ze strony wielkiej, przemawia nadzwyczaj silnie, nadzwyczaj zrozumiale, jakby po dzisiejszemu.

Oczywiście wspiera to wszystko mistrzowska technika, mistrzowskie wykonanie obrazu. Dość spojrzeć raz jeden na przepyszną linię głów, żeby się przekonać, że i pod względem wykonania jest to jedno z najwyższych dzieł Matejki. Indywidualność pojedynczych twarzy równie tu wybitna, jak w innych obrazach mistrza, a ileż w każdej charakteru, choć wszystkich ogarnia jedna wesołość. Ciała rzucone nie dbale, jak być powinno. Znać, że tych ludzi nie kępuje etykieta, ani jakieś poważne zadanie, że odpoczywają, że bawią się, że wszystko oddycha swobodą. Perspektywy, przestrzeni i powietrza więcej tu, niż w jakimkolwiek obrazie Matejki. Niema żadnego stłoczenia. Swoboda musiała się w tem wyrazić. Koloryt odpowiada harmonijnie całości: jest żywy, bardzo żywy, a jednak oczu widza nic nie uderza, ani jedna jaskrawa barwa. Nad wesołością ziemi, nad ludźmi i sadem jabłoni zwiesza się, jak wspomniałem, błękitne, może nawet za błękitne niebo lata, które zbliża się ku zbożnej, owocnej jesieni...

W ostatnim tygodniu wyszła w przepysznym wydaniu Gebethnera i Wolffa „Antologia polska”—wybór najcelniejszych utworów poetów polskich. Wydanie to zdobią ilustracye Andriollego, Brandia, Gersona, Kossaka, Lessera, Pilatego i Żmurki. Książka zasługuje na to, by o niej pomówić obszerniej, dlatego sprawozdanie nasze odkładamy do przyszłych „Mieszanin”.—W dzisiejszych natomiast musimy pomówić jeszcze o nowej seryi nowel p. Elizy Orzeszkowej, które wyszły pod ogólnym tytułem: „Z różnych sfer”. Gdyby wolno było wielkie rzeczy porównywać z małemi, powiedzielibyśmy, że z obrazu Matejki mówiła do nas przeszłość, z drobnych utworów p. Orzeszkowej przemawia zdrobniała, wstrętna terażniejszość. Ale jakże inaczej przemawia. Posłuchajmy. Brudne uliczki miasta, kramy, kramik, dalej rogatka, błonie, jar, zapadła chata w jarze, a na tem tle ogólnem występuje dwoje dzieci. Występują w chwili, gdy on kradnie gołębie, a ona z bijącym sercem śledzi, czy mu się uda. Autorka prosi jednak, byśmy nie odbierali im odrazu naszej sympatyi. Oboje są mali, biedni, ciemni, opuszczeni, a przytem jest w nich coś, co zasługuje na współczucie: oto kochają się bardzo, a raczej ona jego kocha serdecznie. Są to niby Paweł i Wirginia na bruku miejskim. Autorka pragnie odmalować z prawdą i realizmem, jak też to rozwijają się

uczucia i myśli w takich istotach zapomnianych i zarzuconych wśród zgiełku ludzkiego, które za jedyne przewodniki mają instynkt. Ten instynkt uczy go kraść, ją zebrać. W tych warunkach rosną. Czy może być z nich co dobrego? Nie. Autorka jest wielką pesymistką. Dzikie pola rodzą tylko chwasty. Dusza bez uprawy rodzi również chwasty. Oni oboje żyli bez uprawy, bo jego opiekunka była lichwiarką, jej matka—pijaczka. To były najbliższe przykłady. Innych nie mieli. W mieście rzucał im się w oczy zbytek, widzieli, jak inni używają, bawią się. Działo to szczególnie na niego. Nieraz marszczył brwi i w rozmowach, jakie prowadził z towarzyszką, pytał: dlaczego ja jestem taki biedny, dlaczego ja nie mam tego lub owego? Między nim a nią była ta różnica, że ona mówiła my, on zawsze ja, bo tylko siebie miał na względzie. Budził się w nim bezwiedny socyalista. Ludzie bogaci, miasto, sklepy, zbytek—wszystko wywoływało w nim apetyt—i nic więcej. Czy nie mówił mu nikt, że do użycia i posiadania można dojść pracą. Owszem: miał wuja cukiernika, który go przygarnął i przyuczył do pracy, ale on nie chciał pracować, tylko używać. I czy wiecie, jaki koniec historyi?—on został złodziejem, ona rozpiła się. Co to jest? co to ma znaczyć? czego chce autorka? — pyta czytelnik. I ma prawo pytać dlaczego usiłowano go szarpać, dlaczego opowiadano mu tę wstrętą historię?

dłaczego zostawiono go pod wrażeniem niesmaku, zwątpienia i braku wszelkiej otuchy? Na te jednak pytania niema odpowiedzi. Cała historia życia tych dwojga dzieci pojęta została nadzwyczaj jednostronnie. Miasto, życie, otoczenie, mogło oddziaływać na dzieci źle, ale musiało, choć w setnej części, choć w tysiącznej i dobrze. Czemu tej tysiącznej nie uchwyciła autorka? czemu cały obraz malowany umyślnie i ze szkodą prawdy? A przecie dzieci w domu nie miały przykładów —prawda, ale w mieście, po którym się błąkały, jak koty po dachach, widziały przede wszystkim pracę. To raz. Dlaczego temu chłopakowi, któremu dość zawikłane i trudne socjalistyczne myśli przychodziły do głowy, nie przyszło i to: pracuj, obiboku, a będziesz jadł. Widziały te dzieci przecież i miłosierdzie, bo żebrały i dawano im jałmużnę.

Jeśli choć przez ciekawość weszły do kościoła, słyszały może z ambony, że kraść, próżnować, pożądać i t. p. jest źle. Pytamy tedy, czemu te dodatnie wpływy nie oddziaływały zgoła na chłopaka. Złe mogły przeważać — zgoda! mogły być dziesięć, sto, tysiąc razy silniejsze, ale jednak były i dobre. Czemu nam ich nie przedstawiono, a natomiast przedstawiono rzecz całą z taką umyślną i złośliwą jednostronnością? Jeżeli zaś chłopak był takim potworem z natury, że żadne wpływy nie mogły nic pomódz, to powieść jest bez

znaczenia —to nie warto było jej pisać. Co więcej, chłopak był w domu porządnych ludzi, wziął go dobry krewny, a jednak bez żadnej walki wewnętrznej, bez wahania puścił się na złą drogę. Ta jednostronność obrazu sprawia, że powiastka jest całkowicie chybiona. Autorka, która, jak się zdaje, pragnie społeczeństwo uczynić w znacznej części odpowiedzialnym za los istot tak przepadłych, jak te dzieci, rozmija się z zadaniem —jej chłopak bowiem jest chyba wyjątkową naturą patologiczną. Pisząc zaś jednostronnie, z uprzednim pesymizmem, autorka rozmija się z prawdą życiową, bo w życiu wszelkie indywiduum podległe jest najróżnorodniejszemu wpływom, które muszą w niem ścierać się i walczyć. W całej tej powiastce zamiast prawdy i realizmu widzimy tylko ciągle usiłowania prawdy i realizmu ze strony autorki. Robi ona wszystko, co może, by te dzieci mówiły, ruszały się i działały tak, jakby to czyniły w życiu, a jednak dźwięczy w tem wszystkim jakaś fałszywa nuta. Autorka jest dokładną: opisuje wszystko bardzo szczegółowo, a jednak nie widzimy dobrze tych dzieci, nie uplastyczniamy ich sobie, nie odczuwamy.

A dzieje się to właśnie dlatego, że życie zastępuje autorka teorią, z góry przygotowaną, do której życie przykrawa. Są to zarazem braki artyzmu, których nie wynagradza ani łatwość języka, ani śmiałość myśli. Ma to być

karta z dziejów nędzy ludzkiej, musi być więc wstrętna—wynagrodzić jej plugawość może tylko prawda tak wybitna, że aż krzycząca i rzucająca się w oczy—i żelazna konsekwencya. Jeśli tego brak, to zostaje tylko niesmak, bo nareszcie czego od nas chcą? Jeśli ten chłopak był pod dobrym wpływem, widział dobre przykłady, jeśli ten wujaszek pracował nad nim bez skutku, jeśli tedy społeczeństwo nie zostawiło ostatecznie tego dziecka bez opieki i dodatnich wpływów, to właściwie... po co mu psuć humor taką niesmaczną powiastką. Trudno zgadnąć.

Powiastka „Daj kwiatek“ ma zbyt bląhą treść, a treści tej artyzm nie wynagradza. Znowu jest tu więcej usiłowania artyzmu, niż jego obecności. Wspomnienia starej Żydówki, zapracowanej na chleb powszedni i pogrążonej po uszy w rzeczywistości, autorka maluje w ten sposób:

„Czasem uśmiecha się i głową wstrząsa z rodzajem żartobliwej pogroźki. Przed wzrokiem jej przepłynęły ze srebrnem dzwonieniem fale strumienia i zamigotały czarnemi oczami wpatrzonej w nie dziewczyny“.

Jest to ozdobne, ładne, jeśli kto chce, ale wątpimy, by taka prosta dusza, zapracowana, w której mogły mieć miejsce tylko nader pozytywne żądania i potrzeby, by, jednym słowem, taka Chaita z małego miasta mogła rozkoszo-

wać się podobnemi wspomnieniami, jak srebrne dzwonienie strumienia etc.

Autorka swoje zdolności odczuwania przenosi na postacie, które tworzy bez względu na ich kulturę umysłową i moralną. Dzieje się to w wielu miejscach. Dzieckiem Chaita kołysze się nad srebrnym strumieniem (str. 126), gałęzie głogu szepczą jej jakieś niewyraźne łagodne powieści (str. 124). Brat jej grywa na skrzypcach i miewa łzy w oczach (125). Stara Chaita zachwyca się kwiatami (152) itp.

Jest w tem pewien sentyment, narzucony postaciom sztucznie, którego sztuczność czuje też każdy czytelnik. Niewieleby to szkodziło, gdyby to miał być taki rodzaj powieści, ale autorka pragnie właśnie pisać w zupełnie innym rodzaju, to jest wysoce realnym i skutkiem tego właśnie wszystkie powyżej cytowane ustępy brzmią, jak fałszywe nuty, oddzielają się od całości i odstają od niej, jak wady.

A jednak autorka umie pisać prawdziwie. Ostatnią najobszerniejszą powiastką p. t. „Zefirek“ czytaliśmy już z pewnem uprzedzeniem, tymczasem jest ona najlepsza w całym zbiorze. Autorka zna dobrze kobiety średniej klasy, obserwowwała widocznie starannie życie ich w miastach, ich przesady, uprzedzenia, głupotę, pretensye, próżność. Ta radczyni w „Zefirku“, która nie może zapomnieć o swej dawnej piękności, ginie z nędzy, a nie pozwala córce iść za uczciwego człowieka dlatego, że jest mula-

rzem, ta stara prezydentowa, eks-obywatelka z uprzedzeniami do mieszkańców miast — jakież to żywe i prawdziwe. Są to „moriturae“. Biedactwo to nie jest złe. Egoizm ich jest bezwiedny, również jak wychowanie do niczego. Nie umieją żyć i giną. Oto cała prawda trafnie podpatrzona i pochwycona. Tu niema nut fałszywych, bo autorka nie ma do czynienia z naturą ludzką pierwotną, której nie zna i nie potrzebuje nadrabiać sztuką. Niema tu także natury w znaczeniu pól, lasów, strumieni etc., których wpływy na człowieka pojmuje autorka zawsze w sposób sentymentalny. Tu jest miasto, jego życie, jego nędza i jego poezya — i wykolejone istoty, których losy na bruku czasem rozdzierają serce. Na tych wszystkich strunach autorka gra biegle, odczuwa to, co pisze bezpośrednio — i dlatego w takich utworach posiada pierwszorzędny przymiot: szczerłość.

O „Wołach roboczych“ Wilczyńskiego odkładamy sprawozdanie również do przyszłych „Mieszanin“.



## Mieszaniny literacko-artystyczne.

### II.

Profesor Tarnowski. „O dalszym ciągu rozwoju poezji romantycznej w Polsce“.

Pod tak złożonym tytułem prelegent rozbiarał w trzech odczytach „Nieboską komedię Zygmunta Krasińskiego“. Początek pierwszego odczytu poświęcony był samej osobie poety. Biografia to niezmiernie trudna do kreślenia, zwłaszcza gdy się przemawia z katedry. Prof. Tarnowski mógł zauważyć, że między wszystkimi naszymi poetami życie tego wieszacza było najpełniejsze łez i bólów i cierpień, ale analizować tych cierpień i wyłuszczyć ich przyczyn, ich składników nie mógł. A jednak taka analiza drobiazgowa byłaby niezmiernie ważnym i niemal niezbędnym komentarzem do dzieł poety, taką tylko bowiem drogą moglibyśmy dowiedzieć się i poznać jasno, jak wyrabiał się wśród boleści ten umysł tak górny, tak ogarniający świat cały. Prelegent musiał przesuwac się koło wielu pierwszorzędných szczegółów biograficznych, jak koło żarzących węgli—i dzięki tylko jego talentowi krasomów-

czemu i zręczności pisarskiej, dzięki umiejętności patrzenia w duszę ludzką, życiorys Krasińskiego rzucił tyle światła na dzieła, ile go było trzeba do ich wytłumaczenia i zrozumienia. Krasiński urodził się genialnym myślicielem. Genialnym—to znaczy twórczym, zatem władającym tworzącą siłą fantazyi w równowadze z rozumem. Ten myśliciel kochał tak, jak mało kto ze współczesnych, cierpiał, jak nikt ze współczesnych—i z tych trzech składników: z ogromnego rozumu mędrca, z ogromnej fantazyi i ogromnego bólu—zrodził się wielki poeta, który jest zarazem wieszczem niemal jasnowidzącym. Zarówno w jego myśli, jak w jego poezyi można dopatrzeć się wpływów czy to ówczesnej filozofii, czy poetów, ale prelegent miał słuszną, twierdząc, że samej poezyi nie ma z czem porównać. Poezja ta stoi samotna, wysoka i odrębna w całej literaturze i polskiej i europejskiej. Pierwszą cechą jej odrębności jest jej charakter społeczny. Na gruncie niezmiętej miłości dla swego narodu poeta stawia wypadki światodziejowe i, skuwając je sercem z losami własnego społeczeństwa, rozpatruje je w związku. Dowodem tego „Niebo-ska komedia“, jedno z najważniejszych i najgenialniejszych dzieł Krasińskiego. Dwa światy, ścierające się w niej, walczą ze sobą nie tylko u nas, ale i w całym świecie. Poemat pod tym względem ma znaczenie kosmopolityczne. Wszelako naukę z tego poematu, jego głęboki

sens moralny poeta przeznacza dla swoich. Duch wieszczą ogarnia ludzkość, ale unosi się tylko nad swoimi—i ich przedewszystkiem ostrzega przed pożarem, ich przedewszystkiem pragnął ocalić! Przypatrzmy się bliżej temu wspaniałemu lotowi. Oto w ludzkości rozgrywa się „Niebos” a komedia“. Nowy czas występuje do walki ze starym. Po obu stronach stają ludzie, którym idzie o śmierć i życie. Jest to walka o byt tych, którzy są głodni, z tymi, którzy się już nasycili. Nim wyraz „walka o byt“ był stworzony, poeta go przeczuł i odgadł. W pierwszym obozie staje demokracja, która ocknęła się ze snu wiekowego i poczuła nagle swą siłę, w drugim—wszystko to, co się zwykle skupia pod sztandarami konserwatyzmu. Duch poety nie jest w żadnym z tych obozów, on się unosi nad nimi, patrzy na nie, jakby patrzyła sprawiedliwość dziejowa, i jest zupełnie gdzieindziej. On sądzi obie strony bez litości, a dowodem tego postacie, które wprowadza i które charakteryzuje, idąc za nim, prelegent. Na czele arystokratycznego obozu stoi hrabia Henryk. Kto to jest? Tytan, półbożek. Ma on twarz bohatera, a duszę poety. Kołysały go tradycje. Po nocach wołał go krzyk „rodowego anioła“ do wielkich czynów... Z ogromnej przeszłości szły na niego jakieś tajemne wpływy, jakieś fale. To, co zmarłe, zmartwychpowstawało w jego fantazji i otoczyło go tak silnie, że stał się człowiekiem,

który ciałem żył na ziemi, duszą w grobach. Świat rzeczywisty, świat kupców, rzemieślników i fabrykantów—zbrzydził mu, więc stworzył sobie inny, pełen gotyckich zamków, katedr, światła i uroczych cieni. Jednym słowem, żył fantazyą, która wkrótce zawładnęła jego rozumem i wszystkimi władzami duszy. Chciał widzieć wszystko poezją i samego siebie poetycznym. Bo fantazyja jego zwracała się również i na siebie samą. Dziwny objaw. Prelegent zwraca tu uwagę na pewien stosunek między Hamletem a hrabią Henrykiem. Pierwszy staje się niezdolnym do czynu z powodu nadmiaru refleksyi, drugi z powodu fantazyi. Hamlet tak rozważa, tak rozpatruje z każdej strony fakt życiowy, tak wątpi, czy go już ujrział w świetle prawdziwym, że tylko rozważa, a tymczasem życie niesie jego bierną łódź, gdzie chce. Hrabia Henryk popada w straszny nałóg szukania przedewszystkiem form poetycznych w tem, co go otacza—i w sobie samym. Ten nałóg tak wyjaławia jego duszę, że w końcu staje się ona niezdolna ani kochać, ani nienawidzić prawdziwie. Czy spada na niego szczęście, czy nieszczęście—on nie oddaje się ani po prostu ani całkowicie wrażeniu, bo fantazyja jego szuka przedewszystkiem formy poetycznej. Analogia między Hamletem a hr. Henrykiem jest świetnem spostrzeżeniem prof. Tarnowskiego. Obaj są ludźmi, jakby z góry skazanymi na to, by zabiła ich rzeczywistość. Ta niezdolność

życiowa Henryka jest jego przekleństwem, bo z niej płyną i jego zbrodnie. Oto w części I-szej poematu czuwa jeszcze nad nim anioł-stróż. Z ust jego płyną słowa:

„...Pokój ludziom dobrej woli. Błogosławiony pośród stworzeń, kto ma serce—on jeszcze zbawion być może. Żono dobra i skromna, zjaw się dla niego—i dziecię niechaj się narodzi w domu waszym“.

Następuje ślub, wesele. Ona jest mu piękna w osłabieniu swoim, w kwiatach, perłach i wstydzie. Ona mu będzie pieśnią. To fantazyja mówi nie serce... Potem, gdy przyjdzie życie codzienne, bez fantastycznych przyborów z pereł, kwiatów i osłabień—on ją porzuci. Żona „dobra“ oddała mu duszę całą, mogła nasycić serce, potrzebę szczęścia, ale nie nasyciła fantazyji—więc oto kona w szpitalu obłąkanych. Wyprosiła tylko przed śmiercią u Boga, by jej syn był poetą, bo ojciec inaczej kochać go nie będzie. Syn jest poetą—i właśnie dlatego widomem przekleństwem dla ojca. Dziecię, gdy mówi pacierz, fantazyjuje. Dziecię to żyć nie będzie, bo jest poetą, cieniem, aniołem, ale nie człowiekiem. Ten ojciec pozostanie bezdzietnym—i chyba dramat będzie mógł układać ze śmierci żony i syna. Kara i potępienie zawieszono nad nim. Syn jest karą dla wyjąłowanej duszy przez fantazyję. Taki to człowiek stanie się w obozie arystokratycznym wodzem walki na śmierć i życie. Dlaczego on?

Bo on wśród tego świata, któremu imię „mori-turi“, jeszcze najlepszy, najwyższy, najbardziej bohaterski. Poza nim tłum hrabiów, książąt i baronów—to tłum tchórzów, obzartuchów, pochlebców, tłum dusz tak właśnie małych, jak wielkie są wypadki, wobec których stać trzeba.

W obozie tym poeta znalazł jednego skaleczonego moralnie bohatera i więcej nic. Ten jeden potrafi umrzeć, jak wielki artysta, ale nie potrafi żyć. I on jeden. Inni—to śledzie, które zginą bez wieści i bez sławy w paszczy rewolucyjnego wieloryba. Żaden najskrajniejszych pojęć pisarz nie obszedłby się tak bez litości z tym obozem, jak obszedł się z nim Krasiński. Uznanie poetyczne Henrykowi, całkowita pogarda innym—śmierć wszystkim. Gdzie sympatia autora? Czy w obozie przeciwnym? Zstąpmy tam. Na czele jego Pankracy. Czy imię to wypadkowe? Czy poeta, jak sam pisze, wybrał je dlatego tylko, że brzydkie? Trudno uwierzyć, gdy w tem imieniu brzmi: panowanie wszystkich. Ale mniejsza o to. Pankracy — to drugi tytan, drugi półbożek. Z twarzy jego bije potęga. „Głos jego przeciągły, ostry, wyraźny, każde słowo rozeznasz, zrozumiesz, ruchy jego powolne, łatwo wtórują słowom, jak muzyka pieśni —czoło wysokie, obnażone —włosa jednego na czaszce niemasz, wszystkie wypadły, stracone myślami —skóra przyschła do czaszki, do liców, żółtawo się wcina pomiędzy kości

i mięśnie, a od skroni broda czarna wieńcem twarz opasują — nigdy krwi, ni zmiennej barwy w licach. Oczy niewzruszone, wlepione w słuchaczy, chwili jednej wzruszenia, pomieszania nie dojrzeć; a kiedy ramię wzniesie, wyciągnie, wyteży ponad nimi, schylają głowy, zda się, że wnet ukłękną przed tem błogosławieństwem wielkiego rozumu — nie serca — precz z sercem, z przesądami etc.“

Tak opisuje go Krasiński.

Profesor Tarnowski, przekładając język poety na prozę, widzi w Pankracym uosobienie logiki, która nie ma litości. Zgniecie ona języczących, nie otrze lzy, bo to sfera inna. Logikę może być tylko logiczną, nie zaś miłosierną, dobrą, cnotliwą, lub kochającą. Logika — to konieczność, to bieg rzeczy i wypadków. Panowanie siły, zguba słabych — to także logika. Brak pocieszenia, ratunku, otuchy — to także logika — uosobienia w Pankracym. On stoi na czele, bo tak być musi. Poza nim w tym drugim obozie tłuszcze: przechrzty nieszczerzy, lokaje, pucybuty, nierządnicę, mord i orgia. Niema myśli, są tylko instynkty; niema pragnień, są tylko apetyty; niema życia — tylko chęć życia. W ogromnych i strasznych zarysach przedstawia się nam ten drugi obóz...

Noc, orgia! a wśród ciemności, dogasających ruin słyhać wrzaski ochryplych głosów: „Bracia moi podli, bracia moi mściwi“ — woła głos jeden. „Obywatele schyleni nad prawidłem w pocie i poniżeniu, glancując buty,

poczuliśmy prawa nasze“—woła drugi. Kobieta krzyczy: „Jestem wolną niewiastą i rozdaję miłość moją“. Podobnie ponurych i posepnych rysów szukać chyba w świecie dantejskim. Jeśli forma Fausta wpłynęła na tę „nieboską komedię“—treść jej przerosła społeczną doniosłością Fausta. Te karty są straszne. Człowiek na nich podobny jest do apokaliptycznego zwierzęcia. Tem to wszystko straszniejsze, że oto przed nami zwycięzcy—i że są to „stare zbrodnie w nowych szatach“. Zarody tego wszystkiego, co ludzkość dusiło, co do jednego tkwią już w tym obozie; zwycięstwo nie przyniesie ulgi, dobra, szczęścia, zmian nawet. Tłum tego nie czuje, ale jest ktoś, co to rozumie. Twarz jego marmurowa zawsze, oblicze nie drgnie, ale pod ową ogromną czaszką wyłagł się twór, który się nazywa niepokój. Pankracy rozumie, że czegoś brak w jego budowie—czegoś może bardzo ważnego. Gdzie to coś jest? Czy nie w obozie przeciwników? Tytan demokracji idzie tam szukać. Chce on poznać tego Henryka, który oto zamknął się w zamku św. Trójcy, gdzie wie, że nie zginie, musi zginąć, ale chce zginąć. Dlaczego? Czy on może zagrzebie ze sobą to coś, czego brak Pankracemu? Nie. Z rozmowy między Pankracym i Henrykiem okazuje się, że wszystkie zarzuty, jakie jedna strona czyni drugiej, są słuszne, ale każda pojedynczo nie umie dowieść racji swego bytu. To, co sobie przeciwstawiają, wygląda na jakieś olbrzymie, wiekowe nie-



porozumienie, ale jaka jest synteza tej tezy i antytezy, ani Henryk, ani Pankracy nie wiedzą, nie rozumieją, nie odgadują. Przepaść się tylko powiększa. Walka musi być śmiercią jednych lub drugich. Jakoż na drugi dzień rozpoczyna się zaciekle, jak nigdy. Zamek pada. Orcio poeta ginie, Henryk rzuca się w przepaść, Pankracy zwycięża.

A teraz co? Czy jedno złe ma zastąpić drugie? czy cały ten poemat to tylko wybuch rozpaczny? Mimowoli każdy, kto przeczytał poemat, spyta, gdzie jest poeta, co nam zostawi jako otuchę?

Jeszcze nie koniec. Pankracy stoi jako tryumfator na szczycie zamku, obok niego powiernik Leonard, gdy nagle ukazuje się na niebie straszne widziadło:

„Jak słup śnieżnej jasności, stoi ponad przepaściami, oburącz wsparty na krzyżu, jak na szabli, mściciel. Ze splecionych piorunów korona na skroni jego... Od błyskawicy tego wzroku chyba mrze, kto żyw...

Leonard do Pankracego:

— Coraz to bardziej rumieniec zbiega ci z twarzy. Chodźmy stąd, chodźmy, czy słyszysz mnie?

PANKRACY.

Położ mi dłonie na oczach, zadław mi pięściami źrenice, oddziel mnie od tego spojrzenia, co mnie rozkłada w proch.

LEONARD.

Czy dobrze tak?

PANKRACY.

Nędzne twe ręce, jak u ducha, bez kości i mięsa, jak woda, przejrzyste, jak szkło, przejrzyste, jak powietrze. Widzę wciąż!

LEONARD.

Oprzyj się na mnie.

PANKRACY.

Daj mi choć odrobinę ciemności...

LEONARD.

O mistrzu mój!

PANKRACY.

Ciemności, ciemności!!

LEONARD.

Hej, obywatele, hej! bracia demokracji, na pomoc. Hej! ratunku—pomocy—ratunku!

PANKRACY.

Galilee, vicisti...

(Umiera).

Komu fantastyczny nastrój poematu zostawił choć najmniejszą wątpliwość co do jego tendencji, co do myśli, temu prelegent układem całości pomógł do zrozumienia jej w całej pełni. Te dwa światy walczące ze sobą walczyły tylko w imię nienawiści, która nie tworzy. Duch poety wyższy nad stronnictwa i partyę unosi się ponad obozami i mówi nam, że nie o to dbać trzeba, by stare zbrodnie w nowe obłóczyć szaty, bo tworzy tylko miłość jedna, której widowym symbolem było zjawisko owo, widziane przez Pankracego. Do wyrównania wiekowych przepaści trzeba do-

brej woli. Poza rachunkiem logicznym, poza walką o byt, poza siłą—jest coś, co się w te kategorie nie mieści, a co wypadki dziejowe chryzmatem prawdziwej ludzkości zna- czy, co świat człowieczy od wierzącego różni. Kto przy tej trzeciej sile stoi, ten przetrwa burze—i usłyszy w przyszłości: pokój ludziom dobrej woli!...

Sala ratuszowa, w której odbywały się lek- cye, przedstawiała w końcu trzeciego odczy- tu niezwykle widok. Jasnowidzenie poety, któ- ry tak uprzednio, a tak wyraziście streścił w potężnych, a krótkich zarysach jakoby dzie- je lat ostatnich, i nierozwiązane a groźne za- gadnienia, na które sami patrzymy,—jasnowi- dzenie to, uprzytomnione wymową prelegenta, wywarło wrażenie czegoś niezwyčajnego. Sam też prelegent, doszedłszy do konkluzyi, do nau- ki, płynącej z poematu, począł mówić z nie- zwykłym zapalem, który z kolei udzielił się słuchaczom. Wzruszenie odbiło się też na wszystkich twarzach—i cały odczyt przybrał charakter prawdziwej biesiady duchowej, z któ- rej dajemy tylko niedokładne sprawozdanie, musieliśmy bowiem dla braku miejsca pomi- nać wiele szczegółów, bądź z charakterystyki artystycznej, dawanej przez prelegenta, bądź z jego wywodów ogólnych.

## Mieszaniny literacko-artystyczne.

Edmunda de Amicis: „Marokko.“ Przekład Maryi z Siemiradzkiej Obrapalskiej, nakład F. Sulimierskiego. T.  
J. Hodi: „Pan Słepy-Paweł“.

Nic rzadszego, jak prawdziwie poczytna księga podróźnicza, podróźnik albowiem bywa albo specjalistą—i wówczas badania i opisy jego dla większości czytelników są niedostępne, albo, co się nader często zdarza, nie umie spostrzeżeń swych wyrażać w sposób artystyczny i wydatny. Człowiekowi, który sam widział pewne kraje i ludzi, każdy opis wystarcza, bo mu widziane przypomina, mało zaś kto potrafi postawić się w położeniu czytelników, którym sam opis musi zastąpić wszystko. Z pomiędzy podróźników, którzy zasłynęli w ostatnich czasach barwnością i jasnością opowiadania jedno z pierwszych miejsc zajmuje Edmund de Amicis. Mamy właśnie przed sobą przekład jego podróży do Marokko, dokonany przez p. z Siemiradzkiej Obrapalską, a wydany nakładem Filipa Sulimierskiego. De Amicis w pierwszym zaraz rozdziale przenosi czytelnika wraz ze sobą na grunt afrykański. Książ-

ka jest składana z notatek, spisywanych widocznie natychmiast, pełno też w niej gwaru, ruchu, życia i tej żywotności, jaką posiadają tylko pierwsze wrażenia. Złe robi ten, kto podróże kreśli ze wspomnień, Zwolna bowiem człowiek oswaja się z otoczeniem, choćby najodrębniejszym i z warunkami, choćby najmocniej odmiennymi od tych, w jakich żył dotąd. Oswoivszy się, nie odczuwa tak mocno, traci zdolność mierzenia faktów i ludzi naszą europejską miarą—i nie zapisuje wielu rzeczy, dlatego, że po pewnym czasie wydają mu się one już normalne, choć wedle naszych europejskich pojęć takimi nie są. Ale de Amicis maluje na razie, dlatego jego wrażenia mają ową pierwszą barwę niewypłowiałą przez czas i niepamięć. Przybywa on do Tangeru i to nagłe przejście z Europy do Afryki opisuje w sposób nader malowniczy. Łodzie, z powodu odpływu nie mogły przybić do samego brzegu, podróżnicy więc musieli się przeprowiać na karkach Arabów. Ten tłum ludzi koloru brązu, dzikich, drapieżnych, wrzeszczących, biegł przez wodę, następnie porwał biednych Europejczyków wraz z ich pakunkami na ramiona. Pannie jechały w ten sposób obok panów.—„Ja sam —pisze de Amicis —odbyłem swój wjazd do Afryki konno na starym Mulacie, z brodą, opartą na jego ciemieniu, z końcami nóg w wodzie“.

Następuje opis Tangeru. Świat to już od-

mienny. Opisy de Amicisa przypominają nam obrazy słynnego francuskiego malarza Beniamina Constant. Tanger ma domy odwrócone od ulic. Długie mury, porozciągane w jednostajne linie proste, rażą oczy oślepiającą białością, którą podnosi blask afrykańskiego słońca. Miasto, z powodu braku okien, wychodzących na ulicę, miałyby głuchy pozór, gdyby nie mieszkańcy. Na ulicach rojno i gwarno. Oko Europejczyka, przywykłe do ciemnych ubiorów i ciemnych barw, przeważających w naszych miastach, nie może się nasycić przepyszną grą kolorów, odbijającą od lśniących śnieżnych murów. Wobec Tangeru i jego mieszkańców—nasze miasta wyglądają, jak koszary wojskowe, w których wszystko podciągnięte jest pod linie, wszystko szare i jednostajne. W samych tylko twarzach ileż odmiennego wyrazu: „chód, ruchy, postawy — mówi podróżnik—i sposób patrzenia, wskazują na ustrój zwyczajów i pojęć całkiem od naszego odmienny, na całkiem inne zapatrywanie się na czas i życie. Tych ludzi nie zdają się bynajmniej obchodzić żadne ich sprawy, ani miejsce, w którym się znajdują, ani to, co się dokoła dzieje. Każdy w wyrazie twarzy ma coś niezwykłego i głębokiego, jak człowiek, pochłonięty jedną nieodstępną myślą, lub sięgający pamięcią w czasy i miejsca bardzo odległe.“ Przed podróżnikiem przesuwały się twarze czarne, białe, żółte i szpizowe; głowy o gęstych, długich włosach i czaszki nagie, bły-

szczące, jakby z kruszcu odkute; ludzie wyschli, jak mumie... są tam oblicza sułtanów, dzikich bojowników, czarnoksiężników, pustelników, zbójów, ludzi złamanych smutkiem olbrzymim, czy nudą śmiertelną, a pośród nich niewielu, albo raczej nikogo z uśmiechem na ustach... Co za odrębność charakteru, co za brak zewnętrznych warunków podobieństwa do wszelkich europejskich. Z góry leją się potoki słońca na głuche miasto, a w mieście ludność fantastyczna, barwna i jakby przygnieciona jakimś brzemieniem, jakby w rozbracie z życiem, zapatrzona w nieskończoność i stęskniona do ciszy grobowej. Na plecach barwne łachmany, w twarzach powaga zmarłych. Oto pierwsze wrażenia. Mogą być one jednak złudne, bo pod tą maską apatyji i nudy wrą namiętności straszne. Nasze są okiełznane wychowaniem, wiedzą, prawem — tamtejsze w porównaniu z naszymi są tak jaskrawe, jak arabskie haiki i burnusy w porównaniu do naszych paletotów. Przedewszystkiem tedy, pod ową maską chłodu i obojętności, kryje się głęboka nienawiść do Europejczyków. Arabowie tangerscy są do nich przyzwyczajeni i boją się ich, a jednak nie mogą częstokroć się powstrzymać. Fanatyzm wybucha przy lada okoliczności. De Amicis widział dzieci dziesięcioletnie, ściskające pięści na jego widok i życzące mu, „aby Allah rozkazał upiec cień jego pradziada“. Pewnego razu jakiś święty, czyli człowiek, mający pomie-

szanie zmysłów, napluł w twarz jednemu z konsulów i nie można było wymóżyć na władzach ukarania fanatyka. Wzburzenia przeciw „giaurom“ manifestują się zawsze, ilekroć odbywa się jakaś uroczystość, ilekroć święci napłyną w większej ilości do miasta. Wówczas ten tłum, zwykle poważny i apatyczny, zmienia się w stado dzikich, rozhukanych zwierząt. Oczywiście im dalej w głąb kraju, tem barbarzyństwo jest widoczniejsze, a życie bardziej pierwotne. Żywot Marokańczyków z wnętrza Marokko nie różni się w niczem, lub mało się różni od żywota dawnych Numidów. De Amicis poznał dokładnie kraj, jeździł bowiem z poselstwem włoskiem aż do Fezu, stolicy Marokko. Po drodze widział wszędzie nienawiść, fanatyzm, apatyę, brudy, lenistwo, nędzę, zdzierstwo i złodziejstwo urzędników i najstraszniejszy ich despotyzm. Poselstwo przeprowadzała znaczna eskorta żołnierzy, inaczej rozerwanoby je w pierwszej lepszej wiosce. Po drodze kreśli de Amicis szereg obrazów wysokiej piękności, trzeba bowiem wiedzieć, że w kraju tym nawet nędza drapuje się w malownicze łachmany, a gra promieni słonecznych barwi tęczowe nawet brudy. De Amicis ma przytem jeden wysoki przymiot literacki, przymiot bardzo rzadki: oto umie kreślić krajobraz. Widzi się to Marokko, czytając książkę: jego faliste wzgórza i doliny wypalone słońcem, pola, posiane kukurydzą, białe „kuby“ czyli domki świę-



tych i duary czyli wioski, z których tłuny brązowych dzieci wybiegają patrzeć na podróżników i życzyć im wszystkiego złego. Opisy są tak przezroczyście, jak atmosfera tamtejsza, która pozwala widzieć najdalsze przedmioty. Fez, święte miasto, hurysa ziemską, jest, wedle autora, stekiem meczetów, łuków maurytańskich, spiętrzonych domów, malowanych w różnokolorowe pasy i błota. Ludność dzieli się na rządzących i rządzonych, czyli obdzierających i obdzieranych, czyli gnębiących i gnębionych. Za to wszyscy są jednakowo leniwi i niechlujni, a przytem zdradzieccy, chciwi, nienawistni, ambitni i apatyczni. Są to na pozór sprzeczności, które jednakowoż godzą się doskonale w charakterze arabskim. Polityka zewnętrzna tamtejszego rządu polega na tem, by czynić jak najmniej zadość żądaniom państw europejskich, wewnętrzna—na wyciskaniu z poddanych pieniędzy i ścinaniu głów nieposłusznym. We wszystkich tych sprawach rząd doszedł do nadzwyczajnej wprawy. Postępu niema w Marokko. Jest to kraj cywilizacyi obumierającej i zdziczałej. Mieszkańcy zdolni są do czynów wyjątkowych, w wyjątkowych warunkach, ale stracili zdolności do spokojnego życia w rozwoju. Mają to do siebie owe cywilizacye wschodnie, że, doszedłszy w pierwszym rozmachu nader wysoko, następnie krzepną. Wytwarzają one siłę, strzelają kwiatem umysłowości, ale

nie wytwarzają drogi, po której można iść i rozwijać się normalnie dalej. Państwa, które zrodził duch Wschodu, po wyczerpaniu zasobów fanatyzmu i siły istnieją dalej tylko na mocy inercyi. Ich niespokojna budowa trzyma się tylko ciężarem, który z góry przygniata warstwy dolne. Mieszkańcy Marokko nie posiadają nietylko zdolności, ale i ochoty do życia. Arabowie, którzy widzieli zapobiegliwość Europejczyków, ich wielkie i wspaniałe miasta, lub którym opowiadano dziwy o kulturze europejskiej, odpowiadali: „urządzacie się tak, jakbyście nie mieli umrzeć“. Pracy dla przyszłych pokoleń nie rozumieją. Gdy Europejczyk przycisnie ich rozumowaniem do muru, odpowiadają, że Allah jest wielki. Przeciw temu nie ma już argumentu.

Książka de Amicisa pisana jasno, przezroczyście i z talentem malarskim, jest jedną z najciekawszych ksiąg podróży, jaką zdarzyło nam się czytać. Specjaliści nie znajdą w niej ścisłych naukowych materiałów, ale czytelnik znajdzie wiernie pochwycony obraz kraju, ludzi i ich ducha—i sam się przez to nauczy patrzeć—i znajdzie punkt porównania w sądach.

Przekład jest dobry. Małe usterki, na jakie natrafiamy tu i owdzie, mogą być błędem korekty—i dadzą się łatwo w drugim wydaniu poprawić.

Mamy przed sobą dziwną powieść, zatytu-

lowaną „Pan Ślepy-Paweł“. Napisał ją Hodi. Autora poznaliśmy w Paryżu. Jest to z rodu Rusin. Człowiek wykształcony bardzo, rozmyślający, ustawicznie zamyślony, pogrążony w sobie, posepny, — napozór zamknięty, a w gruncie rzeczy nad wszelką miarę uczuciowy. Posiada on pierwszorzędne zdolności. Czytająca publiczność nieraz musiała zwracać uwagę na świetne jego korespondencye z Paryża, których mnóstwo pomieszczał w swoim czasie w Kłosach. Potem zmęczył się i przestał pisać. Zwaliły się na niego liczne nieszczęścia. Miał chwilę zmierzchu i melancholii, co się odbiło w jego pracach, które stały się zawikłane i ciemne, ale potem przyszedł do równowagi. Pierwszą jego większą beletrystyczną pracą jest „Pan Ślepy-Paweł“. Powieść ta, drukowana w „Gazecie Polskiej“, wyszła teraz w osobnej odbitce w wydaniu gebethnerowskim. Jak żyję, nie spotkałem powieści, w którejby tyle materiału myślowego zużyto — do dość powszedniego i nader małego obrazka. O cóż bowiem chodzi? Pan Ślepy-Paweł opowiada dzieje swej młodości. Rusin, pochodzący z unickich księży, był wychowany przez dwór miejscowy i razem z synem dziedziców wsi wysłany na naukę. Pan Paweł był zdolniejszy: uczył się lepiej, stąd uzyskał pewną przewagę nad towarzyszem. Zwolna przyzwyczaił się do te supremacyi i uważał ją jakby przynależne sobie prawo. W tych warunkach obaj młodzi

doszli do uniwersytetu. Ale zmieniło się wszystko, gdy „stary pan“ umarł. Wówczas Dyonizy odziedziczył majątek i zajął względem Pawła de facto inne stanowisko. Pan Paweł, a z nim autor robią wszystko, co można, by okazać, że ta zmiana pozycji nie dotknęła ich miłości własnej—i że jeśli stosunki z Dyonizym ochłody, to była wina Dyonizego, ale im się to nie udaje. Pan Paweł nie jest takim, jakim chce mieć go autor. Jest on drażliwy, opryskliwy, pełen miłości własnej—i niewyrozumiały. Siebie ma na względzie zawsze i do siebie wszystko odnosi. Jest przytem bezwzględny, jak każdy człowiek, który własne ja podniósł do wysokości zasady. Te jego przymioty okazują się w rozwoju powieści coraz wyraźniej. Obaj z Dyonizym wracają na wieś. W drodze rozpoczynają się już między nimi kwasy. Paweł burzy się przeciw Dyonizemu—i czyha podejrzliwie przez drogę na wszelką sposobność, by dowieść sobie, że Dyonizy inaczej go traktuje. Po powrocie stosunki rozdrażniają się z powodu rachunków i pewnej Mici, księdzowej kuzynki, która jest ładną dziewczyną. Pan Paweł kocha tę dziewczynę w sposób sobie właściwy, to jest w sposób wyłączny, zawistny, urażliwy. Dyonizy umizga się do niej. Oto zawiązanie, z którego ma wynikać dramat. Jest to zwykła życiowa historia, z której czytelnik spodziewa się wyniku zwykłych życiowych zda-

rzeń—smutnych lub wesołych, ale nie nadzwyczajnych. Tymczasem dzieje się nadspodziewanie inaczej. Micia odpowiada chętniej umizgom Dyonizego, niż wielkiemu uczuciu Pana Pawła. Jest to parafialna gąska bez polotu, bez wyższej kultury moralnej i umysłowej. Autor chce i usiłuje uczynić ją poetyczną, młodą, ale ta nimfa pozostaje wbrew woli tylko rubensowską pięknoscą, to jest tyle warta, ile warta jej młoda krew i hoże ciało. Ale „Pan Paweł“ ją wybrał—i wnet stała się dla niego tak wielką, jak jego egoizm. Nie stała się jednak ani wielką, ani niezwykłą dla czytelników. Nie umie ona nawet wzbudzić ich sympatii—i dlatego nikt nie odczuwa dlaczego taki straszny dramat leży dla pana Pawła w tem, że ona nie jego kocha. Jest to wielka wada tej powieści. W życiu, w naturze, taki pan Paweł mógł cierpieć z tego powodu, ale w powieści—to nie dość. W powieści i czytelnicy muszą cierpieć z nim razem, muszą odczuwać jego zawody, rozpacz, bo inaczej cóż ich może cała powieść obchodzić. Sprawa przedstawia się po prostu, jako „trop de bruit pour une omelette“. Cóż się bowiem dzieje? Oto Dyonizy umizga się—nimfa parafialna uśmiecha się, a Paweł? Ten do rydwanu swojej rozpaczy zaprzęga cały świat: bogów, ludzi, całą naturę, całe otoczenie.

Chodzi po nocach, filozofuje, rozpacza, nie widzi, przepada, waryuje —zabija... Jest tego

wszystkiego za dużo. Użyto olbrzymiego aparatu dla wywołania małych skutków. Autor wepchnął tyle refleksyi, tyle materiału myślowego w tę prostą powszednią sprawę, że niema żadnej proporcji między ważnością samej sprawy a tą masą środków. Starczyłyby one na dwudziestu Otellów —zwyczajny pan Paweł i zwyczajna Micia giną pod tą masą przyborów tak dalece, że ich nie widać. Psuje to zupełnie harmonię estetyczną opowiadania. Oto góra jęczy i rodzi! Myślicie: urodzi smoka. Wcale nie: niewyhrycką mysz. Jest w tem coś śmiesznego. A przytem to, co stanowi typową stronę miłości i tych bólów, które się rodzą, gdy serce sercu nie odpowiada, to, co znaleźć może oddźwięk, jako ogólnie ludzkie w duszy czytelnika, ginie tu zupełnie dlatego właśnie, że autor nadał jakieś nadzwyczajne cechy uczuciu tego pana Pawła. Autor starał się pogłębiać i pogłębiać swoją pracę, aż zstąpił do takich głębokości, w których zaczyna być ciemno. Pan Paweł za wiele filozofuje. Czytelnik chce bezpośrednio odczuć, jak biją serca i pulsa ludzkie w uczuciu, a zamiast tych bezpośrednich wrażeń dostaje analizę—i to ekscentryczną analizę. A często także: frazes, którego prawda nie szuka i którym się nie wypowiada. „Kocham Micię—mówi pan Paweł—jak chłop ruski i jak Michał Anioł!“ Mimowoli przychodzi ochota spytać: a szczo heto? Proszę teraz wyrobić sobie ja-

kiekolwiek wyobrażenie o tej miłości. Hryć i Michał Anioł! jaka jest jego synteza? Pan Paweł ma jedną wadę: oto podnosi siebie, swoje ja, swoje uczucia do takiej potęgi, na jaką czytelnik zgodzić się żadną miarą nie może.

Wiemy tylko, że podczas gdy Dyonizy wieczorami umizga się—tamten kraży między rzeką, cmentarzem, cerkwią i rzy w ciemnościach. Nie jest on jednak demoniczny. On ma tylko niesmaczny charakter i jest nadzwyczaj wielomówny. Dyonizy jest tuzinkowym charakterem, ale ma wiele cierpliwości. W całej powieści widzimy zupełny brak prostoty i jakby jakąś tłumioną niechęć do rodu Dyonizych. Ale ponieważ pan Paweł ją ukrywa, nie chcemy i my jej tykać. Jest to dziwny utwór — całe to opowiadanie. Słyszałem, jak ktoś mówił: „co za szkoda, że tak doskonale pisana powieść, jest tak źle napisana“. Niema w tem gry wyrazów, ale zupełna prawda. Pojedyncze rozdziały, brane osobno, mogłyby stanowić ozdobę niejednej powieści,—złożone razem, dają całość przeladowaną, antypatyczną, przestylizowaną, przerafinowaną. Autorowi nic się nie udało. Chciał mieć ślepego Pawła sympatycznym — Ślepy Paweł jest niesmaczny; chciał mu przyznać słuszność—czytelnik mu jej nie przyznaje. Materiał, prawdopodobnie brany z życia, wydaje się nieprawdopodobnym, może właśnie dlatego, że niemasz w nim nic ogólnego, że przeszedł do



powieści in crudo. Autor wypowiada niejedną głęboką myśl, ale w powieści studyum psychologiczne nie jest głębokie. Pod względem artystycznym opowiadaniu brak plastyki... A jednak nie jest pospolicie pisany ten „Ślepy Paweł“... Szkoda tylko, że Hryć zginął w sukni Michała Anioła, jak mucha w morzu,—bo też kudy Rzym, a kudy Niewyhrycze!

*Słowo.* R. 1882. № 58.

---



## ✓. Hołd pruski.

Obraz  Jana  Matejki.

Zaledwie rozeszła się wiadomość o wystawieniu „Hołdu pruskiego“, już tłumy mimo najokropniejszej pogody śpieszą, by obejrzeć najnowsze dzieło Matejki. Pod względem ducha przeciwstawia się ono zupełnie Grunwaldowi, chociaż stoi z nim w historycznym związku. Grunwald, to tytaniczna walka ścierających się ze sobą na śmierć i życie potęg olbrzymich.— Hołd to tryumf narodu nad wrogą sobie potęgą, a zarazem wspaniała średniowieczna uroczystość, pełna spokoju i majestatu. — Na wzniesieniu, ustawionem na rynku krakowskim, siedzi król Zygmunt Stary w otoczeniu Tomickich, Firlejów, Górków, Gasztołdów, Tarnowskich, Ostrogskich, Szydłowieckich i Kościeleckich, a unóg króla klęczy Albrecht Brandeburski, składający przysięgę wierności z Prus królowi i rzeczypospolitej. Nic wspanialszego nad to zebranie, którego powadze i majestatowi ustąpićby musiał nawet senat rzymski. Na błękitnym niebie widać wieże kościołów,—nad wzniesieniem w powiewie wiatru sze-

leszczą chorągwie: niższa, pruska, z czarnym orłem, pochyła się przed tryumfującym karmazynowym sztandarem polskim. Przepych barw i pontyfikalnych strojów oślepią oczy widza. Król w kapie złotej, hołdownik w płaszczu książęcym i pełnej błyszczącej zbroi, po której biegają błyskawicą odblaski złota i purpury, panowie w aksamitach, piórach i klejnotach—wszystko wspaniałe, świąteczne, tryumfalne. Odgłos trąb miedzianych, brzęk złota, rzucanego przez podskarbiego między ciżbę ludową, przerywa ciszę, wśród której zdaje ci się, że słyszysz uroczyste słowa przysięgi na ewangelię. Twarze są poważne, przejęte wielkością tego, co się rozgrywa w ich oczach. Zrozumiesz łatwo, że te barwy, pióra, chorągwie, to świetne zgromadzenie, to nie zwykły jakiś obchód, ale że to dzieje spełniają się przed tobą.

Obraz jest wielki, bo natchniony tu artysta odczuł i wielki wypadek dziejowy, i życie ówczesne, i chwałę narodową, a oddał z potęgą i mistrzostwem. Z tego powodu mistrzowski ten obraz z jednej strony zadowala do najwyższego stopnia uczucia artystyczne, z drugiej budzi uniesienie, którego podstawą jest duma z tej wielkiej, wspaniałej przeszłości. Nie masz żadnej wątpliwości, że ci historycy, którzy twierdzą, że ten hołd pruski nie był aktem rozumu politycznego, mają słuszość. Zakon był zniszczony i sam się rozkładał, jak ciało umarłe.—Albrecht, przyprowadzony do rozpacz<sup>y</sup>, nie

miał już żadnych środków ratunku, ani widoków pomocy. Było zatem zgodniej z powagą wielkiego państwa, bezpieczniej i patryotyczniej zgnieść drapieżne gniazdo, zdobyte takim nakładem krwi i poświęceń, wcielić zakonne posiadłości całkowicie do Polski, owoładnać ujściem Niemna zarówno jak Wisły i otworzyć okno krajowi na przestrzeni Bałtyku.

Sekularyzacya Albrechta, utworzenie hołdowniczego księstwa, popieranego siłą Brandeburgii, było zarodkiem niebezpieczeństw na przyszłość, które, niestety, aż nadto się spełniły. Tak zresztą rozumiał to i artysta, umieszczając w pobliżu króla Stańczyka, którego bolesna zaduma i smutek, przeciwstawiają się widocznie ogólnemu nastrojowi. Ale mimo tego wszystkiego, mimo słuszności, jaką przyznajemy historykom, i zdrowego poglądu autorskiego, niezmienionego przez sam fakt hołdu,—w dzisiejszych czasach i w dzisiejszych okolicznościach, ten Brandeburczyk, klęczący na rynku krakowskim, przed majestatem jagiellońskim, i ten mistrzowski obraz hołdu jest wskrzeszeniem dawnej chwały i dawnej wielkości. Tak też tylko, a nie inaczej, możemy patrzeć na owo najnowsze arcydzieło. W ten sposób ma ono w sobie dla nas nieprzeparły czarodziejski urok. Żywemu uczuciu miłości daje ono podstawę—i mówi—kochaj, bo to wielkie, wspinałe, dobre i sprawiedliwe. A cóż słodsze,

jak, kochając nad wszystko, być przekonanym, że się słusznie kocha. Zaiste, dziś niewyczerpane w tem źródło ulgi i otuchy. Lecz to nie koniec. Koło fortuny toczy się w ten sposób, że każde jutro odmienny i zgoła różny od wczoraj przedstawia widok. Może to nie tak bardzo dziwnego, że ówcześni ludzie nie domyślali się, jaki koniec weźmie dzieło grunwaldzkie, skoro i obecnie nawet, gdy kto się zapatrzy w arcydzieło Matejki, takie prawdziwe, takie rzeczywiste, to mu się zdaje, że po tem wczoraj wiekowem, dzisiejsze czasy; dzisiejszy stosunek wasala do dawnego suzenera jest chyba snem tylko.

Pod obrazem jest także podpis: „si Deus nobiscum qui contra nos“.

O technicznej stronie tego arcydzieła możemy to tylko powiedzieć, że budzi ono podziw i zdumienie w publiczności i w malarzach. Najsurowsi krytycy nie mogą dopatrzeć plamy na tem artystycznym słońcu. Jakoż nigdy dotąd nie posunął wyżej Matejko sztuki malarstwa. Wspaniały styl obrazu, potężna charakterystyka figur, siła kolorytu i harmonijność linii idą tu w zawody. Dzieło to można porównać chyba tylko z największymi stylowymi obrazami malarzów włoskich. Zarzucano dawniej niejednokrotnie Matejce brak przestrzeni i powietrza.—Hołdowi i tego zarzucić nie można—słowem, krytyka zmuszona jest nie krytykować, ale podziwiać, do jakiego stopnia dojść może sztuka układu postaci, rozma-

tość linii, przepych kolorytu i wykonanie wszystkiego.

Podnoszą się już głosy, zupełnie słuszne, że obraz ten powinien zostać w kraju, a raczej wzbogacić muzeum krakowskie.

Tak jest, dla obcych ma on tylko znaczenie arcydzieła pędzla, dla nas podwójne.

Czy zakupno jego ma przyjść do skutku drogą składek, rozstrzygać w tej chwili nie będziemy, przyjdzie nam bowiem poruszyć jeszcze niejednokrotnie tę sprawę.

*Słowo.* R. 1882. № 110.

---

## Krytyka. Sprawozdania. Bibliografia.

„Z przeszłości Polesia kijowskiego“ Opowiadania historyczne Dr. Antoniego J. Wydanie Red. Bibl. Warsz. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1882.

Opowiadanie to dzieli się na dwie części; w pierwszej części obznajmia czytelnika z dziejami szlachty okolicznej w Owruckim powiecie, w drugiej—mówi o Kozakach na Polesiu kijowskiem w końcu XVII w. Po bitwie nad Irpenią w r. 1320 kraj przeszedł we władanie Litwy, później za Rzeczpospolitej powiat Owrucki należał do województwa kijowskiego. Dzieje szlachty szły trochę odmienną koleją w tamtych stronach, przez długi czas bowiem nie była ona tak niezależna, jak w innych ziemiach Rzplitej. Ziemianie tamtejsi pochodzili od bojarów ruskich,—ci zaś, swego czasu, dzierżąc ziemię od księcia, obowiązani byli do powinności względem osoby „hospodarza“ i względem zamku. Te prawa gospodarskie przeszły na wojewodów kijowskich, następnie zaś na starostów owruckich. Stąd zrodził się niejasny stosunek. Z jednej strony bojarszczyzna, władająca ziemią, siłą rzeczy zajmowała ogólne stanowisko

szlachty polskiej,—z drugiej starostowie wiecznie rościli pretensye do powinności, jakie się prawnie zamkowi od dzierżących ziemię należały. Dało to początek do nieustających sporów i spraw, o których królowie stawali zwykle po stronie szlachty, choć prawo było za starostami. Spory przetrwały do końca XVII wieku i historia ich jest zarazem historią rodów tamtejszych. Chcąc zrozumieć dość zawiślany charakter owych sporów, należałoby go sobie tłumaczyć zasadniczem przeciwstawieniem dawnych feudalnych stosunków rusińskich z allodyalnymi polskimi. Bądź cō bądź rody bojarskie coraz silniej przyswajały sobie znaczenie i stanowisko szlachty. Autor opowiada ich dzieje nader szczegółowo i nader zajmująco. Zna ona tę, że tak rzec można, nieoficyalną stronę historyi wybornie i włada niewyczerpanym materiałem archiwalnym. Poza sporami ze starostą życie owych rodzin było początkowo dość jednostajne. Wyznawały one niezjednoczony obrządek, w czem nikt im nigdy nie przeszkadzał, i żyły cicho w lasach lub na ostrowach, położonych wśród rzek i bagien. Światło kultury łacińskiej dochodziło tam nader wązkim promykiem. Owi szlachta-bojario- wie nie umieli ni pisać, ni czytać i od chłopów różnili się jedną fantazją, wybujałością i majątkiem. Bliskość szlaków wyrodziła w nich wojowniczy charakter, w czasie napadów chronili żony i dobytek na ostrowy, sami zaś stawali ochotnie na każde wezwanie hetmańskie.

Dopiero wojny Chmielnickiego sprowadziły na ów zapadły kął szereg niepowetowanych klęsk. Kozacy nie oszczędzali bynajmniej jednowierców, którzy częścią wyginęli, częścią przenieśli się w głąb Rzplitej. Był czas, że w całym Owruckiem nie powstał ani jeden ziemianin. Czasy spokoju nieprędko już wróciły. Dalszy ciąg tych dziejów opowiada autor już w drugiej części, noszącej tytuł: „Kozacy na Polesiu kijowskiem“. Gdy po traktacie Buczackim kozaczyzna się rozdarła, począł ją niejako tworzyć na Polesiu Sobieski. Król chciał wynaleźć nową siłę przeciw Turkom, a prawdopodobnie i założyć fundament nowej wiernej kozaczyzny — i tym celem wydawał tak zwane „listy zapowiednie“, pozwalające tworzyć pojedynczym osobom pułki kozackie. Tym sposobem powstałi Kozacy dymirscy, mający siedzibę w starostwie Dymirskiem, tym sposobem w całym Polesiu formowały się ciągle oddziały zbrojne, pod wodzą śmiałych pułkowników. Ale przedsięwzięcie chybiło celu. Żywiół, z którego król chciał tworzyć ochronę przeciw Turkom, zbyt był burzliwy, zbyt rozkołysany i rozwarcholony po wojnach Chmielnickiego. Pułki te, korzystając z „borosza“, t. j. z prawa wybierania u ziemian kwaterunkowego i żywności, rabował własny kraj, niegorzej Tatarów. Stąd opór zbrojny ziemian i największy w świecie chaos. Bo, gdy i chorągwie hetmańskie, przysyłane na pomoc ziemianom, wybierały „boroszno“ w podobny



do Kozaków sposób,—wytworzyła się nieustająca wojna wszystkich ze wszystkimi. Tak uchodziły całe lata. Opustoszały wsie i miasteczka. Autor podaje cały szereg owych uwierzytelnionych pułkowników, z których bardzo niewiele pojmoowało swe zadanie,—reszta byli to prości rabusie. Jeden z nich, Łączyński, był nawet śmiercią karany. Losy niektórych rodów i osób, nad wyraz burzliwe, są zarazem nader romantyczne. Prace d-ra Antoniego J., same przez się barwne, zawierają nieoceniony materiał dla powieściopisarza historycznego, co zresztą im i naukowej wartości nie odejmuje. Rozpatrując się w życiu prywatnem dawnych ludzi i w szczegółach, które uchodzą oczu innych historyków, autor nasz dochodzi nieraz do ważnych wniosków i wypadki dziejowe ogląda w nieznanem świetle. Oto np. zwraca on uwagę na fakt, że bojarowie owrucy ni rodem, ni wyznaniem nie różnili się od zastępów Chmielnickiego, a jednakże zostali tak dobrze przez owe zastępy starci, jak i wszyscy inni. Fakt ten upoważnia autora do zdania, że cała zawierucha nie była bynajmniej walką narodowości z narodowością, wyznania z wyznaniem, ale straszną walką socyalną, nędzy i pożądań z przywilejem i posiadaniem. I jeżeli nie w zupełności, to w znacznej części niezawodnie było tak, jak twierdzi autor.

## Sprawozdania powieściowe.

„Na tułactwie“. Obrazy współczesne przez J. I. Kra-  
szewskiego. Trzy tomy w jednym. Warszawa, nakład  
Gebethnera i Wolffa. „Do nieznanomej.“ Nowelle z rękop-  
pismu znalezionej przepisał Leopold Mèyet. T. I. Wy-  
dawnictwo E. Orzeszkowej i S-ki. Wilno 1882.

Od pewnego czasu daje się widzieć dziwny  
objaw w sferze czytelniczej. W pismach, czy to  
codziennych, czy tygodniowych, czy miesię-  
cznikach, publiczność żąda powieści, szuka po-  
wieści, a znalazłszy je, niebardzo w niej sma-  
kuje. Jest to jakby rodzaj fałszywego apety-  
tu, który tłumaczyć można w ten sposób, że  
nałóg jeszcze nie ustał, a przesył już się roz-  
począł. Tyczy się to zwłaszcza większych, kil-  
kutomowych powieści, na których czytanie zda-  
je się braknąć cierpliwości. Objaw ten zauwa-  
żono powszechnie u nas i za granicą. Żyjemy  
prędko, lubimy czytać prędko, a powszedniego  
życia, które przedstawia powieść obyczajowa,  
mamy we własnych troskach, zawodach i pra-  
ktyce tak dalece dosyć, że w literaturze stra-  
ciło ono dla nas interes.

Nowsza też powieść stara się dać coś wię-

cej czytelnikom, niż samo opowiadanie o losach bohatera i o szczęśliwym połączeniu Numy z Pompiliuszem. Usiłuje ona stać się albo dziełem sztuki, to jest utworem czysto artystycznym, albo analizą prawd życiowych na zasadzie nauki, albo odbiciem historii i losów całych warstw społecznych, albo nakoniec tem wszystkiem razem. Oczywiście, gdy się ma do czynienia z utworami fantazyi, granice nie mogą być ani ścisłe, ani jasne. Obecnie nie chcemy rozwozдить się nad tem, czy usiłowania dzisiejszych powieściopisarzy są szczęśliwe i wolimy ów przesyt powieściowy tłumaczyć z jednej strony nadmiarem produkcyi, z drugiej obniżeniem się skali talentów wogóle. Jest ich więcej, ale są mniejsze, a stąd i spowszedniałe ich utwory nie mogą budzić takiego interesu, jaki budziły utwory dawnego pokolenia, na których potężna indywidualność autorska kładła właściwe sobie piętno.

Dziś też, gdy czytelnikowi nadsyłają z księgarni pakę utworów belletrystycznych, patrzy on na podpisane pod nimi nazwiska i zaczyna od Kraszewskiego, odkładając mniej znanych na czas, w którym już nic innego nie będzie do czytania. Oczywiście i między powieściami Kraszewskiego bywają wielkie różnice: jedne są wykończone i wyszlifowane, jak drogie kamienie, inne kreślone szkicowo bez wycieniowania konturów. Ale samo nazwisko daje już czytelnikowi gwarancję, że znajdzie utwór nierobiony wedle modły, wzorów, nie konwencyo-

nalną powieść, malowaną przez patrony, ale rzecz bezpośredniego uczucia, bezpośrednioj obserwacji, oryginalnej myśli i jeśli rzecz tak można, herbu swego własnego, to jest taką, na której dusza ludzka odcisnęła swe indywidualne piętno.

Ten subiektywny charakter dopełnia w niepospolity sposób obiektywna strona utworu. Z rysów, rzucanych od niechcienia, z ową łatwością, która Bóg jeden wie, jak dla innych jest trudną, składa się całość uderzająca taką prawdą, iż odbijają się w niej twarze całych warstw społecznych. Oto mamy przed sobą powieść „Na tułactwie“. Rzecz dzieje się w r. 1865, gdy kraj nie był jeszcze zupełnie spokojny. Podstępny szwagier, pan Kosucki, wmawia w brata swej żony, Małdrzyka, że grozi mu niebezpieczeństwo, i usiłuje skłonić go, by opuścił kraj na czas nieograniczony.

Przed wyjazdem, jednak Małdrzyk, by zapewnić los jedynaczki córki i uchronić majątek rodzinny, sprzedaje go symulacyjnie p. Kosuckiemu, sam zaś udaje się do Drezna. Czytelnik łatwo zgadnie, że Kosucki skorzysta z łatwowierności Małdrzyka i majątek sobie przywłaszczy, dawny zaś właściciel pozostanie bez środków do życia. Jakoż tak się stało.

Powieść opowiada właśnie o losach Małdrzyka w Dreźnie, w Paryżu i w opłakanym

powrocie do kraju przez Poznańskie i Galicyę. Małdrzyk należy do tego gatunku ludzi, o których Słowacki mówi: „dobrzyby z nich byli ludzie w szczęściu“. W nieszczęściu, w ubóstwie, w oderwaniu od rodzinnej gleby, bohater nasz nie ma dość hartu duszy, dość woli, dość energii, dość zasobów życiowych. Szlachcic ten w swoim Lasocinie był uczciwym, zacnym, uczynnym, pogodnym, nie był ni pracowitym, ni próżniakiem. Wedle roli chodził nie jak Niemiec, ale jak prawdziwy szlachcic, który, zrobiwszy, co można, powie sobie: „jakoś to będzie“,—a resztę złoży na Opatrzność! Był on ostatnim z rodu Małdrzyków, herbu Wąż. Ongi bywali oni senatorami Rzplitej, więc pan Floryan, mimo iż był człekiem oświeconym, czytającym, a może i trochę sceptycznym, nie mógł potłumić w sobie jakiegoś mimowiednego przekonania, żeć samej Opatrzności zależy coś na tem, by ostatniemu Małdrzykowi nie było nadto źle na świecie. Tej niepokonanej wierze o stosunku Małdrzyków do Opatrzności obronić się nie mógł. Zresztą życie w Lasocinie dawało jej fundament. Było p. Floryanowi tak dobrze na ojcowskim zagonie, tak wygodnie, tak za możnie i tak bez zachodów łatwo, jakby zaiste sama Opatrzność nad nim czuwała. Bóg błogosławił, a ludzie kochali za serce, bo serce było złote. Głowa także niby niezgorsza. Jenno serce i głowa z tak miękkiego metalu, że ów

metal pod uderzeniami nieszczęść nietylko się giał, ale topniał. Safundulstwo, dobrowolność, brak umiejętności stosowania się do warunków życia i niezaradność sprawiły to, że ten człowiek o złotem sercu wszedł na pewne pochyłości za granicą. Podtrzymywał go energiczny przyjaciel, homo novus,—ale podtrzymać nie mógł. Małdrzyk upadał zwolna—nie, żeby miał podłych czynów się dopuszczać, ale tracił na ambicyi, na fantazyi—i na godności sławnej. Był, jak łódka bez steru, którą wiatr niesie, gdzie chce. Twarde życie obezsilalo go,— zamiast hartować. Praca wydała mu się karą. Przyzwyczajenia pańskie zostały. Był to zawsze pan na Lasocinie,—choć często miewał krzywe obcasy. To też namęczył się, naznosił upokorzeń, naczynił niepotrzebnych ustępstw własnym wadom i ludziom,—wreszcie wrócił do kraju i straciwszy ukochaną córkę, ożenił się dla spokoju z jakąś podstarzałą dewotką, co uczyniwszy, popadł pod jej pantofel. Oto cała powieść, kreślona pośpiesznie, szkicowo, z mistrzowską wprawą i bez śladu wysilenia. Małdrzyk, jakby bez woli autora, uosabia i losy bardzo wielu emigrantów, i narodowe wady nasze. Ostatnie pokolenie, choć w niem jeszcze podobnych Małdrzyków nie brak, pod wpływem ostatnich warunków, poczyną się już z podobnych wad otrząsać. Dzięki tym różnym warunkom społeczeństwo wydaje coraz więcej ludzi, którzy, wyszedłszy z twardej szkoły,

wzrósłszy wśród przeciwności, stwardnieli, zahartowali się i umieją sobie sami dawać rady. Ale w tem pokoleniu, do którego należał Małdrzyk, iluż podobnych Małdrzyków? Iluż to ludzi zdolnych do ogromnych jednorazowych poświęceń, nadzwyczajnych jednorazowych wysiłek, ale niezdolnych do wytrwałej organicznej pracy. —ludzi, którzy, nie zapomniawszy niczego, niczego się nie nauczyli. Ale, jeśli za to drugie należy ich potępić, pierwsze zbawia ich pamięć. I dlatego zapewne sędziwy autor, wykazując ich wady, wystawiając ich na widok publiczny, jako przestrożę dla społeczeństwa, mówi o nich z miłością raczej, niż z nienawiścią. Może także, kreśląc te postaci, w których tak jaskrawo wszystkie braki nasze społeczne się rysują, ale którym nie brak i stron prawdziwie sympatycznych, ma na celu dać jeszcze inną przestrożę nadchodzącemu odmiennemu pokoleniu—przestrożę, że trzeba koniecznie i dobrze jest wiele się nauczyć.

Niewiadome nazwisko na kopercie, znane tylko autorowi, trochę łez, westchnień, nieco woni zasuszonych w pugilaresie kwiatów, z przymieszką perfum damskich, dobra doza księżycowego światła, przy którym lubią się przechadzać cienie zawiedzionych kochanków—oto „*Novelle do nieznanjomej*“. Należy jeszcze dodać, że jest w nich wiele elegancji, dobrego smaku i nieco talentu, a obraz będzie zupełny.

Jakom żyw, nie czytałem dawno książki

tak sentymentalnej. W dzisiejszych pozytywnych czasach, w wieku fizyologicznych romansów, jest to dziw prawdziwy, aby ktoś, wiawszy harfę w rękę, zapomniał o świecie bożym i zapatrzony w „nieznajomą“ rozpoczął pod dewizą:

„Had we never lov'd sae kindly —

„Had we never lov'd sae blindly—

„Never met—or never parted —

„We had ne'er been broken—hearted.

Ach!... Słychać naokoło szmery westchnień... i ciche jęki „smutków błahych, wiotkich, kruchych“... Ale że tego w dzisiejszej literaturze niema nadto, że sentymentalizm w małych dozach ma swój smutny wdzięk, więc owe listy można czytać bez ckliwości, pod warunkiem, że drugi tom będzie na inną nutę. Pierwsza nowella jest ilustracją tematu: „On pojechał, on nie wróci“. Wiosna wszędzie roztacza zapachy i uśmiechy. Przed nami park, klomby kwiatowe, rozkwitłe bzy i czeremchy, a wśród tej dekoracyi dwie kobiety.

— Celinko — mówi starsza.

— Słucham, mateczko.

— Pan Adam prosił mnie o twą rękę.

— Pan Adam, o mą rękę?...

Celinka go nie chce; westchnienie podnosi jej stanik.

— Ty myślisz o kim innym, Celinko...

Nowe westchnienie, mdły rumieniec:

— Tak...



On pojechał,—ale wróci.

Odtąd obie będą wybiegać na gościniec i słuchać z biciem serca każdego turkotu powozu. To on! Nie! I tak mijają dnie, miesiące, lata. On nie wrócił. Serce złamane. Koniec!

Na podobny temat zawiedzionych serc i nadziei namotane i inne opowiadania. Biedny guwerner pisał po cichu dramata i kochał siostrę swego ucznia (alle Geschichte!), a córkę bogatego bankiera. Dramat zrobił furorę, i gdy wszyscy pytali o imię autora, biedny guwerner odkrył to imię bankierównie, a zarazem odkrył i serce gorejące ku niej zapalem. Bankierówna go wyśmiała. On odszedł ze złamanymi skrzydły. Znowu koniec. W trzeciej nowelli uczennica wdzięczy się do swego nauczyciela i zmusza go do czytania lekcyi o kokieteryi. Złudzenie! To ona daje mu lekcyę kokieteryi, bo gdys erce pedagoga topnieje pod wpływem czarnych jej oczu, ona w chwili maksimum topnienia przedstawia mu swego narzeczonego. On odszedł ze złamanem sercem. W czwartej nowelli młody górnik przywiózł z za oceanu pieniądze i wierne serce. Pieniędzmi ratował majątek ukochanej, serce chciał jej dać w dodatku, ale „ludzie ci rozeszli się bez pożegnania, a czem dla siebie byli i być pragnęli, nie powiedzieli sobie może tak rychło, może nie powiedzieli—sobie już nigdy.“ Jeszcze złamane serce! Nie więcej szczęśliwy był i historyk Zygmunt. Ten kochał Ninie, Ninia zdawała się kochać jego. Ale

gdy zbadawszy własne serce, wrócił po długiej nieobecności upomnieć się o jej rękę, ona, podobnie jak jej poprzedniczka w Lekcyach kokieteryi, przedstawiła mu narzeczonego. Serce na dwoje!

Opuściliśmy tylko „pocałunek“, gdzie znowu młody malarz doznaje zawodu,—słowem: naokoło zawody, nieporozumienia, złamane serca i popsute szczęście. Mógłby ktoś zauważyć, iż takie rany goją się, takie zerwane struny nawiązują się na nowo, ale autor jest innego zdania. Trudno się z nim sprzeczać, gdyż smutek jego jest szczerzy, może się zresztą przez zawód miłosny niejedno potężne życie zmarnować, tylko, że tych potężnych dusz na świecie niewiele, a że przez smutki miłosne przechodzą wszyscy, że każdemu studentowi po zdradzie Nini lub Loli świat wydaje się czarnym, jak sadze w kominie, przeto podobne westchnienia, serdeczne niezgody, smutki i rozpacze naogół bywają istotnie blahe, wiotkie, kruche. Są to słomiane ognie, więc i praca nad nimi, więc i pieśń o smętnem ich zgaśnięciu również musi być blahą. Gdy cała książka na ten wyłącznie temat jęczy, gdy w czytelnika wmawia się, że świat się przewraca, ponieważ Ninia zdradziła Musia, to człek ze zdrowym rozsądkiem powie sobie wówczas: co u licha! przecie oprócz tego bombarduję Aleksandryę. Za wiele westchnień i sentymentów,—każda litera wzdycha, wiersz załamuje ręce, a takie wszystko czule, za aż za czule.

Miłość to wielki temat, ale potrzeba umieć uderzyć w nią z taką siłą, by aż ze wszystkich serc posypały się skry. Potrzeba także być niepospolitym artystą.

Autora niniejszej książki zbawia to, że jest szczery, że sam czuje, że jego sentymta nie są farbowane. Wierzy on istotnie w nieszczęścia, które opisuje. Książka przytem pisana jest wykwintnie. Daje to opowiadaniu świeżość. Całość nie bez talentu. Naturalnie tej delikatnej tkaniny nie można młócić cepem krytycznym. Trzeba ją ostrożnie brać w rękę, by się nie podarła lub nie uleciała, jak pajęczyna, którą niesie najłżejszy wiatr, nawet westchnienie.

Wadą literacką jest, że autor gra ciągle na jednej strunie—na kwincie—i gra piano, pianissimo...

## O powieści historycznej.

Tym, ktrzyby chcieli mi zarzucić, że występując z odczytem o powieści historycznej, występuję zarazem pro domo mea, odpowiadam z góry, że pośrednio—tak jest. Stanowisko piszącego u nas, jak i wszędzie, jest służbą publiczną. Służymy literaturze, a przez nią społeczeństwu. Gdy więc odzywają się zdania, dowodzące, że droga, którą się obrało, jest błędną i wiedzie na manowce, każdy ma prawo wystąpić w jej obronie.

Wszelako nie idzie tu o rzeczy czysto osobiste. Żaden z piszących nie stanie przed publicznością po to tylko, by jej dowodzić, że pisze dobrze. Ale gdy naokół powieściopisarza rozlegną się głosy, że nowsza krytyka odmawia racji bytu powieściom historycznym, więc błądzi, kto je pisze,—naówczas powieściopisarz ma nie tylko prawo, ale i obowiązek odpowiedzieć: „tego rodzaju krytyka myli się —a oto moje dowody.

Ponieważ chodzi właśnie o powieść historyczną, zatem należy mi na wstępie stwierdzić, że zdania, odmawiające jej słusznych pod-

staw, odbijają się o uszy niemal codziennie. U nas, w ostatnich czasach, zabrał głos w tej sprawie Brandes i z właściwą sobie zręcznością przytoczył cały szereg argumentów na dowiedzenie, że powieść historyczna w zakresie literatury jest tem samem, czem „prawdziwa kawa figowa“ w zakresie handlu. Równie jak kawa figowa, dlatego, że jest figową, nie może być prawdziwą, tak powieść, która z natury rzeczy jest utworem fantazyi, nie może być historyczną.

Zanim wrócimy do tego określenia, któremu zresztą przyznać należy, że jest równie dowcipne, jak zręczne, wysłuchajmy całego aktu oskarżenia, jaki ułożono przeciw powieści historycznej, poczynawszy od Gervinusa, skończywszy na Tainie, Brandesie i wielu innych.

Sprawa tyle ma związku z walką rozmaitych kierunków w literaturze i sztuce, że przez to samo staje się do wysokiego stopnia zajmującą.

W literaturze i sztuce, każde niemal pokolenie ludzkie wytwarzało odmienny zwrot, odmienny kierunek, który póty był zwykle uważany za nowy, postępowy i słuszny, póki nie przyszedł następny i nie ogłosił swego poprzednika za starca, zacofańca i kłamcę. Jest rzeczą godną uwagi i to, że mimo doświadczenia wieków, mimo detronizacyi tylu kierunków, między przedstawicielami każdego najnowszego znajdowały się zawsze całe zastępy zapalonych,

głoszących z zupełną dobrą wiarą, że ów kierunek ostatni jest zarazem i ostatecznym, i że literatura, a względnie sztuka, pójdą już raz na zawsze po nowo odkrytej drodze.

Wytwarzało się z tego wiele nietolerancji, ale i wiele dobrego, bo powstawały dzieła szczerze, zrodzone z zapału i głębokiego przekonania, więc mające w sobie i siłę i żywotność—naturalnie o tyle, o ile talent piszącego był mocen zadaniu sprostać.

Przychodziło następnie nowe życie, nowe umysłowe objawy, którym dany kierunek nie mógł zadość uczynić i których nie mógł pomieścić; przychodzili niezdolni twórcy, przemycający swój lichy towar pod najpopularniejszą etykietą; poczynano się tworzenie konwencyonalne i panujący kierunek kostniał, i stawał się suchą formułą, estetycznym przepisem bez życia.—więc przyrodzoną koleją, życie rozdzierało go na strzępy.

Kto się nad ową koleją rzeczy zastanowi, musi dojść do przekonania, że kierunki, zwroty, słowem wszystko, co w danym razie przedstawia się jako nowy krok naprzód, jest tylko odmiennym objawem twórczości, która szuka sobie odpowiednich dróg, względnie do warunków a potrzeb umysłowego i społecznego życia. Kierunków niema złych i dobrych, są tylko takie, jakie w danym razie być muszą, jakie wytwarza życie. Pogląd ten nie jest bynajmniej równoznaczny z nihilizmem literackim.

Bo jeśli niema kierunków złych lub dobrych; są natomiast dzieła złe lub dobre, szczere lub konwencyjonalne, wychodzące z bezpośrednio uczucia i przekonania, lub tworzone zimno, wedle formuły, w których niemoc twórcza zasłania się zychem chorągwanym, zapożyczoną barwą, pokrywającą jakby różem i bielidłem twarz starą i pomarszczoną.

Tem się tłumaczy, dlaczego ze wszystkich czasów i kierunków pozostały dzieła znakomite, które ludzkość pochowała do skrzyń z kosztownościami. Z tegoż również powodu każdy kierunek wiął i kostniał, gdy pod jego sztandarem stanęły hałaśliwe zastępy nieudolnych, które, poczytawszy formę za treść, posunęły go do ostateczności, uczyniły zeń szkolarstwo bez ducha i więzy dla ducha.

W ten sposób, gdy z romantyzmu uciekła dusza, gdy przestał być szczerym, a stał się przy całej swej fantastyczności szkolarstwem, musiał nastąpić zwrot w stronę prawd rzeczywistych. Nastąpiły czasy panowania realizmu. Wprawdzie dzieła, tworzone realistycznie, istniały od najdawniejszych wieków we wszystkich gałęziach sztuki, ostatnie jednak dopiero czasy podniosły realizm do stanowiska teorii artystycznej. Ponieważ w znacznej części było to objawem reakcyi, więc, jak zwykle bywa, reakcyja poszła tak daleko, jak tylko iść mogła—i powstał naturalizm, w duchu którego każda prawda płaska i szpetna wydała się pra-

wdziwszą od każdej podnioslejszej i piękniejszej. Również koniecznym następstwem takiego zapędu w stronę rzeczywistości było i to, że kierunek, który postawił prawdę jako najwyższy ideał, począł ją przedstawiać fałszywie, bo pierwiastki dobra i zła, piękna i szpetoty w innej proporcji występują w naturze i w życiu, niż w naturalistycznych książkach. Chcąc stwierdzić w imię prawdy, że każda wieś pachnie nawozem, opisują ją skrajni przedstawiciele naturalizmu, jakby pachniała tylko nawozem, zapominając, że pachnie także skoszonym sianem. Zresztą w tej chwili jest mi to wszystko jedno—i nie myślę rozstrzygać, czy w przyszłości znajdą się podobne utwory w bibliotekach czy kompostach. Chodziło mi tylko o zaznaczenie, że w twórczości czasów dzisiejszych postawiono prawdę jako najwyższy ideał i że w imię tej prawdy wydawano wyroki na przeróżne literackie rodzaje.

Na powieść historyczną padł z wielu ust wyrok potępiający—i inaczej nie mogło być. Czem ona jest?—pytano—jeśli chce być prawdą, to musi pozostać tylko historią; jeżeli zaś fantazja piszącego zerwie historyczne cugle i nakształt rozhukanego konia poniesie go w krainy nierzeczywiste, to utwór jego będzie historycznym fałszem. Ścisła historia — a zatem nie powieść; powieść — a zatem nie historia!

Między temi dwiema drogami niemasz wy-



boru. Połączenie prawdy dziejowej z fantazją wychodzi tylko na szkodę i prawdy i fantazyi, a z takiego związku mogą się rodzić tylko kalekie dzieci.

Inaczej mówiąc: historyczna powieść—to tylko „*contradictio in adjecto*“. Zamiast historyi, może ona dać tylko surogat historyczny; zamiast złota prawdy —szych zmyślenia. To—kawa figowa, z etykietą tem śmieszniejszą, że czytamy na niej dodatek: „prawdziwa figowa“.

Nawet najgłębsze umysły wygłaszały takie zdania. Że zaś płytkie uczyniły sobie z nich chorągiew, że najgłośniej powtarzają je dziś ci powieściopisarze, którym nie starczyłoby ni wiedzy, ni zdolności do napisania powieści historycznej, to nie wina opinii, z którą liczyć się trzeba i z którą policzymy się w dalszym ciągu tej pracy.

Tymczasem przejdźmy do następnych zarzutów.

Pokolenia ludzkie (mówią przeciwnicy powieści historycznej) zmieniają się tak dalece w ciągu wieków, że w niczem nie są do siebie podobne. Człowiek z czasów przedchrześcijańskich, człowiek z epoki feudalizmu, Włoch z czasów odrodzenia, purytanin angielski z XVII wieku, jakobin z epoki w. rewolucyi francuskiej, i, nakoniec, człowiek dzisiejszy, są to typy pod względem pojęć, wierzeń, wyobrażeń, obyczajów i psychicznego nastroju zupełnie dla się niezrozumiałe. Chcąc poznać i zrozumieć

jakiegokolwiek objawy życia, musimy je obserwować w chwili, gdy się dokonywają.

Człowiek dzisiejszy mógłby w takim tylko razie odtworzyć człowieka z XVII wieku, gdyby mógł go obserwować w jego życiu i działalności. Obserwacja taka jest niemożliwa. Historia nie zostawiła tak szczegółowych materiałów, by one zdołały zastąpić obserwację bezpośrednią, której zresztą nic zastąpić nie może.

Cóż stąd wynika?—Oto, że dzisiejszy pisarz może odtworzyć człowieka lat minionych tylko zewnątrz. Da mu ubiór, zbroję, pióra na hełmie, zwroty językowe, właściwe epoce minionej, ale — na tem koniec. W piersi takiego tworu, pod średniowieczną zbroją, będzie biło nowożytnie serce; w mózgu jego, pod hełmem, będzie myślała nowożytna dusza. A gdybyśmy nawet przypuścili, że będzie to jakiś typ psychiczny, od dzisiejszego odmienny, gdzie jest kryterium na to, że jest to typ prawdziwy? Powieściopisarz, odtwarzający życie dzisiejsze, może zawsze na swą obronę powiedzieć: dostrzegłem, obserwowałem—i oto synteza, oto treść moich obserwacji. Co więcej, czytelnik we własnej duszy, we własnym sposobie myślenia, we własnych spostrzeżeniach, ma gotowy sprawdzian, czy wnioski autora są prawdą, czy fałszem.

Inaczej rzecz się ma w powieści historycznej. Autor ma tu tylko prawo powiedzieć:

„Na podstawach, które mi dała historia — fantazyowałem“, a czytelnik nie ma w sobie żadnego środka sprawdzenia, o ile fantazyja autorska była bliższą lub dalszą od minionej, ukrytej pod kurhanami dawnego życia prawdy. Więc oto zamiast człowieka takiego, jakim był w danej epoce, autor daje nam znów jakiś nowożytny, skrzywiony utwór, nie mający duszy, ani o odrobinę więcej staroświeckiej, niżli aktor, grający rolę pierwszego lepszego bohatera czasów ubiegłych. Ty nie masz danych, by prawdę stworzyć—mówi autorowi krytyka; czytelnik niema danych, by prawdę odczuć, więc znów dostaje kawę figową zamiast prawdziwej—i znów figową sprzedano mu z zapewnieniem, że jest prawdziwą.

Słowem—fałsz i bałamuctwo na każdym kroku. Epoce dasz koloryt taki, jaki będziesz chciał, to znaczy nie taki, jaki miała. Pod względem psychicznym, jeśli nie masz taletu, wytworzysz manekiny, dobre do tego, by na nich porozwieszać średniowieczne stroje, a równie martwe i sztuczne, jak owe drewniane głowy, na których kapelusznicy wieszają kapelusze. Jeśli masz talent, stworzysz jakies pozory życia i jakichś ludzi, których wartości życiowej, względnie do danej epoki, nie sprawdziłeś przez bezpośrednią obserwację, a do których czytelnik także nie ma klucza. Będą to, prawdopodobnie, mniej więcej, tragiczne lub zabarwne dziwolągi, w najlepszym razie współ-

cześni aktorowie i aktorki, poprzebierani za dawnych rycerzy i damy. Być może, że czynisz to wszystko z dobrą wiarą; niemniej jednak twój człowiek z minionych epok jest fałszem, bo—musi być fałszem.

Następnie zamydłasz prawdę historyczną. Możesz nie przekreślać nawet zdarzeń dziejowych, ale jako powieściopisarz, nie unikniesz jednego szkopułu. Oto nadzwyczaj małym przyczynom przypiszesz nadzwyczaj wielkie skutki. Buckingham, w powieści Dumasa ojca, kocha się w Annie austryackiej. Ponieważ po zwycięskiej wojnie mógłby wrócić, jako ambasador, do Paryża i być blisko ukochanej, przeto wypowiada wojnę, pomaga Hugonotom, obleżonym w Roszelli, rozbudza dawną narodową nienawiść, gotów wylać potoki krwi, zmienić losy dwóch państw. Owóż, czy wielkie zjawiska dziejowe mogą mieć tak blahe przyczyny? Ale dla powieściopisarza niczem to jest kazać się prywatnie zakochać Napoleonowi I-mu w jakiejś pasterce z Pirenejów i tem wytłumaczyć jego wyprawę hiszpańską. Oto gotowy temat i wzór tworzenia powieści historycznych,—wzór zapewne przesadzony, lecz możnaby przytoczyć mnóstwo przykładów, że większość powieści powstaje wedle podobnej modły. Aramis wydobywa z Bastylli sobowtóra, Ludwika XIV, i gdyby nie instynkt d'Artagnana, niewiadomo, czy król-Słońce nie osiadłby w Bastylli na miej-

scu swego rzekomego bliźniaka, a wówczas—co za zmiany! Świat cały inaczejby wyglądał.

Mniejsza o to, że wiemy już, kto był Żelazną maską; ale jakimże przyczynom przypisuje powieściopisarz historyczny, i to jeden ze znakomitszych, tak olbrzymie skutki, w jakie obfitowało panowanie Ludwika XIV? Oto instynktowi kapitana muszkietarów, który prawdopodobnie nigdy nie istniał. A dalej: jakie sposoby ma, zwłaszcza mniej wykształcony czytelnik, odróżnić faktu zmyśłone od rzeczywistych, osoby fantastyczne, a tak nieraz przemożnie wpływowe—od postaci istotnie historycznych. Sponiewieranie prawdy dziejowej i bałamuctwo nie może iść dalej. Że zaś powieść historyczna poczytniejszą jest od historyi, — czemże ona będzie, jeśli nie fantazyą, tem szkodziwszą, że nie jest tylko fantazyą, ale posiada w sobie domieszkę dziejową? Oto będzie ogromną propagandą bałamuctwa i fałszu.

Niczego nie uczy, bo zaciera różnicę między rzeczywistością a zmyśleniem; podrywa zasady logicznego myślenia, rozszerza błąd. Ten tylko może się na nią zgodzić, ktoby miał odwagę twierdzić, że fałsz nie jest mniej wart od prawdy i że wszystko jedno, czem się duch ludzki karmi.

Powieść historyczna odrywa ludzi od rzeczywistości życia, odwraca umysły i dusze od nowoczesnych ideałów. Upaja ona wyobraźnię obrazami przesadzonego bohaterstwa, dla któ-

rego niemasz miejsca w dzisiejszym życiu. Przedstawia ona przeszłość lepszą i doskonalszą, niż była, więc przedstawia ją nietylko fałszywie, ale tak jeszcze, że wobec niej terażniejszość wydaje się szarą, zimną, pozbawioną ciepła i światła. Koniecznym tego następstwem jest zniechęcenie.

W warunkach, jakie wytwarza powszechna walka o byt, w której wszystkie siły umysłu i ciała winny być nateżone, w której czujność na wszystko, co się dzieje, nie powinna nigdy, pod grozą upadku, zamykać oczu, powieść historyczna wytwarza półsennych marzycieli, pewnego rodzaju palaczy opium, nie mających ni ochoty, ni energii do walki. Jest przeto powieść nietylko surogatem prawdy, ale czemś gorszem, bo narkotykiem, który odurza i osłabia.

Oto są mniej więcej zarzuty, jakie czyniono powieści historycznej.

Piętrzą się one w ten sposób, że powieściopisarzowi historycznemu należałoby tylko złamać pióro i pójść rozpocząć pokutę. Szczęściem istnieją i inne poglądy na całą sprawę. Akt oskarżenia przytoczyłem w formie tak mocnej, jak go spisano. Obecnie postaram się kolejno odpowiedzieć na zarzuty.

Przedewszystkiem — powieść nie potrzebuje przekreślać historycznych zdarzeń. Jeśli autor tak czyni, ujmą spadać powinna na niego, nie na rodzaj, który uprawia. Przypuściwszy na-

wet, że każda powieść zabarwia wypadki dziejowe pewną tendencją, to możnaby zaraz spytać, czy istnieje jeden historyk lub jedna księga historyczna, tak przedmiotowa i bezstronna, aby ludzi lub zdarzeń nie przedstawiała w pewnem oświetleniu? Zachodzą tak rdzenne różnice w poglądach najznakomitszych historyków na największe postacie i czyny dziejowe, że wedle tych różnic Cezar może być warchołem, tyranem, zabójcą porządku społecznego, albo zbawcą ówczesnego Rzymu; Kato—republikańskim wzorem cnót i rozumu, albo upartym i głupowatym kozłem, który nie rozumiał nowego porządku rzeczy. Mówiąc nawiasem, taką opinię ma o nim Mommsen. Nie widzę zresztą potrzeby przytaczać przykładów, choćby ze względu na zbyt wielką ich liczbę; rozumiem tylko, że skoro owe różnice nie uwłaczają powadze historii, tembardziej pewien osobisty pogląd powieściopisarza na czyny dziejowe nie może służyć za podstawę do orzeczenia, że powieść historyczna musi być z natury rzeczy fałszem.

Zdarza się zapewne, że powieść historyczna przekreśla wypadki lub nawet zmyśla je; zdarza się, że to czyni i historia. Wówczas i pierwsza i druga będą kłamstwem. Ale mówią, że powieść przekreślać i zmyślać musi.—Dlaczego? Bo jeśli tego nie uczyni, to będzie historią; więc—albo historia, albo powieść: jedno wyłącza drugie. Czy nie z większą słu-

sznością możnaby powiedzieć, naprzykład, o dzisiejszej powieści fizyologicznej: albo powieść, albo fizyologia? Powieść fizyologiczna co to jest? Fantazya, ożeniona z nauką tak pozytywną, jak fizyologia,—czy to także nie kawa figowa, najprawdziwsza kawa figowa.

Zastanówmy się nad tem pytaniem. Powieść psychologiczna, równie jak fizyologiczna, bierze bajkę zmyśloną, stwarza ludzi, którzy nie istnieli; chodzi więc o to tylko, by charakterów nie tworzono wbrew zasadom psychologii lub temperamentów wbrew zasadom fizyologii. Jeśli powieść tego uniknie, może być prawdą. Równie jak w sylogizmie: „ludzie są śmiertelni, Jan jest człowiekiem.—więc jest śmiertelnym“, staje się rzeczą obojętną, czy ów Jan istniał rzeczywiście, tak i w tych powieściach równie jest obojętnem, czy ich Janowie lub Piotrowie żyli na świecie. Chodzi tylko o to, by nakształt owego sylogizmu byli zbudowani logicznie. Właściwy jednak materiał powieściowy leży poza tą kwestyą i wogóle poza rzeczywistością: wytwarza go fantazya na modłę życiowego podobieństwa: tworzy ona ludzi, wypadki, przeciwności i walki. Miejsce na nią jest; ma się ona gdzie podziąć — i wskutek tego nie staje w przeciwieństwie do logiki, psychologii i t. p.; owszem, wlewa swój materiał w ich formy; słowem — nie przestając być sobą, staje się zgodną z głównemi podstawami dawnej nauki.

Ale jeśli się bierze materiał gotowy, to



jest ludzi i wypadki z dziejów, co wówczas ma do roboty fantazyja i gdzie jest na nią miejsce? Albo się prawdę uszanuje i skreśli się historyę, albo nie—i stworzy się bałamuctwo.

Jest w tem pozorna słuszność, ale—tylko pozorna. Na fantazyę jest tyleż samo miejsca i pełni ona takąż samą służbę w powieści historycznej, jak w psychologicznej. Przedewszystkiem ożywia, przedstawia plastycznie, z przeszłości przenosi w obecność, ukazuje ludzi nie w trumnach, ale w czynach, nie ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma i zamkniętymi oczyma, ale ze światłem w oczach. Historia, odtwarzając wypadki, odtwarza tylko ważniejsze; odtwarzając historycznych ludzi, daje tylko pewne wytyczne z ich życia, między którymi są ustawiczne przerwy. Wypełnić te przerwy jest zadaniem fantazyi. Jest to czynność, równająca się logicznemu odgadywaniu.

Czy jakoweś, stworzone przez fantazyę zdarzenia, czyny, myśli, miały rzeczywiście miejsce lub nie—może być rzeczą równie podrzędną, jak to, czy Consuelo, Jean Valjeau, Giliat, pani Bovary lub Paul Bretigny żyli lub nie żyli na świecie. Chodzi tylko i przedewszystkiem o to, by owe zdarzenia prywatne były logicznie zgodne z barwą i nastrojem danej epoki; by zamiast stawać w sprzeczności z wypadkami dziejowymi i wpływać na nie przewaźnie, czyniły raczej wrażenie pojedynczych rzeczywistych pasemek, z których była utkana materyja owoczesnego życia. Chodzi dalej o to, by przy

wypełnianiu barw między wytycznymi żywota dziejowych postaci wypełnienia owe stały w logicznej zgodzie tak z czynami, jak z ich psychicznem obliczem. Od tych warunków zależy możliwość i prawdopodobieństwo, które w każdej powieści historycznej, czy nie historycznej, jest rzeczą główną, stanowczo ważniejszą, niż autentyczność opisywanych zjawisk.

Widzimy z tego, że proces tworzenia w powieści historycznej i niehistorycznej jest jednaki. Fantazya na tle dziejów znajduje nie tylko pole, ale i dane ogólne autentyczne, na mocy których może odgadywać logicznie i prawdopodobnie zjawiska szczegółowe.

Dodajmy, że powieściopisarz, jeśli nie zawsze jest, to przynajmniej zawsze powinien być obdarzony niepospolitą intuicyją, a może niezaśmiałym wyda się wniosek, że powieść historyczna nie tylko nie potrzebuje być poniewieraniem prawdy dziejowej, ale może być jej objaśnieniem i dopełnieniem. Ona powlecze odpowiednią barwą szare mury, wzniesione przez historję, ona wypełni odpowiednio ich szczeliny, odtworzy na mocy analogii odarte przez czas ornamenta, odgadnie to, co być mogło, wygrzebie, co zostało zapomniane i nie przekreślając zdarzeń dziejowych, może ułatwić ich zrozumienie.

I może, bo odtworzy duszę człowieka lat minionych, jego namiętności, sposób myślenia; pokaże nam go, jak rzekłem wyżej, nie w mroku grobowej krypty, ale w świetle słonecznem.

Co jeśli uczynić zdoła, będzie w całym znaczeniu wyrazu—i powieścią—i historyczną.

Ale—czy zdoła?—Nie!—mówią przeciwnicy —bo prawda jest owocem obserwacji, obserwować zaś nie można ludzi dawno zgasłych.

Przypatrzmy się temu bliżej.

Curier powiedział w swoim czasie: „Dajcie mi ząb zaginionego zwierzęcia, a ja potrafię odtworzyć jego całokształt“. Więc ze szczątków, z podobnych do cieniów odcisków w pokładach kredowych, można odbudować ciało, a z zapisanych na pomnikach myśli i uczuć nie można odtworzyć duszy ludzkiej? Gdzie zaś są takie pokolenia, któreby nie zostawiły po sobie świadectw uczuć i myśli? W jakież zamierzchłe czasy trzebaby na to wracać! Istotnie, niewielkiem ustępstwem byłoby darować je przeciwnikom powieści historycznej.

Ale weźmy czasy nawet tak odległe, jak te, w których rozegrywały się losy Wschodu, Grecyi i Rzymu. Co to za morze nieprzebrane świadectw! Idź np. na Akropol, a zobaczysz, ile tam duszy greckiej siedzi w tych zrujnowanych kolumnach i przecznicach. Zostały więc pomniki architektury, zostały posągi bóstw i nagrobki prywatnych osób, zostały płaskorzeźby z obrazami politycznych zdarzeń i narodowych obyczajów; zostały księgi historyczne, filozofia, epos, tragedia i pieśni liryczne, w których brzmią wszelkie uczucia, począwszy od religijnych i wojowniczych, skończywszy na

skargach rozkochanego serca na obojętność ukochanej. Jeśli to mało, masz komedię polityczną i mieszczańską. Znajdziesz w Arystofanesie krzykaczy politycznych, tak podobnych do naszych współczesnych, że szpony satyry ranią jeszcze dziś, jak dawniej raniły. Masz w średnio-attyckiej komedii dawne mieszczaństwo; masz w Rzymie Plauta i Terencyusza, satyrę horacyuszowską i juwenalową, masz, słowem—wszystko, wiesz, jak ci ludzie modlili się, wierzyli, czuli; widzisz zarówno wnętrze ich dusz, jak wnętrze ich domów i spiżarni. Niechże ci literacka doktryna powie teraz, że nie potrafisz tych ludzi odtworzyć, lub odtwarzając, musisz kłamać. Odpowiesz jej, że w zaślepieniu oszukuje samą siebie.

Zwłaszcza, jeżeli jesteś przytem poetą, jeśli wyobraźnia twoja stawia ci natychmiast przed oczy obrazy, a ty je widzisz tak dobrze, jakby nie w twojej duszy, ale zewnątrz ciebie powstały.

Ta wyobraźnia plastyczna, w połączeniu z Curierowskim darem analogicznego odtwarzania, będzie cię wiodła ze względną pewnością nawet przez takie czasy, które nie zostawiły po sobie tylu świadectw. Annale, które mnich spisywał w celi romańskiego klasztoru, rzucać snop światła w pomrokę wieków średnich. Zdarzenia publiczne, zapisane w nich obok wypadków codziennego życia, nieraz drobniuchnych, odtworzą ci duszę i powszechną i indywidualną. Później przyjdą kroniki, dzieje rozumowa-

ne, pamiątki, zabytki muzealne—wszystko to, razem wzięte, utworzy podstawę, na której, doprawdy, łatwiej budować i odtwarzać, niż na podstawie Curierowskiego zęba. Należy tylko umieć odtwarzać prawdopodobnie i logicznie.

W tem także leży odpowiedź na zarzut, że czytelnik nie ma w sobie kryterium względnie do powieści historycznej. O czytelnikach, pozbawionych daru logicznego, myślenia lub nie posiadających elementarnych wiadomości, niema co mówić; troska o takich byłaby, ze strony przeciwników powieści historycznej, tylko hipokryzyą. Ale przypuścić musimy, że poza tą kategorią każdy czytelnik posiada pewien stopień wykształcenia, a nadewszystko poczucie logiczności i odpowiedniości. Na mocy tego poczucia kontroluje on wszelkiego autora. Gdy idzie o powieść psychologiczną lub fizyologiczną, czytelnik również na mocy tylko tego poczucia orzeka, czy dany postępek bohatera zgodny jest z jego charakterem, temperamentem i t. p. Przy ocenie powieści historycznej sąd krytyczny wspiera się na tejże samej podstawie. Nawet wykształcenie historyczne czytelnika mniejszą stosunkowo ma tu wagę. Niejednokrotnie dopiero sam autor dostarcza czytelnikowi szczegółowych danych dziejowych, ów zaś, wspierając się na nich, sędzi przez poczucie logiczności i odpowiedniości, czy czyny i ludzie, przedstawieni przez autora, dadzą się logicznie ze stanowiska historyi, epoki,

ówczesnych pojęć i wyobrażeń usprawiedliwić.

Że tak jest, niech mi będzie wolno przytoczyć przykład z osobistego doświadczenia. Oto o pierwszej mojej powieści historycznej, między innymi sprawozdawcami i krytykami, wygłaszał sąd nietylko ustnie, ale i piśmiennie, jeden z literatów, z fachu matematyk. Jest więcej, niż prawdopodobnem, a dla mnie zupełnie pewnem przypuszczeniem, że o przebiegu zdarzeń z epoki Chmielnickiego dowiedział się ów piszący nieco dokładniej dopiero z mojej książki. A jednak ogłosił drukiem (mówię to bez żadnej złośliwej myśli) ocenę mego utworu, w której zarzuca mi pewne niedokładności w rozumieniu wypadków, zbyt osobisty pogląd na dzieje, nakoniec rozmaite niezgodności z duchem epoki.

Na mocy czegoż piszący ów wystąpił z własnym sądem, nacechowanym zresztą zupełną dobrą wiarą i w wielu szczegółach niepozbawionym trafności? Oto 1-o na mocy tych podstaw, które w samej książce znalazł i być może naprędce w podręcznikach stwierdził, a 2-o na mocy poczucia większej lub mniejszej logiczności, prawdopodobieństwa i odpowiedności przedstawionych przeze mnie wypadków i ludzi, względnie do ogólnej prawdy historycznej.

Oczywiście, że od wykształcenia krytyka zależy w znakomitej części waga krytyki. Lecz w tej chwili chodzi mi o co innego, mianowicie o stwierdzenie, że owo poczucie, które ka-

zdy ma, stanowi osobiste kryterium i że nikt nie jest zmuszony do przyjmowania za dobrą monetę liczmanów, które podoba się powieści historycznej wsuwać mu w rękę. Skoro nawet czytelnik, pozbawiony historycznej wiedzy, ma w poczuciu logiczności i odpowiedniości pewien probierz prawdy, skoro nawet taki usiłuje odróżniać nuty fałszywe od prawdziwych, cóż dopiero czytelnik, choć średnio przygotowany?

Lecz wracam do głównego pytania: czy jest rzeczą możliwą odtworzyć wiernie i prawdziwie człowieka lat minionych? Wielkiego znaczenia obserwacyi nie myślę podawać w wątpliwość, twierdzą tylko, że badanie bezpośrednich a dokładnych świadectw, jakie zostawiły po sobie minione wieki, może ją w zupełności zastąpić, a poniekąd przewyżżyć. Wróćmy się chwilę w wiek XVII naszej historyi, z którego tyle zostało pamiętników, i weźmy pod uwagę pamiętniki takiego Paska. Twierdzą stanowczo, że większość z nas może, na mocy tej książki, poznać dokładniej istoty pana Paska, niż na mocy naocznych spostrzeżeń głąb istoty np. Bleichroedera lub Rotschilda,—mówiąc inaczej: dokładniej szlachcica XVII w., niż dzisiejszego bankiera.

Oto życie pierwszego leży przed nami spisane z całą szczerością człowieka, który sam dla siebie pisał—oto jest ono skończone—żadne niespodzianki nie mogą w niem mieć miejsca; oto mamy człowieka w wojnie i pokoju, w życiu publicznem i prywatnem, na weselach,

pogrzebach, ucztach, na łowach i przy gospodarce, na tratwach, płynących do Gdańska, w sądzie i gościnie, w kościele i karczmie; znamy jego wierzenia, przesady; wiemy, jakim stylem listy pisał, jakim mu na nie odpowiadano; jak się śmiał, jak się gniewał, jak zajeżdżał w piersi obuszkiem nieposłusznych czeladników, słowem—przeglądamy jego życie nawskroś. Porównywając jego zapiski z zapiskami innych współczesnych, odróżnimy łatwo typowe od indywidualnych i doprawdy żadna najbystrzejsza i najumiejętniejsza obserwacya nie może nam dać dokładniejszego obrazu i jaśniejszego pojęcia. Dodajmy do tego, że rozumiemy tę duszę przez pewien rodzaj atawizmu, bośmy ludźmi tej samej krwi i kości—niech każdy nieuprzedzony sądzi, czy człowiek XVII wieku jest istotnie dla nas nieodgadnioną zagadką?

Twierdzenie, że nie potrafimy odtworzyć człowieka XVII w., jest wobec tego prostym uporem lub prostym zaślepieniem. Próżno będą nam dowodzili, że pod wpływem epoki, otoczenia, współczesnych prądów i t. p. nie potrafimy się oderwać od logiki własnego myślenia. Nasza logika zasadniczo nie różni się od dawnej, równie jak i człowiek dzisiejszy, w podstawach swej natury, nie odszedł tak daleko, jak sądzą, od człowieka lat minionych. Prawa, które ongi rządziły umysłem i sercem ludzkim, rządzą i dziś. Przeinaczywszy słowa Szajloka, możnaby spytać: zali nie kocha-



my, nie nienawidzimy dziś tak samo, jak dawniej; czy nie podlegamy takim samym rozterkom, niepokojom, nie mamy podobnych ambicyi? Zewnętrzne objawy stały się może mniej jaskrawe, lecz dusza ich pozostała jednaka, tak dalece jednaka, że z większą słusnością powiedziećby można: człowiek dzisiejszy i dawniejszy są to istoty różne co do zakresu i jakości pojęć, psychicznie natomiast zbudowane jednakowo i które wskutek tego doskonale się mogą odczuć.

Twierdzą wszelako, że ludzi z lat ubiegłych nie możemy widzieć w ruchu. Krótko odpowiem: albo potomni nasi będą mogli widzieć ludzi, tworzonych przez dzisiejszą realną powieść w ruchu, albo nie — w pierwszym razie i my, czerpiąc w dawnych źródłach, pamiętnikach etc., możemy widzieć ruch — w drugim razie należy wyznać, że literatura wogóle nie może pochwycić ruchu, a zatem i życia. Ale jeśli tak jest, to po co ona istnieje i po co istnieje krytyka, której racya bytu na literaturze twórczej się wspiera?

Lecz wbrew teoryom: Paska się widzi i przypartywać mu się można. Spostrzeżenia nasze, dotyczące się współczesnego finansisty, mogą być nawet bez porównania więcej powierzchowne. Kto nie ma tradycyi handlowej (a mówiąc nawiasem, nie ma jej zwykle literat), ten z trudnością może zrozumieć rozmaite czynniki, grające w duszy człowieka, który tę tradycyę odziedziczył, który urodził się i wycho-

wał w atmosferze, przesiąkniętej namiętnością zysków i zdobywania bogactw, choćby ponad możliwość ich użycia.

Prócz tego, człowiek nowożytny staranniej ukrywa wewnątrz swej istoty; przytem nie leży przed nami w całości, przytem cywilizacja i wychowanie nadają mu pewne cechy ogólne, pod którymi dopatrywać dopiero potrzeba szczegółowych. Obserwacja musi go starannie obskubywać z różnych pożyczonych piór, zanim dojrzy, jaką barwę mają jego własne. Nie myślę przeczyć, że bystry obserwator uczynić to może i potrafi. Przeciwnicy to właśnie powieści historycznej pragną zacieśnić zakres obserwacji.

Idąc konsekwentnie drogą ich rozumowania, możnaby w końcu powiedzieć: literat jest istotą całkowicie różną od finansisty, chłopca, rzemieślnika; różne usposobienia, upodobania, odmienny kształt umysłu, a więc literat nie zdoła nigdy dobrać klucza do duszy finansisty, chłopca lub rzemieślnika. Nic tu nie pomoże jednoczesność tych ludzi, bo obserwując ich naocznie, spostrzeżemy tylko stronę zewnętrzną zjawisk.

Czyżby można wysnuć stąd wniosek, że każdy może pisać tylko o klasie tych ludzi, do której sam należy? Przypuszczam, że na to nie zgodzą się najgorętsi wyznawcy doktryny, potępiającej powieść historyczną.

Jak człowiek dawnych wieków może być odczuty, odgadnięty i odtworzony, doskonały

dowód w tem, że niektóre powieści historyczne (ot, np. p. Soplicy) czynią wrażenie pamiętników, a jeszcze lepszy, istotnie nieprzeparty, że niemal wszystkie prawdziwe pamiętniki, ogłaszane po upływie wielu lat, podejrzewano o podrobienie. Podejrzewać, naprzykład, pamiętniki Paska, że są one płodem wyobraźni nowoczesnego pisarza, jest to oddać najwyższy hołd historycznemu powieściopisarstwu i zerrzeć w proch wszystkie czynione mu zarzuty.

Na tem moglibyśmy poprzestać.

Bo na zarzut, że powieść historyczna musi koniecznie małym, prywatnej natury przyczynom przypisywać wielkie dziejowe skutki — nie warto odpowiadać. Zarzut ten czyniono słusznie Dumasowi. Dlaczego podobało się indywidualną wadę pisarza, zresztą znakomitego, poczytywać za błąd, nieodłączny od całego rodzaju utworów — trudno wiedzieć, może dlatego, by pomnożyć liczbę zarzutów.

Powieść historyczna nie potrzebuje ubliżać prawdzie, zarówno życiowej, jak i dziejowej. Może ona być tak realną, tętnić takim życiem, jak każda, na dzisiejszych stosunkach oparta. Nie należy jednak stąd wnosić, żeby sama znajomość dziejów, poczerpnięta z kodeksów dyplomatycznych roczników, kronik, lub pamiętników, również jak znajomość archeologii, były to warunki, wystarczające do stworzenia powieści historycznej, kipiącej życiem i prawdą. Nie wystarczy na to i talent, choćby sam przez się znakomity i równie zha-

komitą wiedzą poparty. Na mocy tych danych możnaby tylko odbić i rozświecić dawne stosunki dziejowe i prywatne, ale trudnoby było je rozgrzać. Jak pojęcia, dostarczane przez wiedzę, wciela i zmienia w kształty dopiero wyobraźnia, tak kształty, już przez nią stworzone, ożywia i napełnia ciepłą krwią uczucie. Może ono być głęboką miłością pisarza do dziejów swego społeczeństwa; może być tylko rozmiłowaniem się autorskiem w pewnym narodzie, w pewnych formach cywilizacji. W pierwszym razie działać ono będzie potężniej, w drugim mniej potężnie, w każdym jednak będzie uczucie grało niezmierną rolę przy tworzeniu. Bywa ono częstokroć pierwszym powodem tworzenia. Ono porusza wyobraźnię, daje jej niezwykłą moc; ono czyni z niej rodzaj soczewki, która ma dar skupiania wszystkich promieni na jeden przedmiot,—z czego znów wypływa jasne artystyczne widzenie rzeczy. Od niego także zależy rozmach tworzenia, dzięki któremu utwór —jeśli się tak można wyrazić— sam się niejako pisze; od niego wreszcie zależy szczerść, główna podstawa wszystkich dzieł sztuki wogóle i literatury w szczególności.

Im więcej uczucia, tem prędzej różowieje marmur dziejowy. Galatea przestaje być posągiem—pierz jej się podnosi—i ona zaczyna kochać, zaczyna płacić wzajemnością artyście...

Oczywiście, każdy najwięcej ma zamiłowania do tego, co własne. Dlaczego zaś autor w dziejach swego społeczeństwa wybiera taką,

a nie inną epokę —dlaczego niekoniecznie najświetniejsza, najbardziej zwycięska, przypada mu do serca —to jest tajemnicą jego organizacji uczuciowej i artystycznej. Rozprawa nad tem byłaby zbyt długą i przechodzącą zakres tego odczytu. Pozwolę sobie tylko nawiasowo wtrącić uwagę, że wobec tego wszelkie rady, udzielane autorom przez krytykę: jakie epoki i jacy ludzie stanowią materiał najwdzięczniejszy—są prostą stratą czasu, bo autor, jeśli chce być szczerym, pójdzie i powinien iść zawsze za swem własnem uczuciem i artystycznym widzeniem rzeczy.

Nakoniec, jest-li czy nie jest powieść historyczna narkotykiem, który upaja, odrywa ludzi od ideałów nowożytnych i przepelnia społeczeństwo niezdolnymi do czynu marzycielami? Ze stanowiska estetycznego możnaby na ten zarzut nie odpowiadać. Sztuka nie ma obowiązku liczyć się i naprawdę nie liczyła się nigdy z kwestyami pożytku, a gdyby jej nawet dowiedziono, że jest dla ludzkości szkodliwą, nie przeto przestałaby istnieć. Lecz nawet wychodząc z tego stanowiska, byłoby po prostu doktrynerstwem twierdzić, że dany rodzaj literatury jednako działa na wszystkie społeczeństwa, bez względu na ich rozwój, warunki społeczne, polityczne, charakter i t. d. Jasną jest rzeczą, że mogą tu zachodzić różnice olbrzymie.

Doktrynerowie jednak istotnie się z tem nie liczą. Przypominają oni doktora Sangrado

z Gil-Blasa i jego teorię leczenia, którą stosował bez względu, czy kto miał febrę, czy tyfus — czy był stary czy młody, — flegmatyk, czy krwisty. Na polu literackiem spotykamy niemniej często takich doktrynerów. Z ich bezwzględnych teorii wypływa wiele śmieszności, ale i wiele zła i bólu. W imię tolerancji, wprowadzają oni nietolerancję; w imię postępu — zacofanie. W doktrynerstwie literackiem spotykamy ciągle jedno zjawisko: oto z jednej strony pozwala ono na wszelkie skrajności, byle z duchem doktryny zgodne; z drugiej wygłasza isticie dziecinne skrupuły, zarówno przesadzone, jak śmieszne, obawy. Do takich fałszywych i śmiesznych trosk należy i troska o czytelnika, aby, przeczytawszy powieść historyczną, nie oderwał się od nowoczesnych ideałów. Wolno mu oddychać atmosferą „La terre“, owszem, idzie taka gimnastyka na pożytek jego umysłu i nosa, ale powieść historyczna — to haszysz. Kto go raz spróbuje, musi dać gardło w walce o byt.

Jest w tem naprzód fałsz zasadniczy. Powieść historyczna może być złą lub dobrą, fałszywą lub prawdziwą, zależnie od talentu albo moralnych podstaw autora; ale narkotykiem upajającym nie jest więcej od każdej innej powieści, od poezji, od sztuki wogóle. Ze stanowiska utilitarnego łatwiejby było dowieść licznych pożytków, wpływających z powieści historycznej. Pojedynczemu człowiekowi wychodzi zawsze na korzyść rozważanie swej

przeszłości. Ono wyjaśnia mu liczne zjawiska czasu teraźniejszego; uczy go patrzeć genetycznie na siebie i dostarcza wskazówek na przyszłość; uczy unikać zadań, którym nie sprosta, a podejmować odpowiednie. Jeszcze jaśniejsze światło rzucić może obrachunek z przeszłością, gdy chodzi o całe społeczeństwo.

Powieść historyczna maluje zarówno dodatnie, jak i ujemne strony przeszłości, a tym, którzy bez znajomości dziejów, na wiarę innych powtarzają, że tak nie jest, że autor zawsze otacza nimbem daną epokę, choćy dlatego, że ją wybrał i poczytuje za swoją — możnaby opowiedzieć historję o Panurgowem stądzie.

Wogóle krytyka, która zamiast mówić o dziełach dokonanych, wydaje recepty: o czem należy, albo nie należy pisać; która stawia rogatki na drogach ducha ludzkiego — wstępuje sama na fałszywą drogę uroszczeń i powinna być przywołaną do porządku. Przeciwwstawiając swoje powody i powodziki w odtwarzaniu przeszłości wogóle, nie pomyśleli chyba oskarżyciele powieści epicznej o jednej rzeczy. Oto większość tych racyi jest tego rodzaju, że wobec nich nie ostałby się ni Homer, ni wielcy tragicy greccy, ni Wergiliusz, ni Ariost, ni Tasso, ni Camoens, ni Szekspir ze swymi Henrykami, ni wielu nowszych, którzy bądź dramatem, bądź powieścią, sięgali w przeszłość i próbowali ją odtworzyć taką, jaką była. Więc co? Dla konsekwencyi trzeba by powiedzieć: Podobne

bałamuctwa mogli ludzie pisać aż do ery Gerwinusa, Taine'a i t. p. Obecnie ogrzewajmy nie mi łaźnie, jak niegdyś ogrzewano je z rozkazu Omara w Egipcie biblioteką aleksandryjską.

Lecz zanim się w tych łazienkach woda na kąpiel dla krytyków zagrzeje, niechże miłośnicy literatury wybierają między takimi dziełami, a taką krytyką!

Jest po prostu śmiesznem uroszczeniem żądać od samorodnej łąki, w którą nasiona rzuca wiatr boży, by takimi, a nie innymi kwiatami zarastała. W literaturze kierunków i rodzajów nie wprowadzali krytycy — jeno twórcy. „Jam jest pszczołą z Himetu — mówi starożytny poeta — unoszę się nad wonnymi cząbrami gór, siadam, na którym chcę, kwiecie — i zbieram miód mój, skąd chcę“.

Taką pszczołą jest twórczy duch ludzki! Nie da on sobie odjąć swej wolności, zamykać dróg, otoczyć zastrzeżeniami, wtłoczyć się w formułki i przepisy. Sam on sobie zawsze wybierał i drogi i ideały — i przy tych, które pokochał, będzie trwał zawsze.





## Walka byków.

Wspomnienia z Hiszpanii.

Niedziela!

Wielkie afisze, porozlepiane od kilku dni na rogach Puerta del Sol, Calle Alcalá i na wszystkich ruchliwszych ulicach, oznajmniają miastu, że: „si el tiempo lo permite“, w dniu dzisiejszym odbędzie się XVI corrida, w której, jako „espadas“, wezmą udział Cara-Ancha, Lagartijo i przesławny Frascuello.

Otóż, czas pozwala. Zrana padał deszcz, ale już koło dziesiątej wiatr poszarpał chmury, pozbił je w kłęby i przepędził gdzieś hen, w stronę Escorialu. Obecnie ustał i wiatr, niebo, jak okiem sięgnąć, błękitne, a nad Puerta del Sol świeci jasne słońce, takie madryckie słońce, które nie tylko grzeje, nie tylko pali, ale niemal kąsa.

Ruch w mieście zwiększa się, a na twarzach widać zadowolenie.

Godzina druga.

Rynek Puerta del Sol opróżnia się stopniowo, natomiast przez Calle Alcalá ciągną w stronę Prado tłumy ludzi. Środkiem płynie rzeeka dorożek i karet. Cały ten orszak powozów

porusza się bardzo wolno, bo chodniki nie mogą pomieścić pieszych; mnóstwo ich idzie bokami ulicy i tuż koło pojazdów. Żandarmi na białych koniach, przybrani w okazałe mundury i stosowane kapelusze, pilnują porządku.

Znać niedzielę i godzinę popołudniową; ubiory są staranne, nastrój świąteczny; znać także, że tłumy ciągną na jakieś ciekawe widowisko. Na nieszczęście, tłum nie jest wcale różnobarwny. Nie widać tu narodowych strojów, krótkich kaftanów, żółtych à la contrabandista, ze spuszczoneym końcem na plecach, ni krągłych baskijskich kapeluszy, ni pasów, ni katalońskich nożów za pasem.

Można to jeszcze widzieć w okolicach Grenady, Sewilli i Kordowy, ale w Madrycie, zwłaszcza w dniu świąteczne, kosmopolityczny surdut przeważa. Czasem mignie tylko czarna mantyla, upięta na wysokim grzebieniu, a z pod tej osłony czarniejsze jeszcze oczy.

Wogóle twarze są śniade, spojrzenia bystre, rozmowa głośna, gestykulacya nie tak zapalczywa, jak we Włoszech, gdzie, gdy się człowiek śmieje, to wije się, jak wąż, a gdy się gniewa, to zjada daszek własnej czapki—ale jednak żywa i energiczna. Oblicza mają tu rysy ostre i wyraz stanowczy. Łatwo zrozumieć, że nawet w zabawie lud ten zachowa sobie właściwy, wybitny charakter.

Zresztą dnia powszedniego mają to być ludzie. pełni spokoju, graniczącego z lenistwem,

skąpi w słowa i skupięni. Ożywia ich niedziela i nadzieja ujrzenia krwawego widowiska.

Przecinamy Prado i wchodzimy w aleję, prowadzącą do cyrku.

Tłum zbija się jeszcze szczelniej. Tu i owdzie podnoszą się okrzyki. To lud wita pojedynczych członków korrydy, którzy w rozproszeniu ciągną do cyrku.

Oto jedzie omnibus, pełen „kapeadorów“, t. j. uczestników walki, mających za całą broń czerwone kapy, któremi będą uwodzili i drażnili byka. Przez szyby widać czarne głowy z harcapami, przybrane w trójkątne kapelusze. Różnobarwne kaftany kapeadorów wyszyte są srebrnymi i złotymi blaszkami. Jadą omnibusem, bo skromne wynagrodzenie, jakie pobierają za swą niebezpieczną służbę, nie pozwala im na okazalszy pojazd.

Dalej nieco przeciskają się przez tłum konni pikadorowie. Słońce gra na ich białych szerokolistych kapeluszach. Są to mężczyźni atletycznej budowy, ale przytem chudzi i kościści. Wygolone twarze mają surowy i jakby skupiony wyraz. Siedzą na bardzo wysokich drewnianych siodłach, wskutek czego widać ich doskonale nad tłumem. Każdy z nich dzierży w ręku lancę, zakończoną drewnianą gałką, w której osadzone jest żelazne ostrze, nie dłuższe nad pół cala. Bronią taką pikador nie może zabić byka; może go tylko ukłóć lub osadzić przez

chwilę na miejscu; ale w tym ostatnim razie potrzebuje mieć olbrzymią siłę w ramieniu.

Mimowoli, patrząc na nich, przypominam sobie ilustracye Doré'go do „Don-Kichota“. Jakoż każdy z tych jeźdźców mógłby służyć za model do rycerza „smutnej postaci“. Ta chuda sylweta, rysująca się twardo w błękicie, wysoko ponad głowami tłumów, ta stercząca do góry lanca—i ów jasnokościsty koń pod jeźdźcem, ten czysto-gotycki zarys żywych istot — wszystko odpowiada zupełnie pojęciu, jakie wytwarzamy sobie o rycerzu z Manszy, czytając nieśmiertelne dzieło Cervantesa.

Lecz oto pikadorowie mijają nas i rozpychając zwolna tłum, wysuwają się znacznie naprzód. Widać już tylko trzy lance, trzy kapełusze i trzy zahaftowane na plecach kaftany. Nadjeżdżają nowi, tak niezmiernie podobni do poprzednich, jak gdyby pikadorów odlewała, według jednakowej formy na całą Hiszpanię jakaś fabryka. Różni się tylko maść koni, które zresztą jednakowo są chude.

Oczy nasze zwracają się teraz na długi szereg powozów. Niektóre zaprzężone są w muły, ale tak rosłe, piękne i błyszczące, że zaprząg, mimo długich uszu rumaków, nie wydaje się śmieszny. Tu i owdzie dostrzedz można także andaluzyjskie konie o silnych grzbietach, wygiętych szyjach i hakowatych głowach. Podobne widzieć można na obrazach batalistów z XVII wieku.

W powozach siedzi kwiat towarzystwa madyckiego. Ubiory czarne, dużo czarnych koronek na parasolkach, wachlarzach, na głowach kobiecych; czarne włosy poprzycinane w grzywki, z pod których spoglądają oczy, jak gdyby z lawy Wezuwiusza. Żałobne barwy, powaga i puder. —oto cecha charakterystyczna tego towarzystwa.

Twarze kobiet starszych i młodszych zarówno są wytarte pudrem, zarówno białe i zimne. Szkoda wielka. Gdyby nie ów szpetny zwyczaj, cera ich miałaby ten przepyszny gorący ton, na który składają się południowa krew i południowe słońce, a który podziwiać można w twarzach, malowanych przez Fortuniego.

Na przednich siedzeniach powozów widać mężczyzn, ubranych z nieco przesadną wykuintnością; wyglądają oni sztywno i zbyt świątecznie —inaczej mówiąc, nie umieją nosić wytwornych ubiorów z tą swobodną niedbałością, jaka cechuje np. wyższe towarzystwo francuskie.

Ileż murów cyrku rysują się coraz wyraźniej przed nami. W architekturze ich nie masz nic szczególnego. Ogromna budowa, obliczona na to, by pomieścić kilkanaście tysięcy widzów—oto wszystko.

Ciekawszy jest ruch, który panuje pod murami. Naokół czarno od dorożek, powozów i głów ludzkich. Ponad tą ciemną masą, tu i

owdzie, jeździec na koniu, żandarm, albo pikador, wystrzela w swoich świetnych barwach ku górze, jak mak rozkwitły.

Tłum kolysze się, rozprasza i skupia, nawołuje; woźnice krzyczą; jeszcze głośniej krzyczą malcy, sprzedający programy; ci wciskają się wszędzie: między pieszych i konnych, na stopnie i między koła powozu, niektórzy wdrapują się na skarpy cyrkowych murów, niektórzy stają na kamiennych słupkach, znaczących drogę dla powozów. Ich kędzierzawe czupryny, błyszczące oczy, wyraziste rysy, smagłe twarze i rozhelstane na piersiach, podarte koszule, przypominają mi nasze cyganięta, a także i chłopców na obrazach Murilla. Niektórzy z nich sprzedają, prócz programów, świstawki. Dalej między tłumami widać przekupniów pomarańcz, „aguadorów“ z miedzianymi beczułkami na plecach; tu sprzedają kwiaty, tam słyhać brzęk gitary, na której gra stara, ślepa kobieta, prowadzona przez dziewczynkę.

Ruch, wirzawa, śmiechy; wachlarze furkoczą, jakby tysiące skrzydeł ptasich. — a na to mrowie ludzkie słońce zlewa potokami białe światło z głębokiego, bez jednej plamki, błękitu.

Wtem ze wszystkich stron rozlega się ókrzyk: „mira! mira!“ (patrz, patrz!) i po chwili zmienia się w grzmot oklasków, który nąształ prawdziwego grzmotu leci z jednego koń-

ca tłumów w drugi—to cichnie, to wzmaga się—i roztacza naokół całego cyrku.

Co się stało? Zapewne przyjeżdża królowa z dworem?

Nie!—w pobliżu słyhać: „eviva Frascuelo!“ To najślawniejszy „espada“ przybywa po laury i oklaski.

Wszystkie oczy zwracają się ku niemu, a cały tłum kobiet ciśnie się ku powozowi. W powietrzu poczynają migotać kwiaty, rzucane ich rękoma pod stopy tego ulubieńca, tego bohatera wszystkich snów i marzeń, tej „perły Hiszpanii“. Witają go zaś tem goręcej, że wraca z podróży do Barcelony, gdzie w czasie wystawy wprawia w podziw całą barbarzyńską Europę sztychami swej szpady, a teraz zawitał znów oto do ulubionego Madrytu, jeszcze sławniejszy, jeszcze większy — prawdziwy nowy Cyd el Campeador.

Przeciskamy się przez tłumy, aby obaczyć bohatera. Naprzód, co za powóz i konie! Piękniejszych niemasz w całej Kastylii. Na białych, atlasowych poduszkach siedzi, a raczej leży człowiek, którego wiek trudno odgadnąć, bo twarz ma najstaranniej wygoloną. Ubrany jest w kaftan z blado-liliowego atlasu i także spodnie, sięgające do kolan, obszyte koronkami. Kaftan i boczne szwy spodni lśnią się i mienia od przepysznych haftów, od blaszek złotych i srebrnych, błyszczących w słońcu, jak dyamenty. Piers jego zdobia najdelika-

tniejsze koronki. Nogi, przybrane w jedwabne różowe pończochy, trzyma skrzyżowane nie dbale na przednim siedzeniu, a łydek mógłby mu pozazdrościć najpierwszy gimnastyk paryskiego hipodromu.

Madryt chlubi się temi łydkami — i zaiste ma czem.

Wielki człowiek wspiera się jedną ręką na czerwonej klindze swej tolekańskiej szpady; drugą wita łaskawie wielbicieli i wielbicielki. Czarne jego włosy, zaczesane do góry, łączą się z tyłu głowy w niewielki grzybek, z pod którego wymyka się krótki warkoczyk. To uczesanie i wygolona twarz czynią go podobnym nieco do kobiety. Przypomina także prowincjonalnego aktora; ogólnie biorąc, oblicze jego nie odznacza się inteligencyą, która zresztą nie stanowilaby wprawdzie przeszkody w jego zawodzie, ale także nie byłaby mu na nic potrzebna.

Tłumy wchodzą do cyrku. — idziemy z nimi.

Oto jesteśmy we wnętrzu. Różni się ono od innych wnętrz cyrkowych tylko ogromem i tem, że siedzenia są kamienne. Najwyżej idą w krąg łoże, z których jedna, przybrana w aksamity i pozłociste frendzle, jest łożą królewską. W razie, jeżeli nikt z dworu nie przybywa na widowisko, zajmuje ją prezydent miasta. Obok zasiada arystokracja i wysocy urzędnicy; naprzeciw łoży królewskiej umie-



szczona jest po drugiej stronie cyrku orkiestra. Rząd krzesel z poręczami znajduje się w połowie wysokości cyrku — resztę siedzeń stanowią schody kamienne. W dole, naokoło areny, ciągnie się na wysokość ramion człowieka drewniany parkan. Między tym parkanem, a pierwszym rzędem siedzeń, wzniesionym, gwoli bezpieczeństwu widzów, znacznie wyżej, biegnie wążki korytarz, do którego chronią się walczący, w razie, jeśli byk zbyt im zagraża.

Połowa cyrku pogrążona jest w cieniu, druga połowa zalana światłem słonecznym. Na każdym bilecie, obok numeru siedzenia, wydrukowane jest: „sombra“ lub „sol“ (cień lub słońce). Oczywiście bilety „sombra“ kosztują znacznie drożej. Trudno sobie wyobrazić, jak ci ludzie, którzy mają bilety „sol“, mogą wytrzymać w takim skwarze przez kilka godzin, siedząc na rozpalonych kamiennych stopniach i mając nad głową takie słońce!

Wszystkie miejsca są jednak zapełnione. Widocznie zamilowanie do krwawego widowiska przewyższa obawę upieczenia się żywcem.

W krajach północnych różnica między światłem a cieniem nie jest tak wielka, jak tutaj; istnieją jakieś pół-cienia, pół-blaski, jakieś tony przejściowe; tu zagranica odrzyna się czarna, twardą linią, bez żadnych przejść. W oświetlonej połowie piasek zdaje się palić, a ludzkie twarze i ubiory płonąć; oczy mrużą

się pod nadmiarem blasku; jest to poprostu świetlista topiel, pełna żaru, w której wszystko skrzy się i błyszczy nadmiernie, każda barwa potęguje się dziesięciokrotnie. Natomiast zacieniona połowa wygląda, jakby była okryta jakąś przezroczystą zasłoną, utkaną z ciemności nocnych. Każdy człowiek, który przechodzi ze światła do cienia, czyni wrażenie zgąszzonej nagle świecy.

W chwili, gdy wchodzimy, arena pełna jest ludzi. Mieszczanin madrycki lub mieszcanka musi przed widowiskiem dotknąć nogą tego piasku, na którym za chwilę rozegra się krwawy dramat. Wydaje im się, że przez to biorą niejako bezpośredni udział w walce. Liczne grupy mężczyzn stoją, paląc paquitosy i rozprawiając żywo o zaletach byków z różnych stad. Małe paupry drażnią się i gonią wzajemnie. Oto widzę, jak jeden drugiemu podsuwa pod oczy kawałek czerwonej tkaniny, zupełnie tak, jak „capeador“ bykowi. Chłopiec znosi to czas jakiś cierpliwie, nakoniec zaczyna przewracać oczyma z gniewu i puszcza się w pogoń za przeciwnikiem. Ów, wykręcając się zreźnie, zwodzi nieprzyjaciela ruchami kapy, znów zupełnie, jak „capeador“ byka. Malcy znajdują swoich widzów, którzy podniecają ich okrzykami.

Wedle parkanu przechodzą się zwolna przekupnie pomarańcz, głosząc zalety swego towaru. Handel ten odbywa się drogą powietrz-

na. Przekupień rzuca, na żądanie, z niechybną zręcznością, pomarańczę, choćby do najwyższych rzędów—i tą samą drogą otrzymuje sztukę miedzianą, którą łapie jedną ręką, zanim dotknieła ziemi. Te głośne rozmowy, śmiechy, nawoływania, gwar, furkotanie wachlarzy, ruch napływających widzów — wszystko to składa się na obraz tak pełen życia, że żadne inne widowisko nie może dać o niem pojęcia.

Nagle orkiestra uderza w trąby i bębny. Na to hasło, ludzie, zajmujący arenę, lecą na swoje miejsca z takim pośpiechem, jakby życiu ich groziło niebezpieczeństwo. Czyni się ścisk. Ale po chwili wszyscy już siedzą. Naokół aż czarno: ramię przy ramieniu, głowa przy głowie! W środku tylko zostaje pusta, zalana słońcem arena.

Teraz, naprzeciw łoży królewskiej, otwierają się wrota w parkanie i na arenę wjeżdża dwóch „alguazillów“. Konie ich, białej maści, pyszne, jakby wycięte z obrazów; grzywy i ogony są zaplecione. Sami jeźdźcy, ubrani w czarne aksamitne berety z białymi piórami i w także kaftany, o koronkowych kołnierzach, przywodzą na pamięć niezrównane płótna Velasqueza, które podziwiać można w Museo del Prado. Zdaje nam się, że jesteśmy przeniesieni w dawne rycerskie czasy. Obaj jeźdźcy są piękni, obaj okazałej postaci. Jadąc strzemię w strzemię, objeżdżają zwolna całą arenę dla przekonania się, czy jaki widz nieostrożny nie po-

został na niej, nakoniec zatrzymują się przed lożą królewską i ruchem pełnym gracyi odkrywają z uszanowaniem, głowy.

Kto pierwszy raz jest w cyrku, tego napełnia podziwieniem ten uroczysty, niemal średniowieczny ceremoniał, te stroje i powaga jeźdźców. Wyglądają ci alguazillowie na dwóch szlachetnych heroldów, którzy przed rozpoczęciem turnieju składają cześć monarsze. Jakoż jest to prośba o pozwolenie rozpoczęcia widowiska, a zarazem o klucz do stajen, w których zamknięte są byki. Klucz spuszcza się po chwili z łoży na złotym sznurku, alguazille kłaniają się raz jeszcze i odjeżdżają. Oczywiście, jest to tylko ceremonia, bo widowisko z góry zostało postanowione, a byki są zamknięte na proste żelazne zasuwę. Ale ceremonia jest piękna i nie zaniechają jej nigdy.

W kilka minut po zniknięciu alguazillów, otwiera się najszersza brama i wchodzi cała „corrida“. Na czele jej jadą ci sami dwaj alguazille, których już widzieliśmy przed lożą królewską; za nimi postępuje szereg „kapeadorów“, za kapeadorami ciągną „banderilleros“—pochód zaś zaczynają „pikadorowie“. Cały ten zastęp gra wszystkimi blaskami tęczy, lśni się od haftów, złota, srebra i różnobarwnych atlasów. Wychodzą z ciemnej niszy na słoneczną arenę, zanurzają się w jaskrawem świetle i rozkwitają, jak kwiaty. Oko nie może się nacieszyć

tą wielobarwnością przepysznych plam na tle złotego piasku.

Doszedłszy do środka, rozpraszają się nagle, jak rój motyli. Pikadorowie ustawiają się naokół pod parkanem i każdy, wyciągnawszy lancę z tulei, chwyta ją silnie w prawicę; piesi tworzą malownicze grupy, w postawach pełnych niedbałości, oczekując na byka.

Jest to może najpiękniejsza chwila widowiska, pełna oryginalności tak czysto hiszpańskiej, że człowiekowi mimowoli żal, iż nie jest malarzem. Ileż barw i ile słońca możnaby przenieść z palety na płótno!

Za chwilę już popłynie krew na arenie. W cyrku robi się cicho, jak makiem zasiał, za ledwie dosłyszeć można szelest wachlarzy, które poruszają się tylko o tyle, o ile trzymające je ręce drżą z niecierpliwości. Wszystkie oczy zwrócone są na drzwi, któremi wypadnie byk. Czas teraz liczy się na sekundy.

Nagle w orkiestrze odzywa się przeraźliwy, a zarazem żaloszny głos trąbki, — drzwi od stajni otwierają się z łoskotem i byk wpada, jak piorun, w arenę.

Jest to wspaniałe zwierzę, o wspaniałym potężnym karku, stosunkowo krótkiej głowie i ogromnych, podanych naprzód, rogach. Nasz ciężki stadnik słabe daje o nim wyobrażenie, bo lubo hiszpański byk nie wyrównywa mu może ogromem ciała, przewyższa go natomiast siłą, a zwłaszcza sprężystością. Na pierwszy

rzut oka poznasz, że to jest zwierzę, hodowane dziko, wśród wielkich przestrzeni, które wskutek tego, przy całej swej sile, posiada ruchy tak niemal szybkie, jak jeleni, co właśnie czyni je niesłychanie niebezpiecznym. Nogi jego przednie są nieco wyższe od tylnych, jak zwykle u bydła, pochodzącego z gór. Jakoż cyrkowe byki rekrutują się przeważnie ze stad, hodowanych w Sierra-Morena. Maść ich po większej części czarna, rzadko czerwona lub srokata. Sierść jest krótka, połyskująca, jak atlas; kark tylko obrosły jest nieco dłuższym, kręconym włosem.

Wpadłszy na arenę, byk zwalnia kroku ku środkowi, spogląda krwawemi oczyma w prawo, w lewo —lecz trwa to zaledwie parę sekund—po chwili upatruje grupę kapeadorów, zniża głowę ku ziemi i rzuca się na nią naoslep.

Kapeadorowie rozpraszają się zupełnie, jak stado wróbli, do których strzelono śrótem. Kręcą się teraz po arenie, wlokąc za sobą czerwone kapy z szybkością, od której kręci w głowie; wszędzie ich pełno; migocą w prawo, migocą w lewo, są w środku areny, przy parkanie, przed oczyma byka z przodu, z tyłu. Kapy furkają w powietrzu, jak chorągwie, szarpane wichrem.

Byk błyskawicznymi ruchami rozgania ich na cztery wiatry; goni za jednym, wtem drugi z boku podsuwa mu kapę pod same oczy; byk porzuca pierwszą ofiarę, by gonić za dru-

ga, lecz zanim się zwrócił, podsuwa się ktoś trzeci. Dalejże w niego! Już przedział coraz mniejszy, już rogi byka zdają się dotykać pleców kapeadora; mgnienie oka jeszcze, a już zostanie przygwożdżony do parkanu —lecz oto człowiek dotyka ręką wierzchu parkanu—i ginie, jakby się w ziemię zapadł.

Co się stało? Oto kapeador przeskoczył na korytarzyk, ciągnący się między parkanem a pierwszym rzędem krzeseł.

Byk upatruje sobie innego, lecz zanim ruszył z kopyta, ów pierwszy kapeador wychylił głowę z za parkanu, jak czerwonoskóry Indianin, zakradający się do fermy białego osadnika—i przeskakuje znów na arenę. Byk ściga coraz zawzięciej tych nieuchwytnych nieprzyjaciół, którzy znikają mu z przed samych rogów; poznaje wreszcie, gdzie się chronią, zbiera się z siłami, gniew dodaje mu rozpędu i naksztalt wyścigowego konia, przeskakuje przez parkan, pewien, że tam wygniecie, jak robactwo, swych nieprzyjaciół.

Lecz oni w tej samej chwili przerzucają się, ze zwinnością szympansów, na arenę i byk biegnie pustym korytarzykiem, nie widząc przed sobą nikogo.

Cały pierwszy rząd widzów przechyla się tym razem przez baryerkę, grzmocąc z góry byka łaskami, parasolami, wachlarzami. Publiczność poczyna się rozgrzewać. Byk, który przeskakuje przez parkan, zapowiada się do-

brze, podczas więc, gdy pierwszy rząd grzmoci go, czem może — wyższe klaszczą w ręce, krzyząc: „Bravo el toro! muy buen! bravo el torro!

On tymczasem trafia na otwarte drzwi i wybiega na arenę. Po przeciwnej jej stronie dwaj kapeadorowie siedzą sobie oto na stopniu, idącym wokół podnóża parkanu, i rozmawiają najspokojniej. Byk puszcza się na nich natychmiast: jest już w połowie areny, a ci siedzą, nie przerywając rozmowy; jest na dziesięć kroków, ci siedzą dalej, jakby go nie widzieli; jest na pięć, ci jeszcze rozmawiają. Okrzyki niepokoju odzywają się tu i owdzie w cyrku; dwaj zuchwalcy pierzchają, jeden w prawo, drugi w lewo — z przed samych rogów. Rogi uderzają z głuchym loskotem w parkan, w cyrku zrywa się burza oklasków — i w tej samej chwili ci i inni kapeadorowie otaczają znów byka, wyzywając go kapami.

Wówczas zaciekłość jego przechodzi w furię: miota się, rzuca, obraca się na miejscu; co chwila rogi jego zadają cios, co chwila здаje się, że żadna siła ludzka nie wyrwie tego lub owego kapeadora od śmierci — tymczasem rogi przeszywają zawsze powietrze, a czerwone kapy migocą ze wszech stron; czasem upadnie która na ziemię — i w tejże sekundzie byk wbija ją niemal w piasek, z wściekłości. Ale to mu nie wystarcza, musi on (koniecznie) wyszukać sobie jakąś ofiarę i dosięgnąć jej koniecznie.



Więc z głuchym rykiem i krwawemi oczyma poczyna biedz przed siebie na oślep i nagle wstrzymuje się: nowy widok uderza jego oczy — jest to „pikador“ na koniu.

Pikadorowie stali dotąd na swych chudych rumakach, jak posągi, z lancami do góry. Byk, zajęty wyłącznie nienawistnemi kaptami, nie widział ich dotąd, a jeśli i zauważył, to pomijał.

Nie zdarza się prawie nigdy, by byk zaczynał naprzód walkę. Kapy pochłaniają jego uwagę i całą wściekłość. Może resztą pikadorowie są podobni do jego półdzikich pastuchów w Sierra-Morena, których czasami zdaleka widywał i przed którymi zwykł był pierzchać wraz z całym stadem.

Lecz teraz dość ma kap; jego furja szuka chciwie jakiegoś ciała, któreby mógł przebość i nasycić swą zemstę.

Dla widzów, nieprzywykłych do tego rodzaju igrzysk, nastaje chwila straszna. Każdy pojmuje, że za chwilę krew musi być rozlana.

Byk zniża głowę i cofa się kilka kroków, jakby dla nabrania rozpędu; pikador zwraca nieznacznie konia w prawą stronę ku napastnikowi, aby rumak, mający prawe oko przewiązane chustką, nie mógł się cofnąć w chwili napadu. Lanca o krótkim ostrzu zniża się w kierunku byka; ów cofa się jeszcze. Zdaje ci się, że się cofnie zupełnie i ściśnięte twe piersi poczynają lżej oddychać.

Nagle byk wali się naprzód nakształt ska-

ły, toczącej się z góry w przepaść. Przez mgnienie oka widzisz lancę wygiętą, jak pałak, którego ostry koniec tkwi w karku byka — i potem staje się rzecz poprostu ohydna. Potężna głowa i kark rozjuszzonego zwierzęcia giną pod brzuchem końskim, rogi pograżają się aż po nasadę we wnętrznościach; czasem byk podnosi i jeźdźca i konia w górę, czasem widzisz tylko wzniesiony zad koński, kopiący konwulsyjnie powietrze —zaczem jeździec pada na ziemię, koń wali się na niego i słychać chrobot siodła; z konia, jeźdźca i siodła tworzy się bezkształtna masa, którą rozszalały byk depce i przygważdża rogami.

Twarze nieprzywykłych do widowiska bledną. Widziałem w Barcelonie i Madrycie Angielki, których oblicza stawały się białe, jak płótno. Każdy, kto jest pierwszy raz w cyrku, ma wrażenie katastrofy. Gdy się widzi jeźdźca, zwiniętego w kłęb, gniecionego ciężarem siodła i rumaka, a nad tem wszystkim rozszalałe zwierzę, maczające z wściekłością rogi w tej kupie mięsa, zdaje się, że dla człowieka nie masz żadnego ratunku i że służba podniesie tylko z piasku krwawego trupa.

Lecz to złudzenie! Wszystko, co się dzieje, leży w programie widowiska.

Jeździec pod irchą i haftami, ma zbroję, która go broni od zgniecenia —upadł zaś umyślnie pod konie, aby ów zasłonił go swem ciałem od rogów. Jakoż byk, widząc przed so-

ba mięsistą masę końskiego brzucha, na nim głównie wywiera swą wściekłość. Dodajmy do tego, że czas katastrofy liczy się na sekundy. Kapeadorowie opadli byka ze wszystkich stron, ten zaś, chcąc się od nich opędzić, musi porzucić ofiary. Jakoż porzuca je, goni znów za kapeadorami; dymiące, zmaczane we krwi jego rogi znów zdają się dotykać tuż tuż ich pleców. Oni w ucieczce przeprowadzają go w drugą stronę areny, inni zaś tymczasem wydobywają z pod konia pikadora, który pod ciężarem zbroi ledwie może się ruszać—i przerzucają go za parkan.

Koń próbuje się także podnieść, często nawet podnosi się jeszcze na chwilę, lecz wówczas straszny widok uderza oczy widzów. Oto z rozdartego brzucha zwiesza się mu cały wór wnętrzności, wraz z różową śledzioną, sinawą wątrobą i zielonawym żołądkiem. Nieszczęsne zwierzę usiłuje postąpić kilka kroków, lecz drżące nogi płaczą mu się we własne kiszki, więc pada, kopie ziemię kopytami, drga—tymczasem nadbiega służba, zdejmuje siodło i uzdę, męki zaś konia kończy uderzeniem sztyletu tam, gdzie głowa łączy się z szyją.

Na arenie zostaje nieruchomy trup, który teraz, leżąc na boku, wydaje się dziwnie płaski. Wnętrzności prędko wynoszą się w koszu, podobnym do balii, a publiczność bije z zapalem oklaski. Entuzjazm poczyna ją ogarniać: „bravo el toro! bravo pikador! — oczy

się iskrza, na twarze występują rumieńce — kilka kapeluszków leci na cześć pikadora na arenę.

„El torro“ tymczasem, zaprawiwszy się raz we krwi, zabija kilka innych koni. Jeśli rogi jego pograżą się nie w brzuch, ale pod łopatkę konia, wówczas strumień czarnej krwi bucha na arenę z nadzwyczajną obfitością, koń wspina się i przewraca wraz z jeźdźcem na wznak. Człowiekowi grozi podwójne niebezpieczeństwo, bo: rogi byka, lub, mimo zbroi, skreślenie karku. Lecz, jak powiedzieliśmy, ciało konia stanowi zasłonę dla jeźdźcy. Każdy też z pikadorów stara się przyjąć walkę na skraju areny, aby w ten sposób być niejako ukrytym między trupem konia, a parkanem. Gdy byk cofa się, pikador postępuje za nim, lecz tylko kilka kroków, tak, że walka nigdy nie odbywa się na środku.

Wszystkie te jednak ostrożności nie przydałyby się na wiele i byk koniec końcem przygwoździłby jeźdźca, gdyby nie kapeadorowie. Oni to naciskają byka, odrywając jego uwagę, narzucając się z niesłychanym zuchwalstwem jego wściekłości, ratując co chwila życie komuś z uczestników walki. Widziałem wypadek, że jeden z espadów, cofając się przed rozjuszonem zwierzęciem, potknął się o głowę zabitego konia i padł w znak; zawisła nad nim śmierć nieunikniona; rogi byka już miały przesyć jego pierś, gdy nagle między tą pier-

się a rogami wionęła czerwona kapa — i byk poleciał za kapą. Można powiedzieć, że gdyby nie to stado szympanśów, powiewających czerwonymi płachtami, rzemiosło pikadorów byłoby niemożliwe i na każdym przedstawieniu ginęłoby ich tyleż samo, ile koni.

Rzadko się zdarza, by pikador zdołał utrzymać byka na ostrzu lancy. Zdarza się to tylko wówczas, gdy albo byk naciera miękko, albo gdy pikador obdarzony jest olbrzymią, przechodzącą zwykłą ludzką miarę, siłą ramienia. Widziałem takie dwa wypadki w Madrycie, po których nastąpił prawdziwy huragan oklasków dla jeźdźca.

Lecz zwykle byk zabija konie, jak muchy — i straszny jest wówczas, gdy okryty potem, świecący się w słońcu, z zakrwawionym od lanc karkiem i ubarwionymi na czerwono rogami, obiega arenę, jakby w upojeniu zwycięstwa. Głuchy ryk wydobywa się z jego potężnych płuc — czasem rozpedza kapeadorów, czasem zatrzymuje się nagle nad nieruchomem już ciałem konia i mści się nad nim straszliwie; porzywa je na rogi, obnosi wokół areny, obrzucając skrzepłemi kroplami krwi widzów pierwszego rzędu; to znów rzuca je na poplamiony piasek i dziurawi na nowo. Widocznie wydaje mu się, że widowisko jest już ukończone i że skończyło się jego tryumfem.

Lecz widowisko zaledwie dobiegło połowy. Pikadorowie, których konie ocalały z pogro-

mu, wyjeżdżają wprawdzie z areny, lecz na ich miejsce wbiegają w podskokach i wśród okrzyków, sprężystości „banderilleros“. Każdy z nich, we wzniesionych do góry rękach, ma dwie strzały, na łokieć długie, przybrane —odpowiednio do kaftana banderillera—w niebieskie, zielone lub czerwone wstążki, a zakończone haczykowatym ostrzem, które raz wbite pod skórę, już z niej nie wypadnie. Ci poczynają krążyć koło byka, trzęsąc strzałami, wyciągając ku niemu ostrza, grożąc i podskakując. Byk toczy krwawymi oczyma, zwraca głowę w prawo, w lewo i spostrzega, że to są nowi jacyś nieprzyjaciele: „Ach! — mówi widocznie do siebie — mało wam było krwi, chcecie więcej—dobrze!“ — i wybrawszy człowieka, rusza z kopyta.

Lecz cóż to się dzieje? Pierwszy z brzegu banderillero, zamiast uciekać, pędzi ku bykowi, przebiega mu przed głową, jakby go chciał pominąć, lecz w tej jednej sekundzie zawisło coś tęczą w powietrzu: człowiek z pustymi już rękoma pędzi, ile siły w nogach, do parkanu, a w karku byka zostaje para barwistych strzał.

Po chwili tkwi już druga para, po chwili trzecia —razem sześć, o trzech kolorach. Kark zwierzęcia wygląda teraz, jak gdyby przybrany w pęki kwiatów, lecz te kwiaty mają straszniejsze od wszystkich róż kolce. Za każdym ruchem byka, za każdym rzutem głową, strzały poruszają się, trzęsą, przelatują z jednej strony

karku na drugą, a każde ostrze wierci tem samem w ranie. Oczywiście z bólu zwierzę wpada w obłęd wściekłości, lecz im bardziej się rzuca, tem ból większy. Dotychczas byk czynił krzywdę — teraz poczyną się dziać jemu krzywdy, i to straszna. Chciałby pozbyć się tych bolesnych strzał, lecz nie ma na to rady.

Wścieka się oto tylko z męki i nuży do ostatka. Piana pokrywa jego nozdrza, język wysuwa się z pyska—już nie ryczy, ale w krótkich przerwach, między dzikimi okrzykami, klaskaniem i wrzaskiem widzów, słyhać jego jęk z akcentem niemal ludzkim. Zmęczyli go kapeadorowie, skaleczył go każdy pikador, teraz wiercą mu się w skaleczeniach strzały; dopełniają męki upał i pragnienie.

Szczęście jego jeszcze, że nie dostał innego rodzaju banderilli. Jeśli—co się jednak rzadko zdarza — byk odmawiał ataku na konie nie zabił żadnego, wówczas rozwścieczona publiczność wstaje—i w cyrku poczyną się coś nakształt rewolucyi. Mężczyźni z laskami, kobiety z parasolkami i wachlarzami, zwracają się do loży królewskiej; dzikie, chrapliwe głosy okrutnych „caballeros“ i przeraźliwe „senorit“ wrzeszczą jeden tylko wyraz: Fuego! fuego! fuego!

Przedstawiciele władzy długo nie zgadzają się, więc: „Fuego!“ brzmi coraz głośniej, głośniejszy wszystkie inne głosy; groźba dochodzi do takiego stopnia nateżenia, że lada chwila pu-

bliczność od słów przejdzie do jakichś szalonych uczynków. Upływa pół godziny: „Fuego! fuego!” Niema rady. Dają znak i oto nieszczęsny byk dostanie banderille, które przy zatknięciu w kark zapalają się jednocześnie.

Ostrze ich rani swoją drogą, a swoją drogą kłęby dymu otoczą głowę zwierzęcia; huk fajerwerków ogłuszy je; wielkie iskry będą mu wpadały do ran, małe race kongrewskie będą pękały mu pod skórą; zapach skwierczącego mięsa i spalonej sierści napełni arenę. Istotnie, okrucieństwo nie może iść dalej, ale też i zachwyty publiczności dochodzi wówczas do zenitu. Kobietom oczy zachodzą mgłą z upojenia, każda pierś dyszy z lubością, głowy podają się w tył, a z rozchylnych wilgotnych warg polyskują białe zęby. Rzekłbyś: męka zwierzęcia odbija się w tych niewieścich nerwach równie natężonem wrażeniem rozkoszy. Tylko w Hiszpanii można podobne rzeczy widzieć. Jest w tem zapamiętaniu się coś hysterycznego, co przypomina jakieś misterye fenickie, spełniane przed ołtarzem Melitty.

Zręczność i zuchwalstwo banderillerów przechodzi wszelką wiarę. Widziałem jednego z nich, który, usiadłszy na środku areny, na krześle, wyciągnął niedbale przez się swe różowe nogi, skrzyżował je i trzymając nad głową banderille, czekał na byka. Ów rzucił się nań natychmiast i w mig później dostrzegłem tylko banderille, już wpięte w kark byka, który



wściekłymi uderzeniami głowy rozbijał na drzazgi stołek. Jakim sposobem banderillero wychynał na zewnątrz między krzesłem i rogami — nie wiem: jest to tajemnica jego zręczności. Drugi banderillero, na temże samem przedstawieniu, chwyciwszy lancę pikadora w chwili ataku, wsparł się i przeskoczył przez całą długość byka, który stanął, jak osłupiały, nie mogąc pojąć, gdzie mu się podziela ofiara.

Takich cudów zuchwalstwa i zręczności widzi się mnóstwo na każdym przedstawieniu.

Jeden byk nie dostaje nigdy więcej, jak trzy pary banderilli. Gdy to zadanie zostanie spełnione, znów w orkiestrze odzywa się długa i żalosa nuta samotna trąbka — i nadchodzi chwila najbardziej wzruszająca, najbardziej tragiczna z całego widowiska. Wszystko, co się działo dotąd, było tylko przygotowaniem dla niej. Teraz rozegra się czwarty akt dramatu.

Oto na arenę wchodzi właściwy matador, to jest „espada“.

Ubrany on jest tak samo, jak inni uczestnicy igrzyska, jeno wytworniej i suciej. Kaftan na nim cały od złota i haftów; pierś zdobią cenne koronki. Odróżnić go można i po tem, że występuje zawsze bez kapelusza. Czarne jego włosy, zaczesane starannie w tył, kończą się na plecach małym warkoczykiem. W lewej ręce trzyma czerwoną sukienną chorągiewkę, w prawej tolekańską długą szpadę. Kapeadorowie otaczają go, jak żołnierze wodza, gotowi za-

wsze w chwili niebezpieczeństwa skoczyć na ratunek, a on zbliża się do byka skupiony, chłodny, ale groźny i zwycięski.

W całej widowni serca biją silnie i nastaje chwila ciszy.

W Barcelonie i Madrycie widziałem czterech najsłynniejszych w całej Hiszpanii „espados“ i doprawdy przypuszczam, że poza swą zimną krwią, zręcznością i wprawą, mają oni w sobie jakąś siłę hipnotyczną, która działa na zwierzę i napełnia je tajemniczą trwogą. Byk poprostu inaczej zachowuje się względem espadady, niż względem poprzednich uczestników igrzyska. Nie idzie zatem, żeby się miał przed nim cofać: przeciwnie, napada go z większą zaciekłością i natarczywością. Ale w poprzednich jego atakach, prócz zaciekłości, była widocznie jeszcze pewna ochoczość. Gonił, rozpraszał i zabijał tak, jakby był przekonany, że całe to widowisko jest dla niego i że chodzi tylko o to, aby on zabijał. Teraz, na widok tego zimnego, straszego człowieka, ze szpadą w ręce, przekonywa się, że to nad nim jest śmierć, że musi zginąć, że tu, na tym krwawym piasku, spełni się za chwilę ta rzecz okropna.

Owa psychologia zwierzęcia jest tak jasna, że każdy ją odgadnie. Może być nawet, że ona, przez swą tragiczność, stanowi urok widowiska. Ten potężny organizm, kipiący wprost nadmiarem życia, ochoczości, siły — nie chce umierać, nie chce za nic w świecie! A tu śmierć

idzie nieunikniona, nieprzeparta — więc nieopisany żal, nieopisana rozpacz przebija we wszystkich ruchach zwierzęcia. Na kapeadorów, których dawniej ścigał tak zawzięcie, za ledwie teraz zwraca uwagę; atakuje samego „espadę“, ale atakuje z zupełnie wyraźną rozpaczą.

Ów zaś nie zabija odrazu, bo wedle prawideł igrzyska nie jest to dozwolone. Zwodzi on byka ruchami chorągiewki, sam usuwa się z pod rogów za pomocą lekkich a nieznaczących obrotów; upatruje chwili, to cofa się, to postępuje naprzód; pragnie widocznie nasycić publiczność — już, już wznosi szpadę — i zniża ją znowu.

Walka przetacza się po całej arenie, rozświeca się w słońcu, przygasa w cieniu. W cyrku zrywają się okrzyki, to powszechnie, to pojedyncze, z piersi jakiej seniority, która nie może pohamować swego zapachu. Czasem grzmia brawa; czasem, jeśli espada cofnął się niezręcznie lub zadał cios zawodny, gwizdania rozdzierają uszy. Już byk dał kilkadziesiąt uderzeń rogami — zawsze w chorągiewkę, już publiczność ma dosyć, już odzywają się tu i owdzie głosy: „Mata el toro! mata el toro!“ — zabij byka.

I oto następuje błysk tak nagły, że oko uchwycić go nie może — potem grupa walczących rozprasza się — i w karku byka, nad barwnymi banderillami, widać czerwoną ręko-

jeść szpady. Ostrze przeszło przez kark i tkwi pograżone, w dwóch trzecich, w płucach zwierzęcia.

Espada pozostaje bezbronny; byk atakuje go jeszcze, lecz on uwodzi go po staremu chorągiewką, sam zaś półobrotami chroni się od uderzeń.

Tymczasem zdaje się, że w cyrku ludzie poszaleli. Już nie krzyki, ale ryk i wycie rozlegają się wokół, od góry do dołu. Wszyscy zrywają się z miejsc. Na arenę lecą bukiety, cygarniczki, kapelusze, wachlarze...

Walka ma się ku końcowi.

Bo oto oczy byka zachodzą bielmem, z pyska zwieszają mu się stalaktyty krwawej śliny, jęk jego staje się chrapliwy. Noc obejmuje mu głowę. Niczem mu już blask i żar słoneczny. Atakuje jeszcze, ale jakoby już przez sen. Coraz mu ciemniej i ciemniej. Nakoniec zbiera resztki przytomności—cofa się pod parkan — przez chwilę chwieje się i klęka na przednie nogi, potem na tylne—i poczyna konać.

Espada już na niego nie patrzy; oczy ma zwrócone ku widzom, skąd kapelusze i cygarniczki lecą ciągle, nakształt gradu; kłania się; kapeadorowie odrzucają widzom kapelusze.

Tymczasem przez parkan przełazi cicho czarno ubrany, tajemniczy człowiek, przyklada bykowi sztylet tam, gdzie kręgi szyi schodzą się z czaszką, zanurza go lekkim ruchem po rękojęść i zawierca.

Jest to cios miłosierdzia, po którym głowa byka opada na bok.

Wszyscy uczestnicy walki wychodzą. Przez chwilę arena pozostaje pusta — widać na niej tylko trup byka i ostygłe już, wypatroszone trupy czterech lub pięciu koni.

Ale po chwili wpadają z wielkim pędem ludzie z mułami, przybranymi wspaniale w żółte i czerwone kulki; zaprzęgają owe muły do trupów — i zataczają z nimi koła tak, aby publiczność mogła się jeszcze widokiem nacieszyć, poczem równie wielkim pędem wypadają za drzwi areny.

Lecz nie sądźcie, aby widowisko kończyło się na śmierci jednego byka. Po pierwszym następuje drugi, po drugim trzeci i t. d. W Madrycie ginie na przedstawieniu sześć byków. W Barcelonie, w czasie wystawy, bito po ośm.

Nie sądźcie również, aby publiczność nuzyla się jednostajnością walki. Naprzód sama walka urozmaica się licznymi epizodami, których przyczyną bywa temperament, większa lub mniejsza zaciekłość byka, większa lub mniejsza znajomość rzemiosła ludzi i t. d. Powtóre publiczność ta nigdy nie nudzi się widokiem krwi i śmierci.

Toreadorowie (naprawdę w Hiszpanii nikt z uczestników walki nie nazywa się toreadorem) dzięki swej zręczności rzadko wprawdzie giną. Ale jeśli się to zdarzy, widowisko uważane jest jako tem wspanialsze — i byk otrzymu-

je także same oklaski, jak „espada“. Że jednak i wypadki z ludźmi trafiają się czasem, dowodem tego jest, że na każdym przedstawieniu, prócz doktora, obecnym jest także ksiądz z sakramentami. Duchowny ów nie znajduje się oczywiście między widzami, ale czeka w osobnej izbie, do której, w razie wypadku, wnoszą rannych.

Czy z czasem, pod wpływem cywilizacji, walka byków zostanie zaniechana w Hiszpanii, trudno orzec. Zamiłowanie do tych walk leży bardzo głęboko w naturze hiszpańskiego ludu. Rade uczęszczają na nie i wyższe, inteligentne warstwy społeczne. Obrońcy tych igrzysk mówią, że ostatecznie nie są one niczem innym, tylko hazardownem polowaniem, odpowiedniem rycerskiemu charakterowi narodu. Lecz polowanie jest rozrywką, nie zawodem; w polowaniu niemasz widzów, jeno aktorzy; niemasz tłumów kobiet, w polowie omdlewających z rozkoszy na widok męki i śmierci. Na polowaniu wreszcie nie naraża nikt swego życia za pieniądze.

Gdyby mnie zapytano, czy to jest piękne widowisko, odpowiedziałbym: tak. Piękna zwłaszcza jest jego oprawa: to słońce, te cienie tysięcy wachlarzy, na widok których zdaje ci się, że rój motylów obsiadł cyrkowe rzędy; te oczy, te purpurowe wilgotne usta. Piękna jest ta nieprzebrana ilość tonów ciepłych a mocnych, ta masa barw, złota, haftów, ten roz-

palony piasek, od którego tchnie żar—wreszcie te dowody zuchwałej odwagi i ta groza, która nad igrzyskiem się zwiesza. Wszystko to jest wiele piękniejsze od strug krwi i porozdzieranych końskich brzuchów.

Kto jednak znalazł te widowiska tylko z opisów, a później zobaczy je własnymi oczyma, ten mimowoli pomyśli: co to za dziwny lud, dla którego największą zabawą i rozkoszą jest widok rzeczy tak strasznej, bezwzględnej i niepowrotnej, jak śmierć. Skąd to rozmiłowanie? Jest-li to prosty zabytek średniowiecznego okrucieństwa, czy też ów pociąg, jaki budzi się w wielu ludziach na widok np. przepaści. Przyjść jak najbliżej, na sam skraj, dotknąć tej zasłony, poza którą zaczyna się tajemnica i otchłań—jest to dziwna namiętność, która w pewnych duszach staje się nieprzepartą.

O Hiszpanach można powiedzieć, że w całym przebiegu swej historii okazywali ów pociąg do bezwzględności. Mało który lud był tak okrutnym w boju, żaden religii miłości nie zmienił w tak posepny i krwawy kult —żaden wreszcie dziś nie bawi się, igrając ze śmiercią.

*Słowo* № 151, 152, 153, 154, 155, 156—1889 r.



## WYKAZ ARTYKUŁÓW

DO TOMU SI DZIEŁ SIENKIEWICZA.

	<i>Str.</i>
1881. Szkice literackie I . . . . .	5
"          "      II. . . . .	41
1882. Kronika tygodniowa . . . . .	73
— Kronika warszawska I. . . . .	83
— Kronika tygodniowa III . . . . .	96
—      "          "      IV . . . . .	104
—      "          "      V. . . . .	117
—      "          "      VI . . . . .	128
— Kronika miejscowa i prowincjonalna . . . . .	143
— Kronika tygodniowa VIII. . . . .	146
—      "          "      IX. . . . .	160
— Odczyt na dochód Osad rolnych . . . . .	172
— Kronika tygodniowa X. . . . .	173
—      "          "      XI . . . . .	186
— Ballady prozą . . . . .	198
— Mieszaniny artystyczne i literackie I. . . . .	202
— Mieszaniny literacko-artystyczne. II. . . . .	215
—      "          "      "          " . . . . .	226
— Hold pruski . . . . .	239
— Krytyka. Sprawozdania. Bibliografia . . . . .	244
— Sprawozdania powieściowe . . . . .	248
1889. O powieści historycznej . . . . .	258
— Walka byków . . . . .	267



806/72

08/77

08/87

Skontrum 2007

PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA

A 3588

Kspółopr. t. 74, 79 i 81

T.74



WRO0135832

Dolnośląska Biblioteka Pedagogiczna  
we Wrocławiu



T.79

WRO0180452

Dolnośląska Biblioteka Pedagogiczna  
we Wrocławiu



T.81

WRO0180451